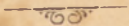


475 897

ni obywatel

Władysław
Kazimierz Łaskowski.



ZROŚLI Z ZIEMIĄ.

OPOWIEŚĆ.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

DUBOWSKIEGO I GAJEWSKIEGO.

30. Chmielna 30.

—
1897.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Февраля 1897 года.



475 897

к. 1139/25

„Le signe d'une âme grande et forte
est de savoir tirer à l'exemple de Dieu le
bien du mal.“

O. Didon.

I.

Było to w styczniu, w tych dobrych dla rolnictwa czasach, kiedy na rynku gdańskim popłacała pszenica. Pomimo przełomu agrarnego, dostatek trzymał się jeszcze strzech ziemiańskich; życie towarzyskie kwitło, a stosunki sąsiedzkie, starannie pielęgnowane, spojone węzłem szczerzej gościnności, rozbrzmiewały w pobielanych ścianach wiejskich dworców ochoczością przyjęć i zabaw, jedyne ujscia dla szlacheckiego animuszu, zamkniętego w ciasnem kole spraw powszednich.

Zawsze miłe sercu „Gość w dom—Bóg w dom“ było przykazaniem, którego nikt nie ważył się naruszyć. Nie sadzono się na wystawność, ale podejmowano gościa z duszy serca czem chata bogata. „Szlachcic był kontent, gdy miał wiele gości, na klęczkach prosił, by jedli i pili...“

Zrosli z ziemią.

Po dwudniowej zadymce wypogodziło się, przetało, ucichło. Mróz trzymał, wyjrzało wyiskrzzone słońce, gorejąc miryadem refleksów. Zsuwały się złote promienie po modrym nieboskłonie, tonęły na chwilę w rąbkach obłoków, płynących gdzieś w przestworzu, i biegły dalej aż ku ziemi, rozwieszając po drodze łunę brylantowych blasków. Opowita siecią migotliwego światła biel śniegów lśniła tęczą barw i połysków.

Cicho było, spokojnie w okół. Pola i lasy spały, przykryte białym całunem, czasem tylko gięte okiścią konary drzew zaskrzypiały żałośnie, zakrakało przelatujące stadko zgłodniałych wron, zaświerkał rzewnie skryty w krzaku tarniny wróbel, jakby się żalił na zimę, na srogą... Niekiedy zrywał się jeszcze zapóźniony niedobitek wichrów i, nurzając się w powłoce śnieżnego pyłu, mącił głuchym poświstem ciszę przyrody. Przelatywał w płąsach, podskokach z pola na pole, z załomku w załomek. To przysiadł w przelocie na wystającym grzbiecie zagonów, to się za krzakiem przyczajał, to chwyciwszy lejem wiru garść śniegu, pędził przed siebie tumanem, póki obezwładniony ciężarem łupu w zaspie przydrożnej nie zapadł.

Ponad wioskami unosił się mgławcy opar, z kominów chat strzelały ku niebu słupy błękitnego dymu, rozbrzmiewał w ciszy pogwar ludzkich głosów. Czasem kundel podwórzowy zawył przeciągle, zaryczało bydło pędzone do wody, zaskrzypiał zóraw studzienny.

Gromadka włościan z Prońska z sołtysem na czele szła, brnąc po pas w śniegu, w wiejskie opłotki na szarwark. Zadymka wszystkim dała się we znaki.

Wichura pozrywała kalenice, pozadzierała strzechy, zamieć wcisnęła się szczelinami pod dachy domostw i stodół; z chałupy do chałupy trudno się było przedostać, a za wieś wyjechać prawie niepodobna. Zniknęły bez śladu pola i ścieżki, jak sierpem rzucił—wszędzie białło i białło, a śnieg na łokieć głęboki.

Nakazano szarwarkiem zasy rozkopać. Sołtys z Prońska zwołał świtkiem gromadę i szarwark zapowiedział. Jaki taki radby się był wymówił, ale nie było rady. Wójt kazał, a i dziedzic przysłał, żeby koniecznie do południa drogę przekopać, bo goście z wesela rozjeżdżać się mieli.

Poszli, gwarząc po drodze i utyskując.

— Nie marudzić! nie marudzić, chłopcy!—zachęcał sołtys—szarwark, czy dziś czy jutro, nie minie, odrobić trza. Śnieg nie zmarznięty, to robota poleci.

Dotarli do opłotków, gdzie zawierucha całe sterty śniegu naniosiła. Chłopi, podrapawszy się w głowę, jęli łopatami śnieg rozrzucać. Szło im jednak niesporo. Widocznem było, że pracują bez przekonania, bez ochoty. Jeden na drugiego spoglądał, ociągając się i przystając raz po raz.

— Mnie się widzi, sołtysie—odezwał się po chwili jeden ze starszych,—że to wszycko na dar-

mosa. Przyjdzie kurzawa i do jutra z kretesem zadmie, a ze dwora pewnikiem i dziś nie pojedom. Stary dziedzic, ja go znam, lubi hulać, to gości tak łatwo nie puści...

— Wasza prawda, kumotrzel jeszcze z wesela — potaknął drugi, tłukąc dłońmi oburącz po koczuchu dla zagrzewki. — I wczora gadali, że już... nawet furmanów z karczmy zwołali...

— Albo im to źle! — podchwycił trzeci. — Pe-
dała mi Magda, co jest przy kucharzu, że samego
mięsiwa toby na dwie niedziele starczyło...

— I jak!

— Zabili opasa...

— Dwie roczne jałowice; brat bratu po pięć
dukatów wartały.

— I z miasta różności nawieźli, a na polowa-
niu mało to wszelakiego zwierzka natłuki! Wiem
dokumentnie, bom przecie na obławy chodził —
przedstawiał młody parobczak, a nasłuchując ku
dworowi, dodał:

— Grajom! Po mojemu, po próznicy będzie-
wa kopać. Skoczmy lepiej pod dwór popatrzeć na
te dziwy...

— Nie bałamucić, bajduło! — odburknął soł-
tys — pojedom... nie pojedom... nie wasza rzecz.
Drogi tak ostawiać nie można. Jeszczeby, nie daj
Boże! kto zagrzązł trafunkiem, abo zamarzył w za-
spie, i gotowy kłopot dla mnie, dla urzędnika. Nie
spirajta się, ino kopta. Dziedzic obiecał gorzałki,

jak się sprawiewa dobrze. No, żwawo za łopaty!
Byle sanie przeszły, reszta bajki!

Przemowa sołtysa i wzmianka o poczęstunku
poskutkowały.

— Ha! jak trza, to trza—odezwano się z re-
zygnacją w gromadce.

Zażegotały rydle i łopaty, posypały się zbry-
lone grudki śniegu w lewo i w prawo.

Zaspa zmaląa.

— Żeby jeno do figury przetorować, to dalej
choćby polem objedzie — zauważył któryś z wło-
ścian, prostując krzyża.

— Co nie ma objechać! Jeszcze takimi koń-
mi—potaknięto.

— U młodego konie jak smoki!

— Ba! ba! bo go to nie stać...

— Siarczysty szlachcie!

— Ludzie go sobie chwalom, niezły jest, a wy-
rozumiały dla każdego, ino prędko jak ogień...

— Lepszy taki, niżli nurek, co słodko gada,
a chyłkiem człekowi dopiecze.

— Pewnie... pewnie — potwierdzono jedno-
głośnie.

Robota szła teraz żwawo, pogawędka nie usta-
wała. Włość interesowała się dworem i po swoje-
mu oceniała jego sprawy. Wesele najmłodszej
córkki dziedzica, będące w niej jakim związku z szar-
warkiem, było u wszystkich na ustach.

— Służyłem wtedy przy stangrecie—opowia-
dał Grzela Kruk,—kiedy pierwszy raz Kościeszow-

ski dziedzic zajechał. Dworscy zaraz mówili, że to do panienki...

— Pono go z razu nie chciała...

— Dyć! pono ociec dopiero przykazał...

— Nie chciała, nie chciała!... Taki już u nich zwyczaj, wszystko zwolna... pańskie *końkury!*

— Bez mała dwa lata jeździł...

— Akurat na Trzech Króli — dorzucił świadomy dworskich obchodów Grzela.

— Oj, gęby, gęby! Plecieta, nie wiadomo poco. Dwór dworem, a chłop chłopem — wtrącił sentencyonalnie sołtys. — Jeździł, ale wyjeździł... Kopta lepiej, bo ano słońko już skręca.

— Już wam i gadanie za przeszkodą! Przecie nie stojewa, a milej człekowi, gdy ludzkie słowo słyszy.

— No, to gadajta. Nikt nie broni, jeno nie plećta od rzeczy, bo ja od samego wójta wiem, jak było.

— No! ciekawa rzecz! powiedzcież! — prosili chłopci.

— Kopta, kopta! to rzeknę słowo... Młodzi dawno mieli się ku sobie, jeno ludzie bróździli, a nasyłali coraz to inne swaty — opowiadał sołtys.

— Pewno, że bróździli. Mało się to kawalirów przewinęło, a każdy miał oskomę. Choćby na ten przykład Pękosławski dziedzic...

— Ale panna ani słuchać nie chciała — opowiadał, rozgadawszy się, sołtys, — jeno do Kościuszowskiego Ignęła, choć ludzie o nim cudeńka ga-

dali: że utratny, jeno za zabawą a uciechą goni, a gospodarki nie pilnuje.

— Kiej nieprawda! poszukać takiego obrzędku, jak w Kościeszówce. A że i zabawę lubi, to co! od tego młody.

— To się wie. Ale ludzie tak gadali, a donosili; dopiero jak nasz dziedzic spenetrował, przyzwolił...

— Aha! to tak było.

— A tak — potwierdził sołtys. — Świadomo wójtowi.

— To i dobrze, że się pobrali, kiej się mieli ku sobie.

— Wszystko byłoby dobrze, żeby nie żydy...

— Nie turbujta się. Wie nasz *stary*, co robi, nie trza go rozumu uczyć. „Młody,” choć sporo żydom winien, zawdy bogacz! Kościeszówka... trzy folwarki, a i lasu szmat.

— A „nasz” ma grosiwo. Pewnikiem zięciowi nie poskapi, córkę wywianuje, a żydów opłaci...

Tak gawędząc, rozkopano kawał drogi. Do figury, od której zaczynała się polna równina, było już niedaleko, gdy na skręcie od dworu ukazały się czworokonne sanie.

— Jadom! jadam! śpieszta się! — począł przynaglać sołtys.

Poruszyły się żwawiej rydle i łopaty, ale po chwili stojący na górcie parobczak rozwiął wzniecony zapal.

— To nie „młodzi,” bo bez *jańczarów* — zauważył.

— Przywidziało wam się, sołtysie. We dworzec jeszcze grajom—dorzucił drugi, nasłuchując.

— Kiedy jechało...

— Walkowa fornalka! poznałem po łysej kobyli! — wykrzyknął z tryumfem Grzela dworus.— Pewnie wysłali ze dworu na wywiady, czy przejedzie.

W przekopanym parowie ukazały się parszające łby końskie, jakby na potwierdzenie słów Grzeli. Była to istotnie Walkowa fornalka, wysłana przodem dla przetorowania drogi. Duże, ciężkie płozy ryły w pierzastym śniegu, zostawiając lśniący ślad za sobą. Z koni buchała para i osiadała szronem na grzywach.

Z sani wyskoczył dworski wyrostek. W jednej ręce trzymał duży gąsior wódki, w drugiej koszyk z przekąskami. Był to przyobiecany poczęstunek.

— Wojciechu! — zawołał, zwracając się do sołtysa — dziedzic przysyła. Trzymajcie...

Chłopi, wbiwszy łopaty w śnieg, skupili się w okół przybyłych, pytając z ciekawością:

— A cóż, pojadom?

— Już konie zaszły, tylko patrzeć—objaśnił kredensowiec, przypijając do sołtysa.

— W wasze ręce...

— Bóg zapłać! Najlepszego.

Kieliszek poszedł z rąk do rąk. Przymówił się o „swoje“ i Walek. Kropnął kielich gorzałki i ruszył zwolna przez niedokopaną jeszcze zaspę.

Wyrostek z opróżnionym koszykiem i pustym gąsiorkiem pobiegł pędem ku dworowi dać znać, „że już przejedzie.“

.....
W Prońskim dworze już trzeci dzień hulano na zabój.

Prońsk słynął z gościnności, bawiono się tam zwykle dobrze. Krążyło nawet po okolicy przysłowie: „Dobrze, jak gościowi w Prońsku.“ Radca Kwiryn Proński, wielki hulaka za kawalerskich czasów, i na stare lata zabawą nie gardził, a podejmował z całego serca.

Kiedy przeto wieść o zaślubinach najmłodszej radczanki, „panny Jadzi,“ z Krzysiem Oźgą gruchnęła po okolicy, zjechało na weselisko pół powiatu krewniaków i znajomych stron obu, raz przez niekłamaną życzliwość, powtóre z wielkiego zaciekawienia, jakie ten mariaż budził.

Panna Jadwiga, śliczna, o piwnych oczach blondynka, uchodząc za najlepszą w dodatku partyę, była od lat kilku celem gorących zabiegów okolicznej młodzieży. Kawalerya zajeżdżała konie, słano swaty za swatami, a choć Krzys Oźga od dwóch lat smalił cholewki i fama niosła, że mu panna sprzyja, do ostatniej prawie chwili nie wiedzianno, na czem się to skończy.

Dopiero „zapowiedzie“ położyły koniec wątpliwościom, a choć niejednemu taki wybór radczanki poszedł po nosie, na wesele pośpieszyli wszyscy, jak jeden mąż.

Więc oprócz najbliższej rodziny: Słotwińskich z Borzykowej, Warków z Nadolnej, bo pani Tekla Prońska była Warkówna z domu, prócz Święcianowskich i Jangrotów, pożenionych ze starszemi córkami radcostwa, zjechali familianci pana młodego: Barszczewscy z Lipna, Warzyńscy z Konopnicy, Kotarscy, Żyłkowie, nie mówiąc już o sąsiedztwie, które się *in gremio* stawiło. Pan Homobon Szaława, zwany przez szlachtę „księciem“ lub „Radziwiłłem,“ bo ród swój od tatarskich murzów wywodził, a o odbytych podróżach wzorem „panie kochanku“ łągał niemiłosiernie, dowcipniś wielki i bywalec, samych odpalonych konkurentów, co Krzysiovi družbować przybyli, dwunastu naliczył. Obiegał nawet potem między szlachtą ułożony z tego powodu wierszyk:

„Na weselu panny Jadzi z Krzysztosem
Było mendel kawalerów z „odkoszem.“

Rojno było i gwarno. Od trzech dni modrzewiowy dworek z „przystawkami“ rozbrzmiewał weselem i uciechą. Wydobyto stare srebra i serwisy; zastawione w podkowę stoły gięły się od potraw i napitków, a sprowadzona z miasteczka żydowska kapela różnęła bez przerwy od ucha, aż muzykantom palce mdały. W oficynach i czeladnej z polecenia dziedzica ekonom podejmował służbę.

Niestrudzeni gospodarstwo, mimo podeszłego wieku ciągle na nogach, krzatali się ochoczo, aby nikomu na niczem nie zbywało, a kiedy nazajutrz po ślubie niektórzy z weselników wymknąć się

ukradkiem chcieli, rozozochocony radca przez żywy gwałt nie puszczął.

— Ostatnią córkę wydaję, sąsiedzie dobrodzieju. Nie róbcież mi tej krzywdy... Tyle mego, co się dziś ucieszę—wołał, zabiegając drogę.

Kląkał, prosił, rzucał się w objęcia, ścisnął. A że, prawdę mówiąc, nikomu się nie śpieszyło, zostali wszyscy.

Na drugi dzień powtórzyło się to samo. W dodatku zrobiła się straszna zadymka, więc radca wypuścić nikogo nie chciał.

— W taki czas... z pod mego dachu... nigdy nie pozwolę! Kto mnie kocha, ten zostanie—zaklinał, składając ręce.

I tak wesele przeciągnęło się do trzeciego dnia; a chociaż radca, ulegając życzeniu, polecił na wszelki wypadek drogę przetorować i zaspy rozkopać, radby był cały orszak weselny jeszcze zatrzymał.

Nadrabiał miną, chodził pomiędzy gośćmi, węgryzna dolewał, pośpiewując: „A co to za wesele, co go tylko dwa dni! Żeby było cały tydzień, toby było ładniej,“—ale w duszy żał go ścisnął na samą myśl rozłąki z ukochaną córką, więc może i dlatego o ile mógł oddalał chwilę rozstania.

Konie zaszły. Gromadka ciekawych, ze służby dworskiej i wiejskiej gawiedzi złożona, kręciła się koło dworu, zaglądając ukradkiem przez szyby do wnętrza. Z pokojów dolatywał dźwięk muzyki, gwar wesołych głosów i wykrzykników. W sali bawialnej

tańczono do upadłego. Rozpoczęty o świcie „biały mazur“ przeciągnął się do tej chwili. Młodzież, w granatowych frakach ze złotymi guzikami, biła hołupce, aż się ściany trzęsły! hukając z całej piersi: „oj! dziś! dziś!“ W sąsiednich pokojach starsi kończyli „rumla,“ popijając starego węgrzyna; poważniejsze panie, nie biorące udziału w tanach, dotrzymywały placu, pół drzemiąc na pokrytych „cycem“ kanapach.

Radca Proński, spocony, zgrzany, biegł z pokoju do pokoju, tu zagawędził, tu wino dołał, tu paniom duserem palnął. Wszędzie go było pełno. Właśnie pokrzykując hul ha! podchodził Proński do usadowionej na wzniesieniu kapeli, dla dodania grajkom ochoty, gdy pan Homobon Szaława upatrzywszy stosowną chwilę, poskoczył do kończącej taniec panny młodej, i ująwszy w pół „panią Jadzię,“ skomenderował „odbijanego.“ Na dane hasło jaki taki rzucił się do swej danserki, muzykusi żwawiej poruszyli smykiem, i pary różnobarwnem kołem zatoczyły po sali.

— „Księżę“ prowadził „księżę!“ Chwat szlachcic, choć szpakowaty!—dało się słyszeć po sali.

A pan Szaława, dumny z pochwały, prowadził, a prowadził po swojemu.

Lewą rękę podniósł do góry, karku nachylił i krzycząc z całego gardła: „za mną, chłopcy! za mną!“ ruszył z młoduchą przodem.

Nie był to już taniec salonowy, posuwisty, układny, ale istny wrzątek podskoków, huragan bitych

hołupców, hukań i wykrzykników. Pary wichrowato rwały, kręcąc się jak fruczki.

Stopniowo mazur przechodził w takt oberka.

Chciano Szaławie odbić danserkę, ale umknął zręcznie, zatoczył kołem, i dotarłszy do muzyki, rzucił grajkom garść monety, krzycząc:

— Jeszcze dla mnie! po mojemu! hul ha!

Zabrzmiała skoczno nuta obertasa.

Teraz i starsi, skończywszy pikietę, ruszyli się do tańca.

— Hu! ha! dobra naszal—rozległo się po całym dworze.

Pan Chojnacki z Pękosławia, ojciec jednego z odpalonych konkurentów, starzec siedemdziesięcioletni, z długą po pas, białą jak lniana kądziel brodą, przecisnąwszy się do „Radziwiłła,“ klaszcząc w dłonie, odbił danserkę, i objąwszy w pół niedoszłą synowę, puścił się w taniec.

Za jego przykładem poszli inni; nawet pan Slotwiński z Borzykowej, choć utykał cokolwiek na nogę, chwycił w pół pannę Bronisławę Żytkównę i zawinął na „odsiebkę.“

— Bravo! bravo!—wołały panie, przychwalając starej gwardyi.

Taniec wrzał, ożywiając się coraz bardziej, par przybywało, bo młodzież, odsunięta od panien przez siwych ochotników, nie dając za wygranę, pociągnęła w krąg taneczny nawet starsze mężatki.

Pan Chojnacki budził prawdziwy podziw. Niósł danserkę prawie w powietrzu, hołupca za

hołupcem wycinał, aż ziemia tętniała; przyklękał, mleczną brodą nieomal posadzki dotykając.

— A co? a co? stara gwardya!— wołano w okół.

Daremnie niejeden, klaszcząc w dłonie, próbował odbić „panią Jadzię,” staruszek w płasach zawsze w porę umknął i ani myślał ustąpić.

— Nie chciałaś syna, tańczujże choć z ojcem, złoto moje! — szepnął do zarumienionej Jadwini, i przystanąwszy przed muzyką, zanucił:

„Plusk! plusk! po jeziorze, po jeziorze...
Mała rybka lekkim skrzelem wodę porze,
A wtem szczupak się wymyka
I połyka ją niebożę.

Oj! żebym był tym szczupakiem,
Tobym cię połknąć żałował!
Ale byłbym też próżniakiem,
Żebym cię choć nie skosztował!“

Przy tych słowach podniósł zapłonioną mę-
żatkę w górę i dwukrotnie w czoło pocałował.

— Mnie staremu wolno! Prawda, Krzysiu?—
zagadnął, jakby tłumacząc się, do pana młodego,
który, korzystając z przestanku, przeciskał się ku
żonie.

— Wolno, wolno, panie dobrodzieju!—zaśmiał
się Krzys i, zwróciwszy się do grajków, huknął:

— Grać teraz dla mnie! od ucha, po kra-
kowsku!

Zakręcił węża, objął kibić żony i dla poddania
taktu zaśpiewał:

„Jużem był, jużem był
Po kolana w niebie,
Po kolana w niebie!
Jakem cię zobaczył,
Skoczyłem do ciebie!
Jakem cię zobaczył,
Skoczyłem do ciebie!“

Skrzesał hołupca, zakrecił się jak wicher
w miejscu i sunął, unosząc prawie w powietrzu
żonę, a za nim reszta taneczników ławą.

Teraz i inni zaczęli dośpiewywać co kto
umiał.

Więc tańczący z panną Różą Kotarską Ignas
Warszyński, zdradzając ukrywany afekt, śpiewał
co sił starczy:

„Coby dać, coby dać
Za koszyczek wiśni,
Żeby się dowiedzieć,
Co Różyczka myśli?“

Wtórował mu młody Jangrot, przyspiewując
na inną nutę, a nieszczęśliwy w miłości Bortnicki,
co już wszystkie panny w powiecie objechał, biorąc
wszędzie odkosza, a teraz szczyrzył zęby do Jul-
ki Warkówny, kuzynki gospodarstwa, kpiąc sam
z siebie, zawodził:

„Czemużeś się nie ożenił, Bartoszu,
Kiedy była szklanka piwa po groszu?
Dlatego się nie ożenił bajdała,
Że mnie jeszcze żadna panna nie chciała!“

Zrobił się straszny chaos, zapomniano o od-
jeździe. Radca Proński w siódmym niebie, dobra-
wszy sobie do pomocy Szaławę, podlewał węgrzyna,

pojąc tancerzy dla podtrzymania sił. Stangretom, czekającym pod gankiem, kazał wynieść wódki i przekąsek, polecając zachować się cicho, a sam próbował namówić gości do pozostania jeszcze dzień jeden.

— Drogę przetrą lepiej, pojedziecie jutro. Nie psujcie zabawy... Każę konie wyłożyć.

Ale drobny wypadek wpłynął ostatecznie na przerwanie zabawy. Jednemu z muzykantów pękła struna, muzyka umilkła na chwilę, z czego korzystając, starsze panie zaczęły wołać: Dość, dość! czas do domu!

Powoli zapał ostygł; pomęczeni tancerze, odprowadziwszy danserki, powybiegali do sieni, gdzie służba szykowała ubrania. Panie również wysunęły się z bawialni, udając się do innych pokoiów, w celu przebrania się na drogę w podróżne kostiumy.

Pan Proński jeszcze zabiegał, prosił i prosił.

— Dokąd wam tak pilno? Zostańcie! Mam jeszcze „kapkę“, palce lizać! Odpoczniecie i pojedziecie wieczorem.

— Poco wieczora czekać? Dawaj sąsiad „kapkę“ teraz... wypijemy, a jechać trzeba — wołał otwarty Szalawa.— Wypijemy i jazda! — odprowadzim państwa młodych! prawda?

— Odprowadzim, odprowadzim! — odkrzyknęto chórem.

— Do samej Kościeszówki.

— Pod dwór! z muzyką!

— Zgoda! zgoda!

— Proszę! serdecznie proszę! — zapraszał Krzyś Oźga—ale nie pod dwór, tylko do środka.

— O! co to... to nie! — zaprotestował Szaława.—Na wszystko będzie pora. Innym razem najedziemy cię, Krzysiu kochanie! ale dziś tylko do bramy...

— Tylko do bramy!— krzyczał Franio Chojnacki.—Dalej nie pozwalam!...

— Ja poprowadzę. Pojedziemy niby kuli-
giem—wołał Bolek Witrzycki, chodząc od jednego do drugiego i przyśpiewując półgłosem:

„Sikoreczka nie ptak,
Panienska nie ludzie—
Trza ją odprowadzić,
Bo sama nie pójdzie!“

Pan młody wymknął się chyłkiem.

— Wiecie co?—odezwał się dobrze cięty Szaława.—Zabierzem muzykantów, niech nam drogą grają, a pod Kościeszówką utniemy państwu młodym serenadę...

— Zgoda na serenadę! zabierzmy kapelę...

— Mam kopne sanie, to się pomieszczą — wtrącił Józef Kotowicz.

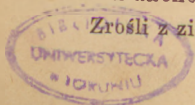
— Czy tylko grać potrafią na takim mrozie? Skrzepną nam żydy — zauważył Bortnicki.

— Mróz... mróz... zachciałeś!—oburknął lekceważąco Szaława.

— Piętnaście stopni.

— To i cóż z tego! W Grenlandyi przy dwudziestu z dachów kapie, a Eskimosięta boso chodzą...

Zróbli z ziemią.



— To „książę“ byłeś w Grenlandyi? — podchwycił lubiący się przekomarzać z Szaławą Bortnicki.

Spojrzał nań zezem pan Szaława i namarzczył się.

— Byłem... byłem... Polowałem na foki! — huknął groźnie.

— Z chartami, czy z wędką?—pytał niezmieszany Bortnicki.

Zaśmiali się słuchacze, a pan Szaława, już na seryo gniewny, uderzył pięścią w stół, nasrożył się i, podszedłszy do Bortnickiego, ujął go za klapę od fraka.

— Słuchajno, Bortnisiu! — zaczął z lekceważeniem, cedząc słowo po słowie — koncept z kalendarza... Nie udawajno mądrego, bo i tak cię żadna panna nie zechce. Szkoda, żeś się ze mną nie wybrał! Byłbym cię z jaką Eskimosówną wyswatał.

— Swataj „książę“ siebie! — syknął przez zębę Bortnicki i, wrywając się z rąk Szaławy, wołał: — Patrzcie go! dowcipniś! „Radziwiłł“ fanfaron! mąciwoda!

Zanosiło się na burzę, bo doskakiwali do siebie zaindyчени, lecz rzucono się między zwaśnionych, rozdzielając i godząc.

— Daj mu pokój! kto widział! Bortnicki! bracie! nie znasz „księcia“, czy co?

— Niceście sobie nie winni.

— On dociął! tyś odpalił!

— Dajcie sobie buzi!

— Et! bo „książę“ to zawsze...—przemówił, zmięczony, pierwszy Bortnicki, podchodząc ku Szaławie.

— Kpiarz jestem i kpiarzem umrę! Daruj, Kochasiu! taka już natura! —zawołał pan Szaława, rzucając się przeciwnikowi w objęcia.

Uścisnęli się. A w tej chwili z drugiego pokoju ozwały się głosy: „cicho... cicho!... państwo młodzi... błogosławieństwo...“ Na progu ukazał się Krzyś z żoną, już do podróży przybraną. Podeszli do rodziców, przyklękli...

W sali zrobiło się nagle cicho, jak makiem posiał.

Pani Tekla, podnosząc słaniającą się do kolan parę, załkała na cały głos, radcy stanęły łzy w oczach. Chciał je powstrzymać, chciał coś przemówić, ale nie mógł. Wargi mu drżały, łzy gradem spływały po policzkach. Podniósł rękę... zachlipał i, objąwszy szyję zięcia, sparł siwą głowę na jego ramieniu. Szlochał jak dziecko.

Zapłakał Krzyś, zapłakała Jadwinia.

— Niech was Bóg prowadzi—wybąknął wreszcie z trudem radca.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!—szepiała, robiąc znak krzyża, pani Tekla.

— Z Bogiem, dzieci moje! nie zapomnijcie o starych—jąkał Proński, a otrząsnąwszy się nieco z rozczulenia, dodał żartobliwie, ujmując zięcia za ucho:

— Tylko mi dziecka nie zmarnuj! bo... bo...
Rzucono się wzajemnie w objęcia. Dwa pokolenia złączył długi, serdeczny uścisk.

Teraz i inni pośpieszyli ku młodym z życzeniami i błogosławieństwem na nową drogę życia, nawet służba dworska, czekająca w sieni, ze starą Gęgarzewską na czele.

— Niechże Przenajświętsza Panienska da państwu wszystko najlepsze!

— Niech Pan Jezus we wszystkim wspiera a błogosławi!

— W zdrowiu! szczęściu! pomyślności!— wołano ze łzami, cisnąc się i całując ręce „panienki.“

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! — dziękował Oźga.—A pamiętajcie o Kościeszówce! niedaleko... kto łaskaw, prosimy zajrzeć... Ja i pani będziemy wam radzi...

W starym dworze biło teraz jedno serce.

Brzękły janczary, furmani huknęli z batów, podjeżdżając. Rozległo się jeszcze raz, drugi i trzeci: „do widzenia! niech Bóg prowadzi!“

I orszak weselny ruszył.

Przodem, w lekkich sankach łubianych, powożąc parą zaprzęgniętych w „szydło“ bułanków, pędził Bolek Witrzycki. Tuż za nim cwałowała czwórka karosów w krakowskich chomontach pana Szaławy. Uprząż dzwoniła, brzęczała. Zamaszysty w centkowanej kierezyi Krakowiak palił raz po raz z bata, bo pan Szaława co chwila pokrzykiwał: „Umykaj! umykaj! śmigaj!“ Opodal kłu-

sowała srokata fornalka Kotowicza z muzykantami, a za nią parą gniadych mierzynów parł Franio Chojnacki, poprzedzając ekwipaż państwa młodych. Za „młodymi“ sunął jeszcze wąż sani...

Krzysia z żoną wiozła zaprzęgnięta do wybitych granatowem suknem sani czwórka siwków Narody, klękajcie! Koń w konia trzysta rubli co najmniej wart! uprząż angielska ze srebrnymi kłamrami, służba w niedźwiedziach... Aż oczy lgnęły.

Krzyś Ożga pół roku jeździł po jarmarkach, nim ślubną czwórkę dobrał, ale za to mógł się pochwalić, że w całej okolicy nikt piękniejszego zaprzęgu nie miał.

Siwki rwały, parskając, chrapiąc, potrząsając wesoło łbami. Stary furman Kaźmirek owinął lejce koło ręki, trzymał z całej siły. Śnieg bryzgał z pod kopyt końskich i sani. Mróz szczypał.

Pan Krzysztof otulał fartuchem nogi żony i raz po raz pytał:

— Nie zimno ci, królowo moja?

— Nie, nie!—szeptała pani Jadwiga.

— Jak wypadniem na pola, pojedziem z wiatrem! Byle się za wieś wydostać.

To znów nachylał się ku żonie, i dotykając prawie jej twarzy, prawił:

— Jeszcze mi się wierzyć nie chce, żeś ty moja... skarby jedyne! Powiedz: „twoja!“—prosił.

— Twoja, twoja!—odpowiedziała cicho.

— Obgadywali mnie ludzie, obgadywali... Ale, chwala Bogu, na mojem stanęło... Zoba-

czysz, jaki będę, zobaczysz! Wierzysz-że mi, wierzysz?...

— Wierzę...

— Niech ci Bóg zapłacił bom się tego bał strasznie...

Wyjął drobną rączkę z tumakowego zarekawka, poniósł do ust i pocałował. Dwie łyzy duże, czyste, zabłyśły w siwych źrenicach i spłynęły po policzkach.

Wyjechano wreszcie za wieś, za opłotki, w szczerze pole. Droga, mimo dużego śniegu, była równiejsza. Bolek Witrzycki strzepnął lejcami, bułanki ruszyły cwałem i cały orszak pomknął z kopyta.

Zabrzęczały raźniej dzwonki, rozległ się głośny klangor janczarów, chrapanie koni, hukanie z batów. Polecieli...

Pan Szaława podniósł się w sankach.

— Muzyka, grać!—huknął. Nie dosłyszano go, więc zaczął rękami dawać znaki i czapką wymachiwać.

Muzykanci wydobyli instrumenty. Zaczęli brzdąkać, spodziewając się sutego zarobku, ale jakoś im nie szło. Kostniejące ręce nie mogły utrzymać smyka, a w dodatku rozgłos dzwonek głośny wszystko. Zaledwie basowe „bum, bum!” donośniej rozbrzmiewało w powietrzu.

— Dość, dość! nic nie słychać—zaczęto wołać.—Zaśpiewajmy lepiej... chórem! Zaczynaj, „księżę,” a my za tobą.

— Jak nie, to nie! — odkrzyknął Szalawa. —
Śpiewać, to śpiewać!

I stojąc w saniach, zwrócony twarzą ku jadącym za nim, zaintonował z całych sił:

„Nie wstało słońce, nie wstały zwierzęta,
A już z chłopcami igrały dziewczęta —
I ja igrałem ze swoją Maryną,
Kiedym był chłopcem, a ona dziewczyną.“

Młódzież zawtórowała chórem, powtarzając ostatnią zwrotkę:

„I ja igrałem ze swoją Maryną,
Kiedym był chłopcem, a ona dziewczyną!“

„Dziewczyną“ — powtórzyło echo.

I mknięto tak, przyśpiewując, z wichrem w zawody, z weselem a radością w sercach, do starego gniazda Oźgów—Kościeszówki.

Słońce miało się ku zachodowi, zagorzały różowym odbłaskiem śnieżne pola.

— Kościeszówkę już widać! — krzyknął pędzący przodem Witrzycki.

— Nasze królestwo, pani moja! Jadwiniu! — rzekł Oźga, ukazując ręką na widniejącą w oddali pod sosnowym laskiem wioskę.

— Nasze, nasze... — powtórzyła, nachylając się ku niemu.

Małeńka rączka wynurzyła się z tumakowego zarękawka, robiąc w powietrzu znak Krzyża Świętego.

Z okien prońskiego dworu rodzicielskie oczy gonily za kawalkadą weselną długo, długo...

— Pojechali...—szepnął radca.

— Pojechali...—westchnęła radczyni, wybuchając płaczem.

Radca machnął ręką.

— Taka to już kolej rzeczy. Trudno! Trzeba będzie, Tekluniu, na stare lata grywać w marysza, bo nie mamy już do kogo zagadać.

Zaszlochali oboje.

Takie były przenosiny państwa młodych w roku Pańskim... kiedy w Gdańsku płaciła pszenica.

II.

— Żebyś szkapę z takimi nogami, jak twoje, Tekluniu, upatrył, dałbym dwa tysiące na stół, jak honor cenię!—przemówił radca Proński, spoglądając z uśmiechem na drepczącą z kąta w kąt żonę.

Zachnęła się pani Tekla.

— Zawsze ci się żarty trzymają, a mnie serce pęka... miejsca sobie znaleźć nie mogę... Już dwa dni jej nie widziałam.

— Prawda! dwa dni—potaknął i zasepił się również.

— A widzisz, a widzisz!

— Zgaduję, czego ci się zachciało, ale widzisz, moja Tekluniu, na wszystko będzie pora. Niech się tam najpierw młodzi z sobą nacieszą—perswadował.

— A ona tymczasem biedaczka tęskni... Może chora—wybuchnęła staruszka.

— Co ci znów w głowie? chora, chora!—zaprzeczył. — Zresztą... kot kotkę okaleczył, kot kotkę będzie leczył — dodał wesoło, lecz spojrzawszy na żonę, której się na płacz zbierało, porzucił ton żartobliwy.

— Dajże pokój, Tekluniu—począł.

Ale i jemu samemu zrobiło się przykro. Westchnął i rzekł po chwili:

— Tak to, tak, na stare lata zostaliśmy sami, jak palec!

— Jak palec!—powtórzyła, łykając łzy, pani Tekla.

— To już chyba jak dwa palce—zażartował znów chcący rozweselić żonę pan Kwiryn, i podbiegłszy do kręcącej się po pokoju małżonki. ujął jej głowę i pocałował w czoło.

— Dałbyś pokój, stary!—fuknęła.— U ciebie śmiech i łzy pomieszane, jak kawa ze śmietanką.

— Jak kawa ze śmietanką? Dobra myśl, żonusi. Zamiast marszczyć się i srożyć, każ dać kawę! Czwarta dochodzi... a ja tymczasem postawię pasyansa. Jeżeli wyjdzie...

— To co?—przerwała.

— To... da Bóg doczekać... w sobotę pojedziemy do Kościeszówki. Żeby tylko na dworze sfolgowało, bo na taki mróz niepodobna z twojem zdrowiem.

— Kiedy mi nie jest!—broniła się uradowana obietnicą pani Tekla.

— Nic, nic, a później dychu, dychu! kwęku, kwęku! i po doktora. Już ja wolę nie próbować. Napędziłaś mi dość strachu w zeszłym roku. Z zapaleniem płuc żartów niema.

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr— już nieco weselej odrzekła na to pani Tekla.— Jak zaczniesz odwłóczyć, do Wielkiejnocy zejdzie, a mnie, Kwiryнку, za Jadwinią naprawdę tęskno, bardzo tęskno!

Przy tych słowach zbliżyła się do siedzącego nad talią kart męża i przesunęła dłonią po jego głowie, mówiąc z przymileniem:

— Nie udajno i ty, staruszku, nieczułego, nie udaj! Mnie w pole nie wywiedziesz. Widzę ja dobrze, widzę... Straciłeś apetyt, popłakujesz po kątach, i tobie tęskno za naszą pieśczołką. No, przyznaj się, tęskno ci?...

Teraz z kolei radca udał zagniewanego.

— Ej! co tam bajesz! tęskno, tęskno—odrzekł, zabębniwszy palcami w stół.—Tęskno!... Czy to niespodzianka, czy co? Wychowaliśmy córkę... poszła za męża i koniec! Zwykła kolej rzeczy, niema nad czem debatować. Trudno przecież pannę trzymać w domu do nieskończoności... Zresztą... baba z wozu, koniom lżej...

— Ładne lżej... już ci lży ciurkiem po wąsach płyną.

W rzeczy samej radca miał lży w oczach. Ojcowskie serce na równi z macierzyńskim tęskniło za ukochanem dziecięciem. Tylko przez wzgląd

na żonę nie chciał się radca wydawać z tęsknotą, starając się żartobliwością pokryć tkwiące w pierśsiach uczucie smutku.

Nie zawsze jednak zdołał panować nad sobą. I teraz wzmianka o łzach do reszty rozrzewniła Prońskiego. Zachlipał, rzucił karty, wstał od stołu i zaczął szybko biegać po pokoju, mrużąc:

— Z kobietami zawsze tak! Jak się której czego zachce, choć łeb urwij! postawi na swoim. Dobrze już, dobrze, pojedziemy! Niech tylko sfolguje. Powinno nawet sfolgować, bo mnie pięty palą.

Potem, przystanąwszy przed umieszczonym we framudze okna barometrem, dodał głośno:

— Spada, będzie odwilż!..

I uśmiechnął się pod wąsem.

Pani Prońska aż ręce zatarła z radości i z okrzykiem „chwała Bogu! chwała Bogu!“ podbiegła do barometru.

— Tylko mi co nie zmajstruj! — przestrzegał lubiący się przekomarzać z żoną Proński.

Lecz pani Prońska nie uważała już teraz na docinki męża, tylko rozpogodziwszy twarz, mówiła szybko:

— Więc w sobotę, Kwirynku, w sobotę? Lece, biegnę... trzeba się do drogi przygotować... I Gęgarzewskiej powiem, dopiero się ucieszy! Koniecznie prosi, żeby ją zabrać do Jadzi. Pozwolisz?

— Jeszcze czego! Zresztą wszystko jedno... w karecie dość miejsca, a Jadwinia ją lubi. Tylko

nie wiem, czy Krzys będzie rad, jak mu się tyle bab pod dach zwali.

— Co też ty wygadujesz! Krzys taki poczciwy, zacny...

— Ta, ta, ta!—drażnił się radca—już on tam, przy całej poczciwości, woli samą Jadzię. Zresztą nie wiem—dodał poważniej,—czy wypada? Jeszcześmy posagu mu nie dali, a już z całym dworem...

— Posagu?..—powtórzyła zdziwiona i urwała, nie skończywszy zdania.

— Hm! hm! czyś co mówiła?— mruknął, odwracając się raptem.

— Ej! nie, nie! Tylko myślałam, żeś mu posag jeszcze przed ślubem wypłacił. Wszakże mówiłeś....

— Mówilem i chciałem, ale on nie chciał.

— Krzys nie chciał?!

— A nie chciał! Co ci tam zresztą do tego? Nie chciał i koniec. Wtykałem mu zaraz po zaręczynach, żeby na ekwipację od żydów brać nie potrzebował, a on... Et! co to dużo gadać! Powiedział mi ni mniej, ni więcej, że nie weźmie. „Po ślubie (mówił), co łaska ojca, przyjmę z wdzięcznością, ale teraz nie tknę! Już i tak mnie za utracysza ogłosili...” Ot co! harda dusza, jak honor cenie!

Prońska słuchała z zaciekawieniem i radością.

— A widzisz, Kwiryнку— rzekła, gdy radca, skończywszy, zaczął się znów przechadzać po pokoju,—a widzisz! Zawsze mówiłam, że to z kościarni dobre. Ludzie go obgadywali, ale ja nie wierzy-

łam! Dobrze mu z oczu patrzyło od razu... Patrzcie! żeś to mi dotąd nic nie mówił. Od pierwszego spotkania czułam coś do tego chłopca.

— A jednak, gdy Barszczewski przyjechał go deklarować, stawiałaś się okoniem.

— A nieprawda, to ty!

— Jako żywo, nie!

I tak pół żartem, pół seryo, zaczęli się spierać staruszkowie, wspominając drugiego dnia po weselu owe niedawno minione chwile, kiedy to pan Krzysztof Oźga ich ukochaną Jadwinę *targował*.

Mrok padł zupełny, a oni gawędzili jeszcze. Spowite przepaskami szarych obłoków słońce gięło zwolna na zachodzie, aż wreszcie, jak zetłona głównia, poczerniało i zgasło. Z nieba zaczęły mrugać z rzadka przysłonięte robrohem chmur gwiazdy i wyplynał blady sierp księżyca... w lisiej czapce.

— Będzie „zmiana“ pewnikiem! — zawyrokował przybyły wieczorem po dyspozycye ekonom.

Jakoż zapowiedź odmiany sprawdziła się co do joty.

W nocy powiał ciepły wiatr z południa, mróz zelżał, zwieszające się z drzew i domostw sople lodu, kruszejąc, odpadały z łoskotem; nad ranem zaczęło kapać z dachów.

Była odwilż.

Na przygotowaniach do podróży zeszedł dzień cały.

Pan Proński, w wyśmienitym humorze, żartował z krzątającej się z Gęgarzewską żony, że cała Prońsk chciałaby zabrać do Kościeszówki, gdyż rzeczywiście pani Tekla pół spiżarni zapakowała w supełki, faski, słoiki, tak, iż wzięcie pod ten „gościńiec“ drugiej furmanki okazało się koniecznem.

Śmiał się ze spiżarnianych prezentów żony Proński.

— Czy ci się zdaje, Tekluniu, że oni się tam głodem morzą, czy co?.. Ręczę ci—mówił, pokazując czworograniasty pakiet, owinięty ceratą,—ręczę ci, że ja im coś lepszego wiozę. Pięćdziesiąt „skórek baranich...“ To trochę więcej warte od twoich konfitur, marynat, nawet z Gęgarzewską razem!

Nazajutrz po śniadaniu wyruszono w drogę.

Dzień był ciepły, chociaż mniej słoneczny, bo śnieg od czasu do czasu dużymi płatami polatywał, a raptowna odwilż roztoczyła w okół jakąś mglistą czarniawę. Zarysowało się wyraźniej ciemne tło okolicznych lasów, na poszarzałej, niby dawno niebielone ściany, śnieżnej powłoce wystąpiły zygzakowate plamy: stare tropy zajęcze, lisie i ludzkich stóp ślady; z odkrytych miedz polnych i przegonów wyjrzały zeschłe badyle bodiaków i dziewanny, żdźbła niewypasionej na jesieni trawy, w rowach, brózdach i nizinach potworzyły się na zakrzepłej lodówce żółtawe kałuże spływającej śniegówki.

Ale droga była dobra, utarta, zaspasy rozbite.

Po zamiękłym śniegu, jak po maśle, ślizgały się kryte sanie Prońskich, a za nimi fornalskie płozy, pełne paczek i paczuszek z wiktuałami.

Pani Prońska, która od lat paru dalej niż do parafialnego kościoła zimą nie wyjeżdżała, otulona w elkową salopę, w watowanej czapeczce i sukienkach berlaczach, raz po raz wychylała głowę z karety i zarzucała męża pytaniami:

— A daleko jeszcze?.. ujechaliśmy już pół drogi? Kiedyż nareszcie będzie ta Kościeszówka?..

Wtórowała jej nieśmiało siedząca na przodzie poczciwa Gęgarzesia, którą również, jak mówił radca, „korciło,“ bo się wierciła, podnosiła i przysiadła napowrót, jakby ją kto na szkle posadził.

Radcę bawiła niecierpliwosć kobiet, więc namyślnie odpowiadał na pytania półsłówkami, lub drażnił się, wołając na furmana:

— Śmigaj, śmigaj! bo to jeszcze kawał drogi.

W rzeczywistości jednak z Prońska do Kościeszówki było niespełna cztery mile, po dobrej drodze nie całe trzy godziny jazdy.

Jakoż słońce zaczęło dopiero skręcać ku południowi, gdy na ujętej w klamry sosnowych borów przestrzeni ukazały się najpierw dwa szeregi chat włościańskich, a dalej nieco w pośrodku wioski kępa ogołoconych z liścia drzew, rzędy strzelistych różg topoli, olbrzymie rosochy białodrzewiu, powiewne kiście brzoź, z pośród których, niby za-

wieszony w powietrzu, wystrzelał przyprószony śniegiem płaski dach dworu z trzema buchającymi dymem kominami na grzbiecie.

Proński wychylił się z sani, rzucił okiem, potem spojrzął na żonę i uśmiechnął się.

Pani Prońska, urażona na męża za poprzednie niejasne odpowiedzi, wtuliwszy się w kąk karety, siedziała zaszępiła.

— Powiedziałbym ci coś...—odezwał się Proński—ale kiedy się gniewasz...

— Boś nieznośny z temi ciągłemi kpinami! Myślałby kto, że masz dwadzieścia lat, a tu już szósty krzyżyk... Wstydziliś się, doprawdy!

— Czego się mam wstydzić? Czy może tego, że... że... już... Kościeszówkę widać!

Prońska omal nie wyskoczyła z sani, zerwawszy się z siedzenia.

— Kościeszówka! ty nic dobrego! A ja myślałam, że ledwie wieczorem staniemy. Pokaż-że, gdzie... czy pod lasem?..

Więc radca, ukazawszy ręką w kierunku wioski, mówił w dalszym ciągu:

— Patrz! tam granica... hen ku lasowi na lewo, dalej tam pod górkę aż po Zabłocie Szaławy. Rzeka rozgranicza.

— A ten las?—spytała.

— Także kościeszowski. Za lasem jest jeszcze Krzysiów folwark, ale stąd zabudowań nie widać—objaśniał.

— Mój Boże, mój Boże! to już! — radowała się Gęgarzewska, biorąc w ręce, aby mieć napodorędziu, kanwową torebkę, w której wiozła pół tuzina ciepłych pończoch własnej roboty na nowe gospodarstwo dla swej Jadwisi.

A Proński, nachyliwszy się ku żonie, opowiadał dalej półgłosem:

— Ładny to szmat ziemi! Trzydzieści włók pod pługiem, jak obszył! nieużytków prawie nie ma, łąk dwukośnych prawie sto morgów... i jakich! Potraw za siano obstoi. Przytem i lasu, choć przechlastanego, ale kawał. Majątek całą gębą! Co prawda, hipoteka zamazana. Pięćdziesiąt tysięcy nieletnich Waszyńskich, dług jeszcze przez nieboszczyka ojca Krzysiewego, ś. p. pana Rafała, zaciągnięty, „Towarzystwo“ duże, a i Krzys coś tam u żydów dorobił. Mówił mi Mordka, że samemu Szymsze dziesięć tysięcy winien.

— Dziesięć tysięcy! — westchnęła Prońska. — Najgorzej z żydami.

— Jakoś to tam będzie! Przed ślubem nie śmiałem mu tego mówić, ale teraz natrę z góry. Musi najpierw te parszywe długie pospłacać, bo to najgorsze... O resztę mniejsza, spłaci się powoli. Trochę się załata posagiem Jadwini, a reszta jak Bóg da! Młodzi, mają czas... Krzys zawołany gospodarz, byle tylko statkował, wyrobi się przy naszej i Boskiej pomocy. Byle tylko przysiedział fałdów...

— Tak przecie kocha Jadwinię! Dla niej samej...— wtrąciła pani Tekla.

— Bał kocha, kochał Niechby nie kochał dałbym ja mu! Ale co to gadać! Chłopiec złoto, za Jadwinią szaleje, bo to widoczne... przecież go swatali z tą milionerką Pokrzywnicką, a nie chciał... będzie siedział w domu, zagona pilnował. Albo im to źle we dwoje? Pamiętasz, Tekluniu, jak to my z początku... kijem mnie z domu nie wypędził!

Przy tych słowach ujął rękę staruszki i pocałował.

Tak rozmawiając, dojechano do wsi.

Już idąca wyciągniętym kłusem czwórka kasztanów, parskając, zanurzyła się w szyję opłotków, gdy na polance pod lasem ukazał się jeździec na dzielnym gniadoszu, a za nim na grubopłaskim bułanym podjezdku dojeżdżacz ze smyczą chartów.

Myśliwy na odgłos dzwonek przystanął, spał się w strzemionach, przysłonił dłonią oczy. Poznał jabłkowite kasztany.

— Antek! to z Prońska?..

— Z Prońska, jaśnie paniel!—potwierdził śledzący również za sunącemi przez wieś saniami wyrostek.

— Jazda!— huknął Oźga (gdyż on to, korzystając z odwilży, wybrał się z chartami na kota), i ściągnąwszy cugle, wypuścił gniadosza cwałem. Koń wyciągnął się jak struna, położył uszy po sobie i, rozmiatając śnieg kopytami, pomknął jak strzała. Dla skrócenia drogi skręcił pan Krzysztof

konia i pocwałował na przełaj przez pole. Przesadziwszy rów przydrożny, dotarł do opłotków, spiął gniadosza, koń skurczył się, zebrał do skoku i za chwilę pędził już Oźga po drodze, wiodącej ku dworowi, na której jeszcze połyskiwały świeże ślady sanie.

Koń brzuchem dotykał ziemi, a Oźga naglił jeszcze. Chciał koniecznie zabiedz drogę, uprzedzić Jadwinę i powitać teściów na progu domu. Ale daremnie dzielny wierzchowiec wyteęzał siły. Sanie wjechały już na dziedziniec. Zaledwie udało się Oźdze dopaść równocześnie pod ganek.

Jeszcze osadzony w miejscu gniadosz nie zdążył wypuścić pary z rozwartych chrapów, a już Krzys z okrzykiem: „Ojciec! mama! a to mi goście!” ściskając i całując, prawie na rękach powynosił przybyłych z karety.

W zapale dostało się nawet „Gęgarzesi,” którą w obydwie rumiane policzki wyczałował.

— Waryacie, co robisz! a to szalał! Udu-sisz mnie!—bronił się rozradowany radca.

— Dajże pokój, dziecko kochane!— protestowała unoszona w silnych objęciach zięcia pani Tekla.

— Co też pan dziedzic wyrabia!—wykrzykiwała zażenowana gospodyni.

A Krzys biegał od matki do ojca, od ojca do matki, obcałowując ręce, ściskając w pól i wykrzykując:

— A to mi goście! dopiero się Jadwinia ucieszył!

Tymczasem stary lokaj Wawrzyniec, który na odgłos dzwonek wybiegł do sieni, widząc, kto przyjechał, w te pędy pobiegł zawiadomić o tem panią Jadwigę, znajdującą się pod tę porę w izbie czeladniej, gdyż młoda mężatka, chcąc się przed mężem popisać znajomością gospodarstwa, od razu zarząd domu wzięła w swoje ręce.

Stała właśnie przy olbrzymim saganie i próbowała barszczu, przeznaczonego dla czeladzi, gdy wbiegł zadyszany Wawrzyniec z okrzykiem:

— Państwo starsi przyjechali!

Na te słowa pani Krzysztofowa zarumieniła się z radości i wybiegła tak jak stała, w rannym negliżyku, przepasana fartuchem, nawet z trzymaną w rękę łyżką.

I stanęła tak przed rodzicami, w tym stroju wiejskiej gosposi, z berłem swej władzy—łyżką, zarumieniona, że aż małeńkie uszka poczerwieniały. Tchu w piersiach złapać nie mogła.

Radość odebrała jej mowę, tylko w oczach jaśniało wesele, szczęście, niezamącone niczem szczęście!

Przez chwilę stała jak wryta w miejscu, nie wiedząc, kogo najpierw witać; wreszcie wyciągnęła obie dłonie, toż samo uczynili starzy—i trzy pary rąk złączyły się w jeden długi, serdeczny uścisk.

— Ojciec, mama i pocziwa „Gęgarzesia!” jacyście wy dobrzy, jacy dobrzy!—powtarzała młoda mężatka raz po raz, dzieląc między wszystkich uściski i pocałunki.

— Chodźcież państwo do pokoju!—nawoływał Krzyś, ale napróżno. Nie mogli się dość sobą nacieszyć.

Wreszcie, gdy przeszedł liczny wylew czułości, udało się panu Oździe wprowadzić całe grono do najbliższego pokoju.

Tu powtórzyło się toż samo.

Z jednej strony matka, z drugiej ojciec, stanęli, jak na straży, przy młodej mężatce, patrząc jak w obrazek.

Proński co chwila brał córkę pod brodę, przysuwał jej twarz do swojej, spoglądał badawczo w piwne oczy Jadwini, jakby z nich coś ciekawego pragnął wypatrzyć, i co chwila powtarzał:

— Ktoby się to był spodział, kto! Taka smarkula... i już mężatka! prawdziwa mężatka!

Lub nachylając się, coś szeptał do ucha, na co zapłoniona Krzysztofowa tylko pocałunkiem odpowiadała.

— A jaka gosposia, jaka gosposia!—przytakiwała z drugiej strony pani Tekla.— Przymizerniałaś trochę, moje dziecko! Ale to może ze wzruszenia. Jednakowoż trzeba się szanować—radziła, gładząc córkę po czole.

— Zwłaszcza nóg, Boże uchowaj! nie zamaczać... a to przy gospodarstwie łatwo — wtrąciła Gęgarzewska, wydobywając równocześnie węzełek z pończochami.

Chwila wydała się odpowiednią dla wręczenia podarunku. Podeszła bliżej i, podając pęk pończoch młodej mężatce, zaczęła:

— Sama robiłam. Przydadzą się panien... pani...

Zmieszała się bardzo, bo nie wiedziała, jak ma tę Jadwinę, którą na rękach nosiła, tytułować.

— Dla Jadzi, tak jak dawniej, pocziwa, zacna Gęgarzesiu!—przemówiła Krzysztofowa, ścisnąwszy serdecznie staruszkę.— Bóg wam zapłać! Dopiero będę miała wygodę! choć w trzaskający mróz można chodzić, takie ciepłe.

— I ja ci tam troszkę przywiozłam do spiżarni—pochwaliła się teraz z kolei Prońska,—bo wiem, że to tam w kawalerskim domu wielu rzeczy brakuje.

— Ciekawy jestem, czego ci u mnie swojego brakowało? — wtrącił się Proński. — Znalazłaś wszystkiego w bródl..

-- Nie wierz też, nie wierz ojcu, mój Krzysiu!—odcięła ze śmiechem.— Zastałam trzy kopy nóżek baranich i ćwierć osypki dla chartów.

Zaśmiali się wszyscy, nie wyłączając Gęgarzewskiej, która, jako gospodyni pana Kwiryna jeszcze z kawalerskich czasów, wiedziała coś o tem.

Radca początkowo udał obrażonego, ale po chwili roześmiał się również na całe gardło i, zwracając się do zięcia, rzekł:

— Widzisz, Krzysiu, jak nas obgadują!

— Biorę na świadectwo Jadwinie, że u mnie, prócz osypki, znalazło się coś więcej—odrzekł Ożga.

W tym momencie, jakby na potwierdzenie tych słów, uchyliły się drzwi i ukazał się Wawrzyniec z pełną tacą zakąsek w ręku.

Wytrawny sługa, nie czekając rozkazu, zajął się przygotowaniem śniadania.

— Tum cię czekał!—zawołał wesoło Krzyś.— Oto dowód. Kochani rodzice pozwolą... Proszę do stołu!...

— Mamuńciul tatkul proszę! — zapraszała Jadwinia, rozstawiając na stole poczęstunek. — Proszę, bo obiadek będzie nie bardzo...

— A cóż tu, u licha, po obiedzie!—rzekł Proński, ukazując na zastawiony stół — tego starczy... Zrazy z kaszą... pyszna rzecz! No, Krzysztofiel daj-no gorzałki!...

Zasiedli do stołu. Jedną tylko Gęgarzewska, mimo zaprosin, wymówiła się obserwowanym postem. Poprzestawszy na kieliszku wódki i kromce chleba z masłem, dygnęła na podziękowanie i wybrała się na zwiedzanie gospodarstwa.

Panowie ćwiczyli z apetytem, ale panie zaledwie dotknęły potraw. Panią Teklę nasycił widok ukochanej córki; jedzenie zastąpiła ożywiona rozmowa, prowadzona niekiedy półszepceniem, widocznie niedostępnej dla męskiego ucha treści. Młoda mężatka, zapłoniona, odpowiadała matce z niejakim zakłopotaniem, malującym się w dużych piwnych oczach.

Proński kilkakrotnie wskazywał zięciowi ruchem głowy zagadane kobiety. Wzruszał ramionami, uśmiechał się pod wąsem, jakby się dziwił, wreszcie rzekł:

— Jak te kobiety paplać lubią! Gotowe wszystko poświęcić... Oho! już ja tu prędko matki nie przywiozę! Poschłyby nam żony, mój zięciu! Zamiast jeść... panie pytlują a pytlują!

— Tatuńciu! — odezwała się z wyrzutem Krzysztofowa, a Krzyś, chwyciwszy półmisek, podbiegł do matki i, mimo protestu staruszki, nałożył jej kopiasty talerz zrazów.

— Mateczko! ojciec ma rację! Jeśli mnie mateczka kocha, proszę zjeść choć troszkę, tycia... — prosił.

— Ależ! — broniła się.

Mimo to, zaczęła jeść, spoglądając z lubością na zięcia, który podobną porcyę wydzieliwszy żonie, głośnymi pocałunkami w samo czoło dodawał apetytu Jadwini.

Radca, śmiejąc się, potakiwał:

— Tak, to aż miło! Właśnie! właśnie! Zuch z Krzysztofala! A co, synu! widzisz, jak nam się teraz żony zabrały do jedzenia. Nastraszyłem matkę i patrz! ćwicz, aż jej się nioby trzęsą! cha! cha! Wolno! wolno! bo się udławisz, Tekluniu! — wykrzykiwał wesoło i, zwróciwszy się do Krzysia, spytał:

— Ale, ale! jakże ci się polowanie udało? Psy nie zapadają? he?

— Pole doskonałe! tylko szelmy koty pomykają daleko! Drapnął mi jeden, ale za to drugiego zajechałem prawie w kotlinie... Wzięła go Lotka bez obrotu... Bo to, widzi ojciec, obiecało nam się kilka osób na jutro — opowiadał z ożywieniem Oźga.— Nawet mi to nie na rękę, bo właśnie wybieraliśmy się dzisiaj do rodziców... ale skoro...— tu pocałował Prońskiego w ramię—skoro rodzice tak łaskawi... to jeszcze lepiej! Będzie nam weselej. Dziś wieczorem pewnie ściągnie wuj Barszczewski.

— Barszczewski? Wyśmienicie! utniemy pulkę we trzech. Ale teraz nie traćmy czasu. Zostawmy kobiety, niech się tam ze sobą nacieszą... a my przejdziemy do gabinetu na cygara. Chcę z tobą na osobności pomówić—szepnął na ucho.

Wyszli.

Kiedy się znaleźli w ubocznym gabinecie, radca z całą powagą wyjął z kieszeni surduta cematowy pakiet, i podając go Krzysiovi, rzekł krótko:

— Oto posag Jadwini. Proszę cię...

Na twarzy Oźgi odmalowało się chwilowe zakłopotanie. Wziął podawaną paczkę, pocałował ojca w ramię raz i drugi, i, jakby nie wiedział, co ma z tym fantem robić, stał w miejscu, milcząc.

Po sfałdowanem czole znać było, że myśl skupia, że chciałby coś powiedzieć, lecz obawa obrażenia teścia zamyka usta.

Wreszcie jeszcze raz schylił się do ręki ojcowskiej i rzekł z niejakim wahaniem:

— Dziękuję kochanemu ojcu za tę pomoc, która, Bogiem a prawdą, przyda mi się bardzo. Ale majątek Jadwini powinien być nienaruszonym... Dlatego biorąc go, proszę o pozwolenie zahypotekowania.

Zachnął się radca.

— Skoro ci zawierzyłem córkę, co więcej chyba znaczy, mój Krzysiu, od głupich kilkudziesięciu tysięcy...—przerwał—to już o hypotecę nie ma mowy! Gdzie dobrej wiary niema, tam pisaniny psu na budę! Bierz, skoro ci daję i ufam! a o żadnych rejentach, aktach nie wspominaj! Przyjm tylko jedną radę od starego: spłać najpierw żydów, bo to nas gubi. Te małe, kieszonkowe dłużki stokroć gorsze od sum hypotecznych. Nie wiadomo kiedy urosną!

Ujął zięcia za ucho, pociągnął i żartobliwie spytał:

— Wiem, żeś tam porządnie nasmarował... Młode piwo! No, przyznaj się, ile to tam będzie tych „niżej podpisanych?“

Ożga rozkrzyżował ręce, wzruszył ramionami.

— Albo ja wiem, ojczcze!— odrzekł szczerze.— Brało się i stąd i zowąd. Słowo honoru, na razie nie wiem! Ale znów nie tak wiele!—dodał, uspokajając.—Nie tak wiele... Zwołam szelmów i hurtem popłacę!

— Właśnie, właśnie!— potwierdził Proński.— Chociaż źle, żeś się dotąd nie obliczył. Najgorzej

nie wiedzieć... Zaskoczyliby cię niespodziewanie i skórę zdarli.

— Cicho siedzą...

— Nie bój się, nie bój! ruszą się szelmy. Niech tylko zwąchają, żeś przy pieniądzach.

— A i owszem! Nie będę ich przynajmniej szukał po całej gubernii.

— Już-to, nie wymawiając, nie brakowało ci talentu do robienia długów.

— Sami się nieraz napierali.

— A ty, rzecz prosta, brałeś!.. Oj, młodzi, młodzi! Ale i ja takim ongi byłem—mruknął do siebie Proński i zamyślił się.

Ożga zamilkł również. Rozmowa z Prońskim, choć prowadzona po przyjacielsku, z całą ufnością, bo pan Krzysztof, otwarty z natury, nie chciał niczego przed teściem taić, zaniepokoiła go jednak. Za kawalerskich czasów płynął mu sam grosz w ręce, brał bez rachunku, nie licząc, nie troszcząc się, kiedy i z czego odda. Prawda, że wierzyciele natarczywymi nie byli. Dopisało się na kwitach procent... siedzieli cicho. Nie było potrzeby rachunku. Nie wiedział też Ożga istotnie, ile winien. Ale to było dawniej. Teraz rozbudzona pytaniami teścia pamięć zaczęła pracować, skupiać sumy, dodawać kwit do kwitu, pożyczkę do pożyczki...

Przed oczyma zamysłonego Ożgi przesuwali się w tej chwili cały szereg wierzycieli. Rudy Szymcha Rajzman, „ciotka“ Fajglowa, Jojna Cyc, Mendel Pinkus, cała hurma handlarzy końmi, kup-

ców zbożowych, w poplamionych chałatach... Widział rzeszę jarmułek, schylających się pokornie do kolan, setki rąk wyciągniętych ku sobie, a każda z nich trzymała kwit, rewers, kontrakt zbożowy, z podpisem: *Krzysztof Oźga*.

Wzdrygnął się.

— Dyabli nadali!—zaklął w duchu. I począł znów liczyć. Ale daremnie.

Rachunek zrywał się co chwila, liczby plątały się w pamięci, cyfra zastępowała cyfrę, koniec zaciemniał początek. Krzyżowały się setki, tysiące, jedne odpadały, przybywały drugie.

Próbował zliczyć „co z większa,“ lecz, mimo wysiłku, i to się nie udawało. W umyśle Oźgi powstał chaos, istny wir liczb, zamęt, którego pamięcią owładnąć nie mógł.

Jedno tylko wiedział teraz na pewno, że było tego dużo, bardzo dużo.

Zakreśliło mu się w głowie, na czoło wystąpiła chmura. I pierwszy to raz może w życiu uczuł się niezadowolonym z siebie.

Proński, zadumany również i milczący, dostrzegł wreszcie frasunek zięcia.

— Pewnie mi się co ostrego wyrwało i chłopak wziął do serca --pomyślał i jął łagodzić:

— No, no! nie trać fantazyi, chłopcze. Nie święci garnki lepią! Nie w takich jeszcze opałach bywali inni, a jakoś wychodzili cało. Ja sam... przyznam ci się, także swojego czasu... panie tego... A jakoś Bóg dał! Dzieci wyposażyłem, mam do

ust co włożyć i jeszcze, po najdłuższem życiu... Nabroifeś, kochasiu, bo nabroifeś!.. ale... Jednych splećmy zaraz, drudzy poczekaiją jeszcze... i jakoś to będzie!

Mówił to łagodnie, głosem miękkim, pełnym otuchy. Więc Ożga, który z natury niczego bardzo do serca nie brał i trapić się długo nie umiał, rozchmurzył się, spogodniał, i rzucając się teściowi w objęcia, zaczął powtarzać wesoło:

— Pewnie, że jakoś będzie! Co nie ma być! Jednych splećmy zaraz, a drudzy poczekaiją. Czekali dotąd, mogą jeszcze. Naobdzierali mnie procentami, mogą... Jak ich przycisnę, to się jeszcze od niejednego szelmy coś utarguje.

Proński słuchał i potakiwał skinieniem głowy, a Ożga wyliczał niektórych wierzycieli i wysokość wierzytelności, o ile mu w pamięci zostały.

Rozweselił się na dobre i wymieniając „co z grubsza,“ pokpiwał z samego siebie:

— Spora litania! a to dopiero grube ryby! Płotek... to, jak ojca kocham, nie pamiętam, ale mniejsza o to! jakoś to będzie! Przy pomocy kochanego ojca dam sobie radę. Choćbym miał ręce po łokcie urobić, nie dam się żydom.

Proński pocałował go w czoło. Przerazał go wprawdzie ogrom długów, ale ujmowała otwartość zięcia. Zresztą widział, że, pomimo wszystkiego, stan interesów nie jest rozpaczliwym, że istotnie przy jakiej takiej rządności wyrobić się można. O dobrych chęciach Krzysia nie miał potrzeby wąt-

pić, a słyszane przed chwilą słowa, zapał, z jakim je Krzysztof wygłaszał, wrodzony przytem optymizm, utrwały w Prońskim przekonanie, pewność nawet, że naprawdę jakoś to będzie!

Więc wysłuchawszy wywodów zięcia, zaczął mu jeszcze więcej dodawać otuchy, pouczając, jak sobie ma w niektórych okolicznościach radzić.

I gawędzili tak czas pewien, z pogodą w sercu, z wiarą w jasne słoneczne jutro, aż miłą pogawędkę przerwał najpierw dolatujący z podwórka odgłos dzwonek, potem dwukrotny trzask z bicza.

Pod oknami dworku przemknęła buchająca oparem czwórka karosów.

— To książę! — zawołał Krzyś, podbiegłszy do okna, poczem wypadł szybko na ganek na powitanie pana Szaławy.

Teść podążył także za zięciem, a równocześnie z nimi zjawił się w przedsieniu stary Wawrzyniec z doniesieniem, że obiad na stole.

Więc pan Szaława, który zaledwie zdążył wysiąść z sani, witając serdecznie gospodarza, wołał:

— A co? Mam niuch! waza na stole! w to mi graj! Wawrzynie! a co tam macie na obiad? Pewnie jaki krupnik, jak zwykle?... Przepraszam! zapomniałem, że to nie dawne czasy! Jest gosposia, jest!... to i ład pewnie inny. Już ślinę łykam...

Gadał jednym tchem, obcałowując pana Krzysztofa, rozkładając zamasyście rękoma, chrząkając, sapiąc.

W tym momencie, postawiwszy kołnierz u surduta, wyszedł i Proński na ganek z okrzykiem:

— A toś nam księżę z nieba spadł!

— Dziadziol a może i babcia tutaj?—huknął teraz Szaława, podsuwając się do pana Kwiryna.— A to niespodzianka! Dalibóg! nie spodziewałem się radcostwa. Pilno widać dziadkom. Dobrze powiedziałem, Krzysiu? Hm? No, ale o tem potem—papał, idąc między Oźgą a Prońskim do wnętrza,— a teraz najważniejsza rzecz: co mnie tu sprowadza.

— Zawsze rad widzę kochanego sąsiada—wtrącił Oźga.

A pan Szaława mówił dalej:

— Bo to, widzisz sąsiad... ni mniej, ni więcej, tylko zamierzamy was jutro najechać. Wybiera się pół powiatu. Nie chciała góra do Mahometa, więc... Miała to być niespodzianka, wzięli nawet ode mnie słowo, że się nie wygadam, ale pomyślałem sobie: nuż się młoda gosposia skręci? i wpadłem uprzedzić. Tylko szal ani mrumrul boby mnie zakrakali.

— Serdecznie dziękuję sąsiadowi — odrzekł wesoło Oźga.—Nie damy się zjeść w kaszy! nie damy! I tak mieliśmy mieć kilka osób z rodziny... im więcej, tem lepiej.

Teraz długi, procenty, żydzi, cała rozmowa, prowadzona przed chwilą z teściem, wywietrzały mu z głowy. Zaprzątała go tylko jedna myśl, żeby wystąpić pokaźnie, co się zowie!

Więc prowadząc do jadalni Szaławę, wołał już z daleka do krzątającej się koło stołu Jadwini:

— Żonusiul mamy gości! Mamol jutro pół powiatu u nas... czysty najazd, słowo daję! Ale nas nie zaskoczą znienacka? prawda? Pocziwy ksiązę, przyjechał umyślnie uprzędzić... Dam ja im niespodziankę! Kiep będę, jeśli którego trzeźwym puszcze!

Radość mu biła z twarzy, oczy gorzały.

— Kiep jestem!—powtarzał. — Spłatamy im takiego psikusa, że ręką, nogą nie ruszą!

— Tak, tak! —potwierdził Szaława, który podczas Krzysiowej oracyi, powitawszy z głębokiem uszanowaniem panią Prońską, teraz zbliżył się do pani domu z komplementem „o różycze“ na ustach.

— Nie zaśpimy w kotlinie, sąsiadeczko dobrodziejko! Niech świat wie, co to znaczy pani Oźdźynał do tego Prońska z domu. Podziwiano dotąd pięknosc różyczki, teraz z kolei gospodarnosc pszczółki... panie dobrodzieju!

I byłby tak komplementował, cmokając raz po raz różową rączkę pani Krzysztofowej, ale Proński przerwał:

— Dajcież już pokój! zupa wystygnie! Krzysiu! gorzałki do księcia, że dobrą przywiózł nowinę! Siadajmy...

Skoczył Krzyś, przepił na jedną, na drugą nogę, zaczem wszyscy siedli i, rozmawiając z ozywieniem o jutrzejszem przyjęciu, sadzili się na pochwały dla młodej gosposi za wyśmienicie przyrządzony obiadek.

Zwłaszcza pan Szaława unosił się nad każdą potrawą. Chwalił, dobierał po raz drugi, wykrzykując:

— Jak Boga kocham!... palce lizać... W kącie stara Chojnacka, choć także słynne nalewki robił Jak honor szanuj! to mi gosposia!

Panią Jadwigę żenowały cokolwiek te przesadzone pochwały, bo obiad był zwyczajny, gospodarski, ale pani Tekla rosła, słuchając i pełna dumy macierzyńskiej, uśmiechnięta, skinieniem głowy potakiwała słowom Szaławy. Krzyś promieniał po prostu, a i radca Proński uśmiechał się pod wąsem z zadowolenia, ale, lubiąc się z natury przekomarzać, wtrącił nawiasowo:

— Tak, tak! znać rękę... Gęgarzesi...

— Przepraszam! — zaprotestowała Jadwina—przepraszam ojczulka... Ja sama z Jacentym... Gęgarzesia wypoczywa po drodze.

Stanęła zaraz energicznie w obronie córki matka, więc radca, odparty z dwóch stron, śmiejąc się do rozpuku, wołał:

— Kapituluję! bo ktoby tam babę przegadał! I uderzywszy się w piersi na znak skruchy, wyciągnął pusty talerz przed siebie, mówiąc:

— Dołóż-no mi jeszcze kawałek, Jadwiniu.

Był to rodzaj pokuty za przewinienie.

Po obiedzie panie zakrzętnęły się około przygotowań na dzień jutrzejszy. Stoczono walną naradę, w której brała również udział Gęgarzewska i kucharz Jacenty. Krzyś zaś, wyprawivszy na-

tychmiast posłańca do miasteczka z konotatką po różne sprawunki, w złotym humorze wrócił do grających w pikietę teścia i Szaławy.

O szarej godzinie grę przerwano, błysnął ogień na staroświeckim z zielonych kafi kominku, i wszyscy trzej panowie, wpatrując się w trzaskające głównie, cięli gawędkę na temat różnych gospodarskich kłopotów i zachodów.

Nad wieczorem nadjechał pan Barszczewski, wuj Oźgi, zwany od powtarzanego często przysłowia „*Tu i tam*,“ ten sam, który siostrzeńcowi za swata służył. Kompania się zwiększyła i rozmowa, i tak ożywiona, potoczyła jeszcze raźniej.

Już i wówczas przejawiała się potrzeba zwiększenia wypłodności ziemi, więc pan Barszczewski, gospodarz zawołany, wszczął kwestyę nawożenia, przedstawiając jasno konieczność zwrócenia ziemi tego, co się z niej czerpie.

Radca Proński z Krzysiem słuchali uważnie racjonalnych wywodów starego Marymontczyka, co jeszcze pod Oczapowskim praktykował. Szaława potakiwał, lecz nie mogąc ścierpieć długiego milczenia, w końcu zabrał głos i, jak zwykle koloryzując, zaczął prawić na tenże temat:

— Już-to, Bogiem a prawdą, daleko nam jeszcze do zagranicy Słusznie twierdzi sąsiad dobrodziej—zwrócił się do Barszczewskiego,— że u nas pod względem... jak się to zowie?... sterkoryzacyi pozostaje jeszcze wiele do zrobienia. Skarby, skarby marnujemy dobrowolnie...

— Przesadzasz książkę! Gdzie znów!—zapreczył gospodarz.

— Jak cię kocham, prawda!—odparł—ot! niedaleko szukając...

Tu obejrzał się, a dostrzegłszy gawędzące w sąsiednim pokoju panie, zniżył głos i prawie szepem dokończył zaczętego zdania.

— A w Holandyi, panie!—perorował dalej półgłosem—to każdy Holender, wychodząc z domu, bierze na wszelki wypadek szaflik na plecy, aby w drodze nic nie uronić. Słowo honoru!

Zaśmiali się słuchacze.

— „Książkę“ po swojemu koloryzuje—napomknął Barszczewski.

— Słowo honoru! na własne oczy widziałem—upewniał Szalaawa.—Więcej powiem! W niektórych okolicach podczas sadzenia tulipanów jedzą kaszę z rycinusem i cała wieś wychodzi na pole od sąsiada do sąsiada... To też rezultaty są!—dodał z przekonaniem.

Głośny śmiech zagłuszył ostatnie słowa. Proński chichotał aż do łez, Barszczewski również, a Oźga, porwawszy Szalaawę w pół, począł wykrzykiwać:

— A niechże „księcia“ nie znam! A to spóś! cha! cha! cha! Wypróbujże go „książkę“ na Zabłociu... Cała okolica przyjedzie podziwiać... tylko kobiet nie spraszaj! cha! cha!

Pan Szalaawa silił się na powagę, dusząc śmiech w sobie, ale widocznem było, że długo nie

wytrzyma. Wydał policzki, wargi zacisnął, oczy wylupił i, wyrывая się z objęć Krzysia, powtórzył tylko:

— Kiedy bo z wami poważnie rozmawiać niepodobna!

Wreszcie nie wytrzymał i parsknął śmiechem tak gwałtownie, że Oźga wypuścił go z ramion i w bok odskoczył.

Właśnie zwabione wykrzyknikami, panie nadeszły z drugiego pokoju, więc pan Szaława przez gwałt zapanowawszy nad sobą, zrobił marsa i niaby oburzony jął przedstawiać:

— Śmieją się z Szaławy, gdy czasem coś palnie, pani radczyni dobrodziejko!—mówił, zwróciwszy się do pani Tekli—śmieją się, gdy coś mądrego powie. Dogódźże tu ludziom! Opowiadałem właśnie kochanym sąsiadom o fabrykacji trociczek... z trocin... widziałem na własne oczy za granicą! I... kpią sobie ze mnie, choć wiadomo, że żywica pachnie, a w trocinach...

— Kwituję z takich trociczek!—przerwał Proński, biorąc się pod boki—kwituję! Chodź, Teci, to ci powiem...

I zaczął szeptać żonie na ucho.

Pani Tekla słuchała z początku uważnie, ale po chwili odsunęła się raptownie, wołając:

— A fe!... kto widział! a fe!

Oźga znów roześmiał się na cały głos.

— Jadwiniu! a tyś nie ciekawa?—spytał, chociaż.

— Dowiem się od mamy—odpowiedziała, rumieniąc się cokolwiek.

— Protestuję! — huknął Szalawa — protestuję!

— Dlaczego?—zaśmiała się Krzysztofowa.

— Bo to z kobiecem gospodarstwem nie ma najmniejszego związku.

— Przepraszam „księcia...” ale tulipany, tu i tam, to przecie niewieścia rzecz — wtrącił półgębkiem pan Barszczewski.

Żachnął się przyparty do muru Szalawa, nabuńdziuczył i już na seryo gniewny odciął:

— Tu i tam... tu i tam! Właśnie, że *tu i tam*, ale trzeba wiedzieć, gdzie! Ot co! Co między nami... to między nami... Lecz dla kobiecego ucha... jeszcze takiego uszka!...

Urwał, wskazując Jadwinię oczyma, i po chwili dokończył, motając wąsa:

— Od nikogo nauk nie potrzebuję!

Więc Oźga, widząc, iż Szalawa obraził się istotnie, zaczął mitygować.

— Dajże „księżę” pokój! Kto znów kogo uczy? Zwyczajnie pośmieliśmy się trochę i koniec... Wielkie rzeczy!

— Proszę się nie gniewać, przecież nic mi nie powiedziano—wtrąciła Jadwinia...

— A to lepiej utnijmy preferansa!—zaopiniował Proński i, ująwszy Szalawę pod jedno, a Barszczewskiego pod drugie ramię, pociągnął obu antagonistów do stolika.

Przy kartach wróciła zgoda, tylko pan Szaława, ćwikując od czasu do czasu, przedrzeźniał:

— Dyabli wiedzą, czy atu na jednej ręce, czy *tu i tam?*

I spoglądał z pod oka na Barszczewskiego.

Panie wobec nawału zajęć, wywołanych zapowiedzianym zjazdem, pragnąc się wywczasować, poszły spać wcześniej, oni zaś grali, popijając węgryna, daleko w noc, ku wielkiemu zadowoleniu Szaławy, któremu karta szła, jak nigdy.

Tegoż wieczora, po szabasie zaraz, Lejzor Szpic, pachciarz z Kościeszówki, wyruszył do miasteczka, a o świcie był już w mieszkaniu Symchy Rajzmana.

III.

Jeszcze raz rozbrzmiał w powietrzu głos sygnaturki, ścichły organy i lud zaczął się wysypywać z kościeszowskiego kościołka, niby wiązanka kwiatów z kosza. Mężczyźni w odświętnych strojach, czapkach czerwonych lub magierkach, w sukmankach i kapotach w deseń „siutasem“ szytych, w kierezyach centkowanych, kobiety w różnokolorowych chustkach na głowie, suto błyszczącymi szpilkami utkanych—rzekłbyś, przymrużywszy oczy: maki, bławaty, ostromlecze wyrosły, mimo śniegu, na podkościelnym okólniku i, dziw nad dziwy! chodzą, ruszają się, gromadzą w równianki, w wieńce splatają.

Gdzieniegdzie między jaskrawemi barwami migał czarny przyodziewek dworskiej służby, zaświecił liberyjny galon lokaja, zaczernił się kaszkiet ekonomski.

Lud skupiał się w gromadki, przystawał, wyczekiwał, gwarzył, zwracając oczy ku plebanii, jakby się coś ciekawego dojrzeć spodziewał.

Jakoż za chwilę otworzyła się boczna furta kościoła i na ścieżce, wiodącej do plebanii, zjawił się liczny orszak pań i panów z miejscowym proboszczem, co jeszcze panu Krzysztofowi Chrztu Świętego udzielał, w pośrodku.

Parafia Kościeszówka sama przez się liczna, bo do niej należało kilkanaście wiosek i przysiółków, leżąc przy bitym trakcie, miała szczęście i do nabożnych, zamieszkałych, jak się proboszcz wyraził, *in partibus infidelium*. Miało to oznaczać, że nie tylko sami parafianie zbierali się na nabożeństwo w kościeszowskiej świątyni.

Często gęsto był tłok taki, że miejsca w ławkach brakowało i część przybyłych musiała się mieścić w zakrystyi.

Dziś właśnie napływ obcych owieczek był nader liczny.

Goście, chcący niespodzianie nawiedzić młode małżeństwo, stawili się prawie wszyscy w komplecie. Prócz tego było wiele osób, których prosta ciekawość ujrzenia pani Krzysztofowej przywiodła.

A że wiedziano, iż napewno w kolatorskiej ławce zasiądzie, więc nic dziwnego, że kto żyw śpie-

szyl na sumę, aby tak dobrej sposobności przyjrzenia się z blizka nie utracić.

Tłumno też i tłoczno było w zakrystyi po nabożeństwie. Ożga, zaprezentowawszy księdzu kanonikowi, bo ksiądz Tomasz już od lat kilkunastu był kanonikiem kapituły, swoją żonę, poprosił na obiad do dworu.

Kanonik nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, ale postawił warunek:

— Zgodzi! ale i mnie się coś należy. Proszę do siebie na „rzodkiewkę...“ Nowalijka... Potem służę, lecz od tego nie odstąpię—upierał się, i ująwszy nową „owieczkę“ pod rękę, szedł, pomimo niejakiego oporu ze strony Ożgi, na plebanię, a za nim całe grono obecnego obywatelstwa.

Daremnie pan Krzysztof przedstawiał:

— Księżę kanoniku dobrodzieju! Innym razem... specjalnie. Toż nasz święty obowiązek! Teraz narobimy subiekcyi... tyle osób!..

Proboszcz machał tylko ręką, powtarzając:

— Ta! ta! ta! a ja mam i nie puszczał!

Jakoż nie puścił nikogo, póki nie zmieciono półmiska świeżo wyrwanej z inspektu rzodkiewki, prócz mnóstwa innych przekąsek, zakropionych wyborną nalewką.

— A teraz nie zatrzymuję. Komu w drogę, temu czas!—mówił, kontent z postawienia na swoim staruszek, wkładając lisie futerko.

— Komu w drogę, temu czas!—powtarzał.—
Widzę zresztą, że kolator wąsa gryzie... No, no!
Krzychu, darujże staremu natarczywość, daruj!

Ożga istotnie niecierpliwiał się trochę, ale nie
wypadało tego okazywać, więc usłyszawszy ekskuzę
kanonika, w miejsce odpowiedzi, pocałował go
z uszanowaniem w ramię. To samo uczyniła pani
Krzysztofowa.

Zaczęto tłumnie wychodzić z plebanii, dążąc
do sanek, ustawionych szeregiem popod kościelną
bramą.

— Już idą, idą!—dało się słyszeć tu i owdzie
w gromadkach wyczekujących włóścian.

I fala głów, jakby wiatrem pchnięta, pochyl
iła się w stronę idących. Zabrział pogwar
głosów, szmer szeptów napełnił powietrze:

— Śwarna szlachcianka!

— Niczego! niczego!

— Młodziutkie widać to jeszcze...

— A to starzy...

— I nasz dobrodziej z nimi...

— A gości, jak naprał!

— I to wszystko do dworu!

— Dopiero będą hulać!

— Ho, ho! „Naszemu“ aż się oczy świecą...

— I Zabłocki jest! Tego nigdzie nie braknie!

Ostatnie słowa odnosiły się do pana Szaławy,
który z galanterią podsadziwszy panią Święcia-
nowską do sanek, przystanął, oczekując z kolei
swego ekwipażu i, wytykając palcem, liczył:

— Raz, dwa, trzy, sześć, osiem, piętnaście!...
Ho, ho! objemy Kościeszówkę z kretesem!

Poczem wskoczył do sanek i, zamykając orszak, ruszył za sznurem sani ku dworowi.

Niebawem w kościeszowskim dworku zahaczało, jak w ulu na wyroju.

Pani Krzysztofowa z matką, za ledwie wysiadły z sanek, coprędzej pobiegły zarządzić około obiadu, a Krzys z teściem i Szaławą, który sam się wice-gospodarzem mianował, starali się tymczasem gości zabawić.

Więc Ożga, zgoniwszy kawaleryę do panien, a starsze panie i mężatki zwierzywszy pieczy pani Jangrotowej, która ochotnie pośpieszyła „kochanemu szwagierkowi“ z pomocą, dobył zapleśniałego gąsiora i, nie tracąc czasu, nalał kryształową lampkę, wołając:

— Zdrowie kochanych gości! W ręce księdza kanonika dobrodzieja!

— Czy to aby dobrze, przed obiadem?— zauważył mimochodem pleban. Nie czekał jednak odpowiedzi. Przypił do radcy Prońskiego, ten do Barszczewskiego, Barszczewski do Chojnackiego ojca i tak szło kolejką po starszeństwie, aż do pana Szaławy.

Tego tylko czekał „książę.“ Ująwszy gąsior, podniósł do góry, pod światło.

— Kto pije ostatki — huknął,—bywa piękny i gładki!.. W ręce twoje, Bortnisiu! Dobry znak! jak raz lampka, i *finis!* Będzie weselisko... już ja

wiem! tylko się moim rozumem nie kieruj, bo popisz sprawę...

Tu spojrział w stronę Julki Warkówny i mru-gnął.

Zaczeptiony Bortnicki już chciał za przymówkę odplacić pięknem za nadobne, tem bardziej, że pan Szaława zbyt często sobie pokpiwał z niego, ale w tymże momencie zbliżyło się do kółka męskiego kilka panien, a między niemi owa panna Julia, do której od roku wzdychał.

Dał więc pokój swarom, wychylił duszkiem, i zwróciwszy się do stojącego opodal pana Barszczewskiego, przemówił:

— „Księżę“ narzuca mi się za swata, ale ja wolałbym „ciotkę“ Foglową o to poprosić, niż jego. Co innego pan dobrodziej... do kolan się sklonię, a przyjdzie czas, o przemówienie za mną słowa poproszę...

— Z serca! z serca usłużeń! — odrzekł Barszczewski i po cichu dodał: — Masz gust, chłopczel masz! Dziewczyna jak łasić! Czarnobrewa, tu i tam! krew z mlekiem.

Spojrział na Warkównę. A ją, jakby przeczuła, iż o niej mowa, pons oblał, skryła się szybko za towarzyszki, ukradkiem tylko kędzierzawą główkę ukazując.

Pogonił za nią wzrokiem rozkochany Bortnicki, a ona to wychylała się, to zerkiała, niejako bawiąc się w chowanego.

Co widząc Szaława, rzekł:

— Wszystko to dobre, ale obowiązek przedewszystkiem! Krzychu! Jeszcze wina! „*lub szumówki, gdy nie starczy kościeszówki!*“

— Dla kochanych sąsiadów zawsze starczy! — odrzekł nagabnięty, śpiesząc z nową butlą.

— Sąsiedzie Bortnicki! na tobie się urwało... Proszę!

Więc Bortnicki, rzuciwszy okiem po obecnych, wyciągnął nalany kubek ku Franiowi Chojnackiemu, mówiąc:

— *Vivat sequens!* jak nas to w szkołach uczono! Palnij, Franek!

— Ten skończył, ten zaczyna, obaj o obrączce myślą — wtrącił Szaława i zaśmiał się na całe gardło.

Namarszczył się młody Chojnacki, wreszcie, podnosząc kubek do ust, rzekł chmurno:

— Wypić mogę, ale o obrączce nie myślę!... Przepadł!...

I zaśmiał się kwaśno.

Wszyscy z łatwością pojęli, co chciał przez to powiedzieć. Zaczęto chrząkać, szeptać i mimowolnie niejedne oczy zwróciły się w stronę drzwi, prowadzących do jadalni, w których właśnie ukazała się idąca do gości pani Jadwiga z matką.

Ózdze poszły w niesmak Chojnackiego słowa. Przykro mu było, że nawet teraz, kiedy już klamka zapadła, ludzka zazdrość nie daje mu spokoju.

Spochmurniał, w siwych źrenicach błysnął odcień gwałtownego gniewu, przygryzł wargi i pomyślał:

— Żeby to tak nie w moim domu, dałbym ja ci! Cóż to! czy pod nim dołki kopałem, czy co?... Przyjechał na zabawę, a kracze jak na pogrzebie! Nie ożeni się... a mniejsza o to! Czy to taki cenny namiastek Chojnaccy!?

I burzył się tak w sobie, ale pomny obowiązków gospodarza, nie wybuchnął, tylko ująwszy Bolka Witrzyckiego pod ramię, zaczął o czymś pośpiesznie rozmawiać, umyślnie na Chojnackiego nie zważając.

A Chojnacki, wypiwszy, jeszcze powtarzał uporcezywie:

— Co mi tam po ożenku! Przepadło, przepadło!

Miał przytem twarz tak smutną, a w oczach tyle głębokiego żalu, że nawet Ożga, spojrzawszy na niego ukradkiem, ochłódl i począł go w duchu żałować.

— Sprzątnąłem mu taki kąsek z przed nosa... Nic dziwnego, że strawić nie może. I ja nie byłbym lepszy—rozmyślał, i puszczając ramię Witrzyckiego, rzekł głośno do zbliżającej się żony:

— Słyszałaś, Jadwiniu, co ten Franek wygaduje? Chce zamrzeć w kawalerskim stanie. Cóżby okoliczne panny powiedziały na to! Spadła na niego jakaś handra i zawodzi, jak Kameduła! A toż chłopu śmierć i żona przeznaczona!... Nie minie cię, bratku, kobierzec, nie! Już ja z Jadwinią w tem!

Więc pani Jadwiga, instynktem kobiecym zgadując, o co rzecz idzie, przybladłszy nieco, poszła do byłego konkurenta z perswazją:

— Nie trzeba tak mówić, panie Franciszku, nie trzeba! Co komu przeznaczone, nie minie. Nie my rządzymy naszym losem.

Zmieszał się bardzo, utkwiał wzrok w ziemię, pokraśniał jak student, złapany na gorącym uczynku. A ci, co na niego w tę chwilę spoglądali, dojrzelili dużą łzę na rżęsach, którą szybko starł dłonią.

Wreszcie wymuszony uśmiech przebiegł po twarzy Chojnackiego, objął wzrokiem całą postać Krzysztofowej, jakby widziany obraz pragnął na zawsze w źrenicę wtłoczyć, zaciągnął piersią powietrza i przemówił z zakłopotaniem:

— Tak się tylko rzekło... Co tam zważać!... Czasem człowieka... ot tak, coś za gardło ścisza... a wtedy najlepiej wypić! Prawda, „księżę?” — dokończył, pytając.

Znać jednak było, że mówi nieszczerze, że wstyd go tylko, iż owego żalu ukryć nie zdołał i teraz radby serdeczną troskę gwałtem zataić.

Tymczasem zagadnięty Szaława już śpieszył z gąsiorkiem. „Wypić! zalać robaka!” wydało mu się również najlepszym zakończeniem sprawy. Zdanie to podzielała większość obecnych, którym niehumor gospodarza, wywołany wystąpieniem Chojnackiego, zamącił zabawę. Więc zaczęto wołać:

— Dalej, jeszcze kolejkę dla konkocyll!

— I panie z nami!

— Konieczniel konieczniel...

— Choć usteczka umaczał...

Panie zaczęły protestować z początku, lecz mężczyźni nie ustępowali i postawili w końcu na swoim. Szalawa tryumfował, szafując z gąsiorka i pokrzykując:

— Każdy zdrowie swej bohdanki!

A Ożga, chodząc wokoło z żoną pod rękę, powtarzał:

— Tak to rozumiem! tak to aż miło! na klęczkach podziękuję!

Brzękły kieliszki. Pierwszy rozpoczął stary Chojnacki, ojciec Frania. Poczuwając się niejako do obowiązku przywrócenia zamąconej ochoczości, stanął z kieliszkiem przed Krzysią i, ujmując dłoń młodej mężatki, przemówił gromko:

— Jadzi, Jadwini, pani Jadwigi, pani Krzysztofowej wreszcie! We wszystkich odmianach... bom cię znał ot taką... złotko mojej zdrowie!

I wypił duszkiem, a podając powtórnie napełniony kieliszek, poprosił:

— Przytknijże choć buziaczka na podziękowanie!

Więc pani Jadwiga, podniósłszy z wdziękiem kieliszek ze słowami: „na podziękowanie!” przechyliła w tył główkę, ukazując białą jak alabaster szyjkę, i krztusząc się, wypiła do dna.

— Brawo! brawo! — wołali mężczyźni. Poczęto klaskać w dłonie, cisnąć się ku rozpromienionej

Krzysiowej i sprowadzać pragnące uniknąć toastów inne panie.

Piły więc, rade nierade, najpierw mężatki, następnie dobrano się do panien. Podochocona młodzież żadnej nie dawała pardonu. Każdy pilnował sercu miłej, zapobiegając dezercyi, a najbardziej Bortnicki, mający Julkę Warkównę ciągle na oku.

Stanąwszy we drzwiach, przebierał nogami z niecierpliwości, oczekując swojej kolei.

Doczekał się wreszcie. Ksiądz kanonik, który się także w kole młodzieży znalazł, podmówiony przez Krzysiową, podsunął się z kieliszkiem do kryjącej się w kątku Julki i, spojrzawszy w stronę Bortnickiego, rzekł:

— Muszę kogoś wyręczyć, co radby, lecz się boi!

— *Vulgo* tchórzy!—poprawił Szaława.

— I nieboja wilcy zjedli—odcięła rezolutnie Warkówna.

— Słyszysz, Bortnisiu!—huknął Szaława.

Ale Bortnicki już nie słyszał, bo ujrawszy proboszcza przed Warkówną, sunął jak oparzony, aby stanąć w porę.

Kiedy przeto kanonik, dopowiedziawszy zdanie, wypił, już Bolek trzymał za kieliszek, wołając:

— Ksiądz kanonik się nie liczy! Za nic nie pozwalam! Panno Julio! proszę ode mnie...

— Jak nie liczyć, to nie liczyć—rzekł wesoło, ustępując zaraz miejsca Bortnickiemu, kanonik.—Juści, co racya! to racya!

Panna Julia pokraśniała, zmarszczyła brewki i niby z dąsem przyjęła z rąk Bortnickiego kieliszek.

Upiła do połowy.

— Wolałabym od księdza kanonika—rzekła, ale uśmiech mówił co innego.

— Dowiem się, czy to prawda!—odrzekł żywo Bortnicki i, nie prosząc o pozwolenie, pochwycił z jej rąk niedopity kieliszek, przechylił i, pokazując dno próżne, szepnął półgłosem:

— Będę wiedział najskrytsze myśli...

— U mnie co w myśli, to w mowie—odcięła.

— To się pokaże. Zdaje mi się, że nie zawsze...

— Taki pan podejrzliwy?

— Bo paniom nigdy w zupełności wierzyć nie można. Już król Salomon...

— Musiał pan mieć dobre stopnie ze „Starego Testamentu“—przerwała z przekąsem i roześmiała się.

— I z „Nowego“ także—zażartował.—Z katechizmu również. Zwłaszcza o sakramencie małżeństwa pamiętam do dziś na wrywki.

Warkówna wyduła różowe wargi, jakby powiedzieć chciała: „Tyle twego, co ze szkół pamiętasz,“ i chichotnęła na cały głos.

Więc pan Barszczewski, który już czas jakiś gruchającą parę miał na oku, rzekł do siedzącej opodal Prońskiej:

Zrośli z ziemią.

— Zdaje mi się, że tu i tam będziemy mieli niedługo weselisko. Bortnicki przypiął się jak kleszcz i naciera...

— Dałby Bóg! Taki miły człowiek, tylko sobie do niego coś upatrzone—odrzekła pani Tekla.

— To ten kpiarz Szaława! Każdemu łatkę przypnie! Wziął Bortnickiego na fundusz, choć sam mu nie wart butów czyścić—objaśnił pan Barszczewski, siadając obok pani Kwirynowej.

Barszczewski Szaławy nie lubił. Nie podobało mu się życie „księcia,” spędzane na hulatykach i grze w karty. Nierad był też jego zażyłości z Krzysiem. Osobiście przedstawiał nieraz siostrzeńcowi, że częste obcowanie z Szaławą może mu z czasem wyjść na niekorzyść, teraz zaś chciał skorzystać ze sposobności i pośrednio wpłynąć przez panią Prońską na Jadwinę, aby się postarała męża z pod zgubnego wpływu Szaławy usunąć.

Jako wuj Ożgi, czuł się w zupełności do tego uprawnionym, wiedział zaś, że najlepszą drogę obiera, wpływając przez matkę na Jadwinę, a przez Jadwinę na Krzysia.

Zaczął przeto oględnie:

— Szaława nikomu nie daruje, bo u niego tłu-fiu w głowie. Człowiek lekki, bez najmniejszego zastanowienia, fortunę przeszystał, siedzi na obdłużonem Zabłociu, jeździ od komina do komina i błaznuje... Wie pani dobrodziejka, że ja nawet nierad bardzo jestem, że Krzyś żyje tu i tam z nim w takiej przyjaźni. I to paliwoda, młody... a Sza-

ława nie powstrzyma, jeno zachęci. Mało to nadokazywali za kawalerskich czasów?! Krzyś i w połowie nie winien... Teraz... mam nadzieję, że się usatkuje; wolałbym jednak tu i tam, żeby tu Szaława rzadziej zaglądał. Nie mam nic przeciwko jego osobie, Boże uchowaj! ale zawsze człowiek lekki...

Prawił tak dość długo, a pani Tekla potakiwała, wzdychając i obiecując sobie w duchu skorzystać z usłyszanych przestróg.

Tymczasem kieliszki krążyły w dalszym ciągu, chociaż już wyłącznie w męskim kółku, aż wreszcie wystrojony odświętnie Wawrzyniec dał znać, że obiad na stole.

Zrobił się rumor. Poskoczył Krzyś, zakręciła się między paniami Jadwinia, poczęto dobierać się w pary i ruszono do jadalni. Korowód otwierał ksiądz kanonik, wiodący panią Kwirynowę, dalej inni po starszeństwie, a tak się jakoś złożyło, że ociągający się umyślnie Bortnicki, znalazłszy się obok Warkówny, poprowadził opierającą się nieco Julkę do osobnego stołu, przeznaczonego dla panieli i młodzieży.

Że już od przedobiedniej wypitki niejeden miał „czeremere“ w głowie, a Krzyś po każdej porcji wina podlewał, więc ochota coraz bardziej wzrastała, rozmawiano coraz głośniej, hałaśliwiej. Krzyżowały się pytania, odpowiedzi, sypały dowcipy, jedni drugich chcieli przegadać. Huczało przy stole, jak na gościńcu, na którym szereg ciężkich

wozów ciągly turkot sprawia, i tylko, jak wtedy, kiedy koło o wystający kamień uderzając, silniejszy odgłos wydaje, tak z tego chaosu głosów donośniej rozbrzmiewały wykrzykniki wnoszonych toastów i brzęk trącanego mniej pewnemi rękoma szkła.

Po leguminie z „piramidą“ panowie, zwłaszcza starsi, zaczęli sobie „pozwalac“ do tego stopnia, że panny i młodsze mężatki, piekąc raka, nie doczekawszy końca, umknęły do drugiego pokoju.

Stopniowo dezercya od stołu wzrastała, bo za pannami poszła młodzież, ale stara gwardya dotrzymała placu do ostatka, ku wielkiemu zadowoleniu Ożgi, który na „dobitek“ postawiwszy starego miodu, zacierał ręce, a każdego z osobna zachęcał, wymyślając przenajróżniejsze okazy.

— Nogą, ręką nie ruszą! — radował się w duchu.

I rzeczywiście, niektórych zaraz po obiedzie wypadło zaprowadzić na „siano,“ rozestane na przewidywany wypadek w oficynie, większość jednak nie kapitulowała jeszcze, choć niejednemu i język i nogi plątały się na dobre.

Nie ruszano też z jadalni, gdzie służba, uprzątnąwszy nakrycie, stoliki do kart rozstawiła.

Złożyło się kilka partyjek preferansa. Grano jednak bezładnie, wpadając, licytując fałszywie, bo głowy ciążyły, a myśl kombinować nie mogła.

Ale gawędom nie było końca. Niekrepowani już obecnością kobiet panowie poczęli brać młode-

go małżonka na egzamin, przytaczając zarazem wspomnienie własnych miodowych miesięcy.

Rozochocony Oźga odcinał się dowcipnie, cząsem sam żartem strzelił, drugich zaczepiając.

Zaczęto go prześladować jakąś Kasią, czy Marychną. Najbardziej dogadywał pan Jangrot.

— Już to z bestyi Krzyszka—mówił, cokolwiek przez nos zatracając—ludozławca nielada! zwłaszcza *generis feminini*... Miał do spółniczek szczęście jak nikt!

— Nie tak wielkie znów, skoroś mi szwagier sam rekuzę wozik—odparł, uśmiechając się, Oźga.

— Jakto? — spytał Słotwiński — nie rozumiem!

— To cała historya!—zabrał głos Jangrot i opowiadał:—Jak wam wiadomo, bo i obecny tu pan Barszczewski poświadczy, kiedy się Krzys o Jadwinę zaczął starać, początkowo na dwoje babka wróżyła. Była nawet chwila, że mu w Prońsku niebardzo radzi byli, bo się kawalerskich grzechów obawiano. A właśnie wtedy Krzys najbardziej dopinał i pannę bałamucił. Więc mówi mi teść: „Słuchaj-no! przejedź do Oźgi i daj mu delikatnie do zrozumienia... że z tego nic nie będzie, żeby się na próżno nie trudził...” Najlepiej będzie (radził), gdy mu powiesz... że, panie tego!... Jadwinia...

— Jednym słowem, kazał szwagrowi powiedzieć mi: nie dla psa kielbasa—dopowiedział Oźga.

— No i cóż się stało?—pytano.

— Co się stało? Słuchajcież! Rad nierad, pojechałem z tym pasztetem, chociaż, Bogiem a prawdą, żał mi było Krzycha! pojechałem... i mniej więcej wygadałem wszystko, zasłaniając się, jak mi kazano, „Jadwinią, aż on... paniel...“

— Jaj—zawołał wesoło Ożga.—Ale... niechże szwagier mówi dalej!

— On... paniel łap za burkę i na mój wózek! bo koniom nie kazałem odjeżdżać, i dalejże do mnie: „Pojadę z panem i sam się panny o to zapytam!“ Ciarki mię przeszły! ale nie było rady... Prawie gwałtem zaciągnął mię z sobą i, jak rzekł, zrobił!

— Tylko rezultat był nieco inny! cha! cha!

— Zapewne... bo tegoż wieczora zamienili pierścionki—dokończył pan Jangrot.—Taki szelma... jak kot... zawsze na łapy spadnie! Na własnym mym wózku go zawiozłem...

— Jednakowo przyznam się—zaczął teraz Ożga,—że mię poselstwo Jangrota z nóg ścięło. Powiedziałem sobie: co będzie, to będzie! Ale pietra miałem nielada... Chociaż—tu namarszczył się—w razie przegranej, byłbym jeszcze Jadwisi konkurentom porządnie skóry nadziurawił.

— Już jabym tam niekonkurował—pomyślał pan Szaława:—koty na sztych kulą wali!

— Naszpikowałbym ołowiem niejednego!—odgrażał się Krzyś.—U mnie tak!

— Łatwo ci teraz brawurować, skoro miałeś takiego sprzymierzeńca—odezwał się na to stary Chojnacki, wskazując ręką na drzwi.

W odrzwiach stała Krzysztofowa, z błyszczącym uśmiechem w oczach, promienna jak zorza, zarumieniona jak świt wiosennego poranku. Widocznie musiała dosłyszeć coś z prowadzonej rozmowy, bo potrząsała złotą główką, jakby zdziwiona, i żartobliwie groziła palcem mężowi.

— Proszę cię, Krzysiu, na chwilę—rzekła wreszcie.

A jemu mars znikł z czoła i w jednym skoku znalazł się już przy niej.

Szepnęła coś na ucho i z przymileniem spytała:

— Pozwolisz?

— Z chęcią! z chęcią!

Zaczęli z sobą półgłosem rozmawiać, stojąc w progu.

— Przepraszam kochanych państwa—odezwał się po chwili Ożga.—Mam z moją panią małą konferencyjkę..

— Służba wolność traci!—zaśmiał się Szaława, a drudzy zaczęli wołać:

— Prosimy! prosimy, bez ceremonii!

Zaczem obydwójce wyszli, kierując się do salonu, gdzie młodzież z pannami zabawiała się w *cenzurowane*.

Na krzesle, ustawionem w pośrodku, siedział właśnie Bortnicki. Stał przed nim Bolek Witrzycki, na którego kolej „obchodzenia“ wypadła, i mówiąc: „bywałem po różnych krajach, słyszałem

o złych i dobrych obyczajach...” wyliczał różne o Bortnickim zasłyszane opinie.

Bortnicki słuchał z udaną powagą, czasem przygryzł wąsa, czasem zasłonił dłonią usta, tłumiąc śmiech w sobie...

Uczestnicy witali każdy trafniejszy docinek głośnym śmiechem. Gdy wreszcie Witrzycki, rachując na palcach, aby się nie omylić, wygłosił: „...inni mówili, żeś już dwanaście odkoszów dostał, a jeszcze o trzynastym myślisz...” — porwał się Bortnicki z miejsca, wołając:

— Dość! dość! Proszę tego, kto to powiedział. Kalumnial jak honor kocham, kalumnial!

I powiódł wzrokiem po obecnych, upatrując winowajcy. Jakoż nie czekając na wskazówkę Witrzyckiego, odgadł niebawem i szedł prosto do Julki Warkówny, powtarzając:

— Proszę! proszę! Odplacimy pięknem za nadobne... Proszę o fant i na środek!

Panna Julia, skurczywszy szyjkę, że aż okrąglą bródką o alpagowy stanik zatarła, trzepotała rękoma przed sobą, broniąc się tak właśnie, jak nielotne pisklę, dobywane z gniazda. A on następował coraz bliżej, nacierając obcesowo i wołając:

— Fant! fant! dobrowolnie lub bez woli sam wezmę!...

I chwyciwszy drobną rączkę, począł coś około serdecznego paluszka, na którym błyskał turkusowy pierścionek, majstrować.

Wyrwała się niby nadąsana Warkówna i, odskoczywszy, ułożyła z piąstki figę, a potem wydobyszy z kruczych splotów szyldkretową szpilkę i podając ją z daleka natarczywemu Bortnickiemu, mówiła z przekąsem:

— Przyda się przypiąć świeży koszyk...

— To się jeszcze pokaże! — rzucił hardo i, nie poprzestając na fance, podsunął się znów bliżej, ujął opierającą się Julkę pod rękę i wiódł na środek z odgrózkami:

— Dopiero panna Julia raczka spieczę, jak ja coś powiem!

— O! nie boję się! — odrzekła i zasiadła na poprzednio zajmowanym przez Bortnickiego krześle, nerwowo układając fałdy sukienki, bo jej się serdecznie śmiać chciało.

Bortnicki zaczął „obchodzić,” raz po raz na wiercącą się na cenzurowanem Julkę spozierając. Wzrokiem zdawał się mówić:

— Przytrę ja ci, kotku, pazurków!

Już był obszedł połowę grających, gdy rozmawiająca dotychczas z gospodarstwem Ewka Warzyńska, piętnastoletni podłotek, dziewczyna krew z mlekiem, a trzpiot wielki, wybiegła na środek pokoju, wołając:

— Pan Oźga prosi, żeby sądzić fanty, bo później będzie co innego...

Czepiła się tego najpierw Warkówna, powstając szybko i, poskrobawszy „marchewkę“ Bor-

tnickiemu, poczęła biegać w podskokach po salonie, nawołując:

— Sądzić fanty! sądzić!

— Sądzić! sądzić!...—potaknięto, mimo protestu Bortnickiego, który, stanąwszy pod piecem, ręce załamał, udając znakomicie zmartwionego.

Więc pani Kotarska, której pieczy zebrane fanty powierzono, sięgnąwszy ręką do trzymanego na podółku porcelanowego koszyczka, przystłoniętego jedwabną zarzutką, poczęła tajemniczo:

— Co mam zrobić z fantem, który trzymam w ręku?...

— Niech most buduje!

— Niech bukiet zwija...

— Niech się każdemu inaczej ukloni!

Wotowano chórem. Ale pani Kotarska, nie dobywając fantu, rzekła:

— Proszę sądzić po kolei... Każdy będzie miał głos. Najpierw gospościa... Jadwiniu!—zwróciła się do Krzysztofowej—jaką karę wyznaczasz?

— Niechaj nam co zaśpiewa—osądziła Krzyskowa, myśląc, że los padnie na Manię Święcianoską, obdarzoną bardzo pięknym głosem.

Kotarska poczęła przebierać w koszu, wreszcie wydobyła ładnie haftowany z turecka... kapciuch!

— To pan Witrzycki!

— Bolek Witrzycki!

— Prosimy do fortepianu...

— Inaczej fant przepadnie! — krzyczano wśród śmiechu i chichotu, wiedząc, że Witrzyckiemu tak do śpiewu, jak kozie na organistę.

Ale Bolek nie dał się prosić. Z najlepszą miną zasiadł przy instrumencie i, brzdąkając jednym palcem, zanucił:

Wlazł kotek na płotek i mruga—
Ładna to piosneczka, niedługa...

— Szczęście! że niedługa—podchwycił wchodzący Szaława,—boby nam bębenki w uszach popękały!

Pogroził mu z daleka Witrzycki, a pan Szaława, któremu po odejściu Krzysia rozmowa ze starszymi poczynała się przykrzyć, wmieszał się teraz między panny, dowcipkując, podpowiadając przeróżne „kary,” ku wielkiej uciesze panieńskiego grona.

Doradzał zaś wszystko na opak.

Więc Ewce Warzyńskiej, że jej się zwykle usta nie zamykały, naznaczono „mruczka,” Józkowi Kotowiczowi, szepleniącemu cokolwiek, kazano deklamować; zaś utykający na nogę pan Słotwiński musiał tańczyć krakowiaka.

Puścił się rad nierad szlachcic, zaprosiwszy Julkę Warkównę w taniec, a że był z natury niezręczny i w dodatku tak otyły, że każde ubranie leżało na nim jakby z młodszego brata pożyczone, więc pan Szaława, przedrzeźniając: „Kuśtyk... kuśtyk,” dreptał za nim, przyśpiewując:

A z daleka wedle ściany,
Bo to fraczek pożyczany...
I halsztuczek nie twój własny,
Bo na szyi ci przyciasny!

Odtańczył wreszcie swoje, raz okrążywszy salę, pan Słotwiński, poczem z porządku on osądził fant Julki Warkówny; kiedy zaś na nią kolej wydawania wyroku przypadła, dziewczyna podbiegłszy do pani Kotarskiej, coś jej cichaczem szepnęła na ucho.

Skinęła potakująco głowę Kotarska i, zadawszy zwykle pytanie, czekała.

Wtedy panna Julia, niewiele myśląc:

— Niech powie trzy rzeczy do rzeczy, a trzy nie do rzeczy...

Pani Kotarska wydobyła pęk kluczyków.

— Pan Bortnicki! — zawołały panny.

— Bortnicki! — powtórzyła młodzież.

Panna Julia chichotnęła, a Szalawa, złapawszy się za głowę, z udanym przestraczem wołał:

— Zgubiony człowiek! Bójcie się Boga! opuście mu pierwszą połowę kary, bo do północy się nie wykupi. Niech lepiej mówi same „od rzeczy...“ To jego wydział!

Zaczęto się śmiać do rozpuku z konceptu „księcia,“ spoglądając na Bortnickiego. On zaś, nasrożywszy się, wyszedł z fantazyą na środek, pokrzykując:

— Właśnie, że powiem! właśnie, że powiem!...

I zaczął palcem pukać w czoło, namyślając się, co powiedzieć. Wreszcie zaczął:

— Najpierw „od rzeczy...“ Zamiast trzech rzeczy „od rzeczy,“ powiem: jedną osobę „od rzeczy,“ co na jedno wychodzi... pan Szaława!

Głośny wybuch śmiechu zawtórował tym słowom. Mężczyźni zaczęli chwalić:

— Brawo! brawo! a to mu odpalił! cha! cha! cha!

Panny gziły się poprostu, piszcząc cieniutko, a Bortnicki, spojrzawszy z tryumfem na Szaławę, wziął się pod boki i jeszcze przypominał:

— Na jedno wychodzi... Na jedno!

Stropił się Szaława, bo choć sam ciągle kpił z innych, nie znosił, kiedy z niego kpiono i, jak zwykle w takich razach, zaczął się burzyć, kręcąc wąsa...

Wreszcie sunął ku Bortnickiemu z groźną miną, czerwony jak podrażniony indyk. Sapał przytem przez nos i bormotał:

— Ja ci pokażę „od rzeczy!“

Byłoby zapewne przyszło do jakiej awantury, bo i Bortnicki, mając w czubie, stanąłby niechybnie sztorcem, ale w tej chwili Oźga, który się był jeszcze podczas tańca Słotwińskiego z żoną wysunął, wbiegł pędem, otwierając drzwi na ściężaj z okrzykiem:

— Panowie! panie! weselisko we dworze! Kto łaskaw na młoduchę... proszę!

Ukazał ręką w stronę czeladniej. A równocześnie zahuczały basy, dźwiękły skrzypce i przez otwarte na przestrzał pokoje doleciał śpiew:

Wesele jedzie, matusiu! wesele jedzie...

Wzembrę ci córeczkę! Cóż będzie? coź będzie?

— Co? gdzie? jak?—poczęto wołać i całe towarzystwo, śpiesząc z pokoju do pokoju, wbiegło do przystrojonej w świerkową zieleń izby czeladniej, witane przez cały korowód weselny.

Starym zwyczajem, szanowanym przez dwór i włość, świeżo pobrane stadło chłopskie przyszło do dworu po błogosławieństwo. Wiedział o tem pan Krzysztof i tak zawczasu wszystko urządził, żeby zebranim gościom sprawić miłą niespodziankę. Rozkazał tedy w czeladniej przygotować suty poczęstunek i oczekiwał, kontent, że pod swą strzechą na wstępie i sąsiadów i włością równocześnie ugości. Przytem chciał i Kubie Stykowi, z którym się dzieckiem w „konie“ bawiał, usłużyć, jak mówił, na weselu. Życzenia męża podzielała Jadwinia w zupełności. Jakoż stało się, jak chcieli.

Goście, sypnąwszy do czeladniej, z początku porozsiadali się na stołach, zostawiając wolny środek dla weselników. Ale Oźga z żoną, stanąwszy nieopodal grajków, skomenderował: „krakowskiego“ i, chwyciwszy w pół zasłaniającą oczy muslinowym fartuchem młoduchę, puścił się w pierwszą parę. Kuba Styk z nieśmiałością skłonił się przed Jadwinią... Furknęła druga para, grajkowie pociągnęli od ucha, mignęły uniesione w górę czapki

czerwone, brzękły podkówki, ośmieleni druzbowie rzucili się do panien, zapraszając do tańca, dziewuchy poskoczyły w te pędy do panów, przybywała para za parą i krąg dłużył się, że aż zaczynało być przyciasno.

I szczerą ochota, zatarłszy wszelką różnicę, złączyła w jedno koło dwa stany, żyjące w odwiecznym sąsiedztwie na płużonych zagonach, w jednych świątyniach chrzczone, tem samem słońcem grzane, tem samem powietrzem oddychające.

Rzekłbyś, patrząc na wzorzyste gorsety druchen, fraki panów, na sukmany parobków, bufiaste suknie pań zmieszane razem, że dwa potoki o różnej barwy wodach, wirem porwane, ściekły w jedno łozysko i już odtąd razem w dal płyną!

Przetańczono raz, drugi, trzeci, wreszcie pomęczone panie poczęły się wypraszać, panowie również popuszczali dziewczęta. Usadowiono się znów na stołach, stołkach pod ścianami, przyglądając się krakowskiemu weselu. Ale początek był zrobiony, weselnicy bawili się teraz sami, hukając, przytupując, sypiąc śpiewkami, jakby na popis.

Znikła nieśmiałość, parobcy i dziewuchy, przyśpiewując, sadzili się na dowcip, stosując zręcznie różne alluzye i przycinki do przypatrującej się szlachty. Najczęściej dostawało się panu Szatawie, on zaś odcinał się czasami, równie dowcipnie odśpiewując. Nie tańczył jednak wcale, bo po kilkakrotnem przypiciu do „chamów“ nogi mu odmawiały posłuszeństwa tak, że czasami się ściany

chwycił, zataczając. Daremnie prosił go kilka razy, obcałowując, Ożga, lubiący „księcia“ widzieć w ruchu; Szaława, dobiwszy się wódką, odmawiał stanowczo, bełkocząc:

— Całuj... Krzyczul! duszo! całuj! a ja i tak tańcować nie będę! Proś tego borsu..ka.. Bor...tnickiego...

Jakoż musiał go Ożga zostawić w spokoju, ale za to sam podmawiał dziewczęta, aby Szaławę na słówko wyciągały.

Znosił to Szaława czas jakiś cierpliwie, często gęsto nie dosłyszawszy, że do niego pito. W końcu jednak, choć po pijanemu, zrozumiał, że kpią z niego, ku uciesze całego towarzystwa. Zagniewał się.

Właśnie jedna z družek, przystanąwszy przed dziedzicem, śpiewała:

U naszego pana okna malowane,
A u Zabłockiego wiechciem zatykane!

Porwał się ostatkiem sił, urażony „księżę“, podszedł z trudnością ku śpiewaczce.

— Łżesz! — huknął. — Lagrowe szyby poprawiałem!

Wybuchnięto śmiechem.

— Kiedy od ogrodu gołe futryny widać— krzyknął ktoś z boku.

— Bo... bo... psy wybiły—zabełkotał Szaława.

W tej chwili od raptownego wysiłku i wzburzenia zrobiło mu się słabo, schwycił się rękoma za

skronie i, niewiele myśląc, ruszył ku drzwiom, wiodącym na podwórze.

Zaszła mu drogę młoducha, starościny zaczęły dopraszać „na miski, na niecki...” Szaława machinalnie sięgnął do kieszonki, wydobyl sakiewkę, wcisnął pannie młodej za gorset i, słaniając się, wyszedł do podcienia.

Świeże powietrze wróciło mu trochę przytomności. Czuł, że mu niedobrze się robi, więc siadł na stojącym w pobliżu kuchni kłocu drzewa, mrużąc:

— Już to Krzych w niczem miary nie utrzymał! Gotów się jeszcze z chamami w gęby całować... Słyszane rzeczy! po węgrzynie... gorzałka!...

Splunął. Zwiesił głowę. Przez chwilę wydało mu się, że cała Kościeszówka z nim wokół tańczy, wreszcie westchnął głęboko razy kilka, spał brodę na kolanach i chrapnął.

Tymczasem zabawa wrzała w najlepsze. Towarzystwo, zostawiwszy hulających weselników w czeladniej, przeniosło się powrotnie do salonu. Uproszona przez panny pani Kotarska siadła do fortepianu i muzyka rozbrzmiała na obu końcach kościeszowskiego dworku.

Hałasowano ogromnie, że umarłegoby w grobie obudził. I nie tylko we dworze. Bo oto zgromadzona na dziedzińcu gawieź wiejska poczęła także płasać na śniegu, wykrzykiwać, śpiewać.

Ale pan Szaława spał smacznie, nic nie słysząc. Zdawało mu się tylko, że go Oźga do tańca

Zrośli z ziemią.

namawia, ściska, w same usta całuje. Zaczął mruczeć przez sen, wymawiając się. Ożga prosił coraz usilniej. Szaława czuł prawie jego oddech na twarzy, widział parę błyszczących oczu, słyszał młaskanie całujących warg. Mocował się czas jakiś przez sen, niby się z Krzysiowych uścisków wyrываяc.

— Całuj, Krzychu! całuj!—mruczał—a ja i tak tańczyć nie pójdę!...

Wreszcie ocknął się przez siłę. Otworzył szeroko oczy, nie zdając sobie w pierwszej chwili sprawy, gdzie się znajduje. Około nóg łasiła mu się Krzysiowa wyżlica „Igła,” skowycząc radośnie i obliżując się smacznie.

Szaława pomacał się po wilgotnej twarzy. Kopnął sukę.

— Niechże mię! a to się ululałem!—mruknął i zaczął połą fraka policzki wycierać.

— Niechże mię!—powtórzył.—A tamci hulają jeszcze. Wódka mi zaszkodziła—perswadował sam sobie.

Wstyd go było wracać do towarzystwa, więc tak jak stał, z gołą głową, ruszył do oficyny na „siano.“

Po drodze zetknął się z Lejzorem Szpicem. Pachciarz szedł ku dworowi.

— Czego tu chcesz, parchu? — huknął Szaława.

— Zwyczajnie... przez ciekawość... popatrzyć—odrzekł pokornie pachciarz.

Po twarzy przebiegł mu szyderczy uśmiech.

Pan Szaława nie pytał więcej i poszedł w swoją stronę. Żyd patrzył za nim chwilę, wreszcie splunął pogardliwie.

— *A besofener goj!*—mruknął i podążył ku dworowi.

Przez szyby widać było całe wnętrze jak na dłoni. Żyd przystanął, zaczął szukać oczyma Oźgi. Dojrzał go wreszcie klęczącego z kieliszkiem w ręku przed żoną i pijącego jej zdrowie... Utkwił wzrokiem w Oźdze, skrzywił twarz złowrogo i syknął przez zęby:

— Symbcha miał *recht!* lepiej, co on się jeszcze pobawi. Będzie łatwiejszy...

A w tej chwili zimny dreszcz wstrząsnął Oźgą, widocznie szampan był za mocno mrożony. Wypuścił kieliszek z ręki, szkło z brzękiem padło na dębowe tafle posadzki, rozpryskując się w kawałki.

— Na szczęście! na szczęście!—poczęto wołać chórem.

— Na szczęście!—powtórzył Oźga i zamyslił się.

Po niebie płynęła rozświetl poranna i wróble w strzechach zaczynały ćwierkać.

IV.

W kościeszowskim sadzie jabłka rwano.

Żyd-sadownik oddawał należny dworowi wymiar delikatnie układając owoc w ćwierć łubianą.

Nad czubatym koszem renet stała wsparta na ramieniu męża Jadwinia.

Dzień był piękny, nasycony jasnością, prawie wiosenny, jak to niekiedy na jesieni bywa. Słońce grzało silnie, susząc nadwiędłe na szypułkach liście, ale ziemia oddychała wilgocią. Oślizgły ścieżki sadu, po korze drzew spływały sperlone krople mgły nocnej, połyskały rosą, widniejące z oddali, podobne do plastrów wosczyn z ula wyjętych, ścierniska. Snać słońce jesienne, później wstając, nie wypijało już doszczętnie nocnych oparów.

— Chodźmy lepiej do domu—odezwał się Oźga, widząc, że Jadwinia, puściwszy jego ramię, zamierza przysiąść na pobliskiej murawce. Jeszcze ci zaszkodzi... Wilgoć! Jadwinu, nie można!...— przedstawiał.

Zrobiła nadąsaną minkę, ale nie usiadła, tylko nachyliwszy się nad odmierzaną ćwiercią, zaczęła dopomagać sadownikowi, piętrząc zręcznie jabłko na jabłku.

— Dajże pokój, Jadwiniu! Jak nie to! to owo—przemówił znów Oźga.—Nie wolno ci się schylać, dzieciaku kapryśny! Patrz! nawet Joel nierad takiej pomocnicy...

Przy tych słowach, podszedłszy z tyłu, ujął ją pod ramiona i ostrożnie unióś w górę.

— A posłuszeństwo—rzekł.—Zobaczysz! tylko mama przyjedzie... Poskarżę się zaraz...

— Nieznośny jesteś—odrzekła, odsuwając go zlekka.—Tego nie można... tego... nie można,

ciągle: „nie można“ i „nie można!“ Nie Kocham cię!—dodała ciszej, tonem wyrzutu.

— A ja także—odszepnął.

Ale oczy ich, spotkawszy się z blizką, żrenica przy żrenicy, mówiły co innego.

W tej chwili z niedalekich łąk doleciał klekot bociani.

Oźga podniósł palec do góry.

— Słyszysz?—rzekł. — Przestroga... Boćki zbierają się do odlotu.

Figlarny uśmiech zaigrał mu na twarzy.

Ją zaś oblał żywy rumieniec, pokraśniała jak wiśnia na dojrzeniu. Machinalnie odwróciła głowę w ukazywaną przez męża stronę i powoli, stopniowo, wesoło zwykle, w uśmiech oprawne jej oczy poczęły nabierać wyrazu zadumy, niezwykłej powagi i wzruszenia.

— Przestałbyś, Krzychu! — odezwała się wreszcie, łagodnie, lękliwie oniemal.

A było w tem odezwaniu się tyle prośby nieśmiałej, kobiecego poddania się, tyle słodczy pokornej a podbijającej zarazem, że Oźga, któremu już nowy żart cisnął się na usta, zmilkł i zdumionym wzrokiem objął całą postać żony.

Wydała mu się teraz jakąś inną niż dotychczas, ale piękniejszą jeszcze stokroć od tej Jadwini, z którą przed dziesięciu miesiącami obrączki zamienił, więcej drogą, bardziej jeszcze wielkiego kochania godną niż kiedykolwiek, bo bardziej jego...

I bezgraniczna miłość wypełniła mu całą duszę.

A równocześnie odczuł, że do tej miłości niezmiernej, potężnej, jasnej, jak przebłysk słoneczny, do tej miłości, która mu szczęście pod stopy słała, przyłączyło się teraz jeszcze inne uczucie, cichsze, spokojniejsze może, ale niemniej słodkie, niemniej błogie, niemniej upojeniem darzące, a takie do samej miłości podobne, tak z nią niepodzielnie związane, że mogła je tylko owa miłość zrodzić, na złość nić wspólnych uroków nanizac, w sercu zawiesić.

Raj miał w piersiach, w oku zachwyty osłupienia, jak człowiek niespodzianie odkrytym skarbem olśniony.

I nic już nie mówiąc, bo mu słów brakło do wypowiedzenia tego, co w myśli rozkoszą dźwięczało, zbliżył się znów do zapłonionej Jadwini, z pieczołowitą lubością otaczając ramieniem krągłą kibić.

Żeby nie sadownik i chłopcy, otrząsający jabłonki, byliby jej do stóp runął i małe nóżki całował, a na cały głos wołał: „Moja ty! moja! naprawdę moja! i tylko moja!“

I widać dobrze im było obojgu, bo stali tak pierwsz przy piersi dość długo, bez słów, zapatrzeni, a nic nie widzący, prócz siebie.

Wreszcie zbudził ich z tej półsennej zadumy głos sadownika.

— Proszę jaśnie państwa, z jabłkami *fertig!* Jak raz osiem ćwierci... Jak wybierane! Teraz tylko gruszki...

— To już chyba jutro—odrzekł na to, uprzedzając żonę, Oźga.—Zresztą przyślę tu Wawrzyńca, to odmierzycie; ja z panią nie mamy czasu...

— Ja bez jasnego państwa rzetelnie odmierzę—upewniał żyd, kłaniając się nisko.—Stary Joel nie jest, z przeproszeniem, szachraj. Może się jaśnie pani spuścić, będzie miara rzetelna.

— No! pamiętaj!—pogroził Krzyś i, nie czekając dłużej, ruszył ku dworowi.—Jadwinia nie opierała się więcej. Czuła się rzeczywiście cokolwiek znużoną, nie wspomniała jednak o tem Krzysiówi, nie przywiązując zresztą do chwilowego osłabienia wielkiej wagi.

Szli zwolna przez usiane opadającym liściem ścieżki, a Oźga, któremu teraz rozwiązały się usta, mówił:

— Oj, ty, uparciuszk! Myślałem, że cię stąd nie wyciągnę, a już zaczyna być chłodno. Moje ty złotko, jeśli mię trochę kochasz, to... to... dbajże o siebie więcej. Chybabym zwaryował, żeby ci się coś złego stało. Nie masz pojęcia, jaki rad jestem, żeśmy nareszcie tę włóczęgę skończyli. Bo to od wiosny... wizyty... rewizyty... przyjęcia... jeździło się po powiecie od Annasza do Kaifasza, a w końcu i ten ślub Bortnickiego. Szczęściem się pośpieszył, bo choć kocham go jak brata rodzonego, byłbym się uparł i nie pojechał.

— Julce byłoby przykro. Przecież to cioteczna siostra—wtrąciła Krzysztofowa.

— Ma się rozumieć! To też lepiej się stało, że już po wszystkim... a chcieli jeszcze odkładać. Za jaki tydzień byłbym za nic nie przystał. Niechby się żenili, jak chcieli, ale bez nas. Już i tak miałem dyabelnego stracha o moją panią. Boś też niepotrzebnie tańczyła...

— Przesadzasz! Nic mi się przecie nie stało. Zresztą, mój Krzychu! teraz już tańczyć nie będę.

— Bagatel! jeszcze czego! Teraz ja będę tańczył na dwóch łapkach, jak mi zagrasz, ale z domu się nie ruszymy. Jeszcze czego! Dałaby mi mama taniec!

— Mama pewnie w tym tygodniu przyjedzie.

— A dałby Bóg! łatwiej cię we dwoje upilnujemy, bo z moich rad niewiele sobie robisz. Trzy dni dopiero, jak wróciliśmy z wesela, a ty, zamiast odpocząć, jakby na złość, drepcesz po kątach bez potrzeby. Kiedyś zastałem cię w oborze.

— Pańskie oko konia tuczył—odrzekła półżartem.

— Pańskie oko... Ach! to mała przymówka do mnie—podchwycił.—Ej, figlarko! Chciała-byś mię wziąć w kuratelę? A i owszem! Zgoda, od jutra świtkiem po dyspozycyę do pani dziedziczki... Tylko, że słyszałem coś kiedyś o „babskich“ rządach...

Zaśmiał się wesoło, a po chwili już poważniej rozpowiadał:

— Żart, żartem, ale i gospodarstwo na tych rozjazdach nie zyskało. Zgnoili mi najlepszą łąkę, siewy spóźnili... Masz rację! Pańskie oko konia tuczy. Pietraszewski, dobry człowiek, na roli zna się, ale już za stary na ekonomę i rady sobie dać nie może. Przytem są i inne interesa, a to wszystko przez tyle czasu spało...

Zamyślił się. Wspomnienie interesów zachmurzyło mu czoło. W samej rzeczy do tej pory nie zrobił pod tym względem nic prawie.

W pierwszych miesiącach po ślubie co innego miał w głowie, później przy ciągłych wizytach brakło czasu, a że wierzyciele siedzieli cicho, nie niepokojąc, schodził dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Wprawdzie kilkakrotnie, nagabywany w delikatny sposób przez teścia, postanawiał Oźga załatwić jak najrychlej pieniężne sprawy, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. A tymczasem posażnych pieniędzy dyabelnie ubyło. Nie martwił się tem Oźga zbyt, pocieszając się, że żydzi oczekają, ale, bądź-co-bądź, już sama myśl o interesach była mu niemiłą. Ilekroć myślał o tem, wpadał w zły humor i klął w duchu, że się jeszcze z tem „talałajstwem“ nie załatwił.

Więc i teraz na myśl o niewypłaconych dotąd wierzycielach sępnął, zamilkł, w myśli czyniąc sobie i wierzycielom wyrzuty:

— Dyabli nadali! Żeby się był który upomniał, byłbym, paniel... ale przyczaili się i ani pisań! Trzeba będzie przy pierwszej sposobności

raz z tem skończyć. Żebym choć wiedział, ile się szelmom należy, ale i to nie! Dyabli nadalil Teraz Jadwisi odjechać nie mogę... pieniądze się rozlążą... Żeby tak matka nadjechała, wpadłbym choć do Symchy... Teraz „walny“ jarmark... uprzedalbym jeszcze co zboża i zepchnął kłopot z głowy. Ale cóż! Jadwini samej nie zostawię, a matki nie widać—rozmyślał, chmurniejąc coraz więcej.

Westchnął głęboko.

— Co ci jest, Krzychu?—spytała trwożliwie Jadwinia, dostrzegłszy nagłą zmianę w usposobieniu męża.

— Ej, nie! tak sobie... Zdaje ci się... Nic! zupełnie nic.

Spojrzała mu w oczy. Zmieszał się i zaczął nadrabiać miną.

— Cóż to! indagacya? czy co? Patrzcie! ciekawska... Troi ci się w oczkach, Jadwiniu... Nigdy weselszy nie byłem...

Wymawiał się, tłumaczył, podżartowując wesołym tonem, aby tylko odwrócić uwagę żony i nie dopuścić smutnych przypuszczeń, bo zląkł się bardzo, że jej zmartwienie zaszkodzić może. Ale w głębi czuł niesmak i niezadowolenie.

Jej zaś przeszło przez myśl, że to wypowiedzianemi przed chwilą słowy, które wziął za przy-mówkę, wyrządziła mężowi mimowolnie przykrość, więc poczęła mu patrzeć w oczy i łasić się, główkę na jego ramię pochylając, i mówić:

— Taki to mój pan obraźliwy? A nie wiedziałam! Ale kiedy ci tak o to chodzi, to ci powiem, co ojezuś mówił...

— No co? no co?—podchwycił żywo.

— Że... że... w całej okolicy niema lepszego gospodarza od pewnego jegomościa... Na imię mu Krzych, a ma żonkę, co go bardzo, bardzo kocha, jeśli jest wesół i grzeczny...

Ożdze skry sypnęły z oczu, przycisnęła silniej kibić żony, usta ich spotkały się w długim, gorącym pocałunku.

W sercu jego nie było już miejsca na niepokój i smutek, bo rozgościło się w niem znów wielkie wesele, wielkie szczęście. I jak przedtem rychło posmutniał, tak teraz poweselał w jednej chwili i, nie zdejmując prawie warg z jej czoła, całował raz po raz w przymknięte rzęsy, powtarzając szybko, zadyszczanym z radości głosem:

— Tak mówił! tak mówił... Będzie zawsze grzeczny, zawsze grzeczny! Będzie służył wiernie, będzie służył we wszystkim, będzie pracował jak wół! bo kocha... aż strach!

A słowom tym gorącym towarzyszyło w tym momencie silne postanowienie dokonania wszystkiego, co przyrzekał, i ufność pogodna, że inaczej stać się nie może. Ożga w tej chwili czuł moc w sobie, co się żadnych przeszkód nie lęka.

Tak rozmawiając, wyszli już z owocowego sadu i zbliżali się ku dworowi, kiedy od strony wsi doleciało głośne ujadanie psów i na drodze, wiodą-

cej ku dworowi, ukazał się oganiający się podwórzowym kundysom żydek.

Dostrzegł go Oźga, lecz z powodu znacznej odległości na razie nie mógł rozpoznać, co za jeden. Widocznem było tylko, że ku dworowi zmierza. Jakoż niebawem mały, chuderlawy żydek dobiegł ogrodzenia ogrodowego i, uchyliwszy furty, wszedł na dziedziniec. Oźga, który się był cokolwiek nieproszoną wizytą zaniepokoił, poznawszy przybysza, począł teraz wołać z daleka wesoło:

— A, to Sofa! pocziwy Mendel! Cóż? stęskniłeś się za mną? Cóż cię tu sprowadza? A pójdziesz precz! Igła!

Żyd, choć oddalony jeszcze o kroków kilka-naście, zdjął czapkę i zaczął się kłaniać aż do ziemi.

A Oźga mówił:

— Kopę lat cię nie widziałem. Pójdźże prędzej... Psy zwietrzyły koninę i ujadają jak na wilka. Jadwiniu! — zwrócił się do stojącej nieopodal żony. — Oto jest Mendel Sofa, faktor i wielki znawca koni. Okpił mię nieraz, nawiasem mówiąc, nie-miłosierdzie, ale swoją drogą bardzo porządny obywatel. Chodź, Mendelku! chodź. Nie wstydź się! Co prawda, nie grzech. Ostatnim razem wpakowałeś mi opojowatego wałacha... No! ale z czemże przychodzisz?

Żyd skrzywił twarz smutnie i znów pokłonił się kilkakrotnie.

— Jaśnie pana zawsze się żarty trzymają— zaczął, przystanąwszy w pobliżu w pokornej postawie. — Z przeproszeniem jaśnie dziedzicki... wolno się w okolicy spytać: czy Sofa, Mendel Sofa szachraj? Jaśnie pan tak tylko kpi sobie z biednego żydka... ale sam wie najlepiej, co jak Sofa powie: *git!* to trzeba brać, nie pytać... A swaszłowa kobyła zła była, jaśnie panie? No, niech wielmożny dziedzic sam powie?

— To też zapłaciłem z kośćcami...

— Niema czego żałować, jaśnie panie. Takiej klaczki drugiej nie znajdzie i za podwójną zapłatę. A z przeproszeniem jaśnie państwa—tu skłonił się do stóp obojga i uśmiechnął słodko,— z przeproszeniem, ta klacz teraz jest dużo więcej warta...

— Nogi poderzniete...

— Co to znaczy! Ale ona miała szczęście wozić jaśnie państwa do ślubu. Ona wozila szczęście pana dziedzica, ona wozila skarb!

— Patrz, Jadwiniu! jaki z niego komplementista—zaśmiał się Ożga.—Ale to nie bez kozery. Gadajże!—zwrócił się do koniarza—co masz za interes?

Zapytany ruszył ramionami.

— Żadnego, jaśnie panie! tak sobie wstąpiłem z pokłonem, przechodząc. Pan Kotowicz wyprowadził mię do siebie po tę parę srokaczy. Chce robić facyendę ze Szmulem na kasztany. Na tegoro-

czny jarmark Szmul naprowadził koni... aj, aj!—zachwalał.

— Dobry jarmark?—spytał Oźga żywo.

— Dlaczego ma być zły? Zboże płaci, szlachty się najechały, koni dość! i jakich! ho! ho!

— Szmul ma co dobrego?

— Jaśnie panie! ja co powiem... On sam nie wie, co ma. Ma wierzchówkę... szesnastej miary, złotogniada... pięć lat... No! nie chcę gadać! Żeby ją jaśnie pan zobaczył... Wiatr, nie koń!

— Droga?

— Nie! Boże uchwaj! Ja powiem jaśnie panu. Szmul dostał ją w facyendzie, kosztuje go niewiele, toby i puścił tanio. Zresztą, co Szmul?! jaśnie pan wie najlepiej: on się tak zna na koniach, jak, nie przymierzając, aptekarz na prawie...

Roześmiał się, rad z konceptu, uważnie spojrzawszy na Oźgę, a po chwili dodał tonem rady:

— Jak jaśnie pan zobaczy, to sam powie, że Sofa dobrze radzi!

— Nie będę na jarmarku—odrzekł pan Krzysztof.

Żyd zadziwił się.

— Jaśnie pan nie będzie? A tam się jaśnie pana spodziewają... Zboże płaci... a mówią, że pod gody będzie tańsze. Jabym radził...

— Nie mogę! nie mogę!—wymawiał się Oźga, ale równocześnie spytał:

— Więc powiadasz, że klacz dobra?

Sofa mlasnął z zachwytu, Oźga zaś począł teraz chodźć tam i napowrót, trzeć ręce i mówić do siebie:

— Żeby tak jeszcze matka była... to co innego! Ale tak, niesposób.

I od czasu do czasu kierował wzrok w stronę żony.

Pani Krzysztofowa odgadła z łatwością, że radby wyjechał do miasta na ów walny jarmark, że go tylko obawa zostawienia jej samej krępuje, nie chciała jednak przy faktorze rozpocząć rozmowy, ale postanowiła sobie namówić Krzycha, gdy zostaną sami, do zobaczenia się z sąsiadami na jarmarku. Zdawało się jej nawet, że dobrze zrobi, nakłaniając męża do tego, ze względu na interesa, o których cokolwiek słyszała, a które na takich właśnie jarmarkach powszechnie załatwiano.

Oźga tymczasem, zagadawszy się z koniażem, odszedł kilka kroków, wypytujac się w dalszym ciągu o różne, interesujące go szczegóły. W gruncie rzeczy miał wielką ochotę wpaść na jarmark, ale mimo to ostatecznie zapowiedział faktorowi, że nie przyjedzie, a klacz, o ile nie będzie sprzedana, przy innej sposobności obejrzy.

Sofa bardzo żałował, rozstając się, że namowa jego nie odniosła skutku, wreszcie zaczął się żegnać, ofiarując w przyszłości swe usługi.

W duchu zaś myślał chytrze:

— Jakem Mendel Sofa, on jutro u nas będzie. Nie wytrzymał ja go znam. On się już pali... tylko mu o żonę idzie...

Jakoż istotnie, Oźdze zapachniał jarmark. Dałby był wiele za to, żeby, jak lat innych, znaleźć się w wesołym gronie jarmarkowiczów. W dodatku i ta klacz, o której Sofa cuda opowiadał, zaciekawiała go bardzo. Żałował też bardzo, że teściowa jeszcze nie przybyła, że w ten sposób ma skrępowane ręce i, wracając do domu, rozważał nie bez przykrości:

— Żeby tak matka... Wpadłbym choć na chwilę!

Jadwinia siedziała jeszcze w ganku, z kobiecą przenikliwością obserwując męża. Kiedy więc wracał ze spuszczoną głową, zamyślony, wyszła na przeciw i, nie ociągając się dłużej, zaczęła:

— Krzychu! Mam prośbę... Nie odmówisz...

— Potrzebujesz pytać! Rozkazuj! Generał nie pyta żołnierza... A to dobre!

Wyprężył się po wojskowemu i stanął przed nią jak szeregowiec przed starszyzną.

— Słucham rozkazu—rzekł.

Więc i ona wyprostowała się, ściągnęła brewki marsowato i, tłumiąc śmiech, rozkazującym tonem poczęła:

— Założyć cztery konie... Jechać na jarmark... Pozdrowić wszystkich znajomych i wrócić w dobrym humorze do... żonusi!

— Niepodobna, generale! Niebezpieczeństwo—wykrztusił Oźga.

— Cóż wart żołnierz, bojący się niebezpieczeństw?

— Tu o generała chodził! Posterunek zagrożony...

— Generał da sobie sam radę!

— Figę malowaną! — wybuchnął Krzyś, nie mogący już powstrzymać śmiechu, i, wbrew subordynacyi wojskowej, chwycił generała za obie ręce i w same usta pocałował.

Poczem zaczął mówić serdecznie, ale z powagą:

— Poczciwości ty moja! Gdzieżbym ja ciebie samą zostawił! Nie miałbym chwili spokoju...

Ale ona nalegała coraz usilniej:

— Mój Krzychu! zrób to dla mnie! zrób... Przykro mi będzie, że przeze mnie nie jedziesz...

— Ależ! — bronił się jeszcze, lecz mniej już stanowczo. W końcu zaś rzekł:

— Jak mama nadjedzie, wpadnę na chwilkę. Byłoby mi nawet na rękę załatwić niektóre sprawy...

— Więc jedź, Krzychu, jedź! Zresztą, jeśli już chcesz koniecznie, to napiszę do mamusi, przyjedzie natychmiast, a przez jeden dzień nic mi się przecie złego nie stanie — prosiła.

— Poczekam na mamę, a jak nie, to poślę po...

— Właśnie, że nie potrzeba!

— Właśnie, że potrzeba!

I tak przekomarzali się czas jakiś. Sta-
nęło wreszcie na tem, że żołnierz ustąpił generałowi, pod warunkiem, że jeszcze dziś wyprawi po-

Zrosli z ziemią.

słańca z listem Jadzi do matki i z prośbą o jak najrychlejsze przybycie.

W pół godziny potem chłopiec stajenny cwałował na bułanku w stronę Prońska.

Zanim jednak otrzymano odpowiedź we własnej osobie pani Tekli, która drugiego dnia z Gęgarzewską nadciągnęła, inna jeszcze okoliczność przysłała z pomocą Jadwini, ułatwiając oddalenie się Oźgi z domu.

Nad wieczorem nadjechali Bortnicy z pierwszą wizytą. Radość była wielka, bo Krzysztofowa przepadała za Julką. Młode mężatki rzuciły się wzajemnie w objęcia. Całusom i uciechom nie było końca, aż wreszcie Bortnicki, który daremnie starał się dobrać do rąk pani Jadwigi i tylko z daleka wołał: „Całuję rączki! Całuję rączki!“ — upatrzywszy stosowną chwilę, wcisnął się między rozentuzyazmowane kobiety i, zdobywając się na śmiałość, roztworzył ramiona, mówiąc:

— Kuzynko dobrodziejko! i mnie się przecież coś należy!

Z drugiej strony Oźga chwycił w pół Julkę i, nie czekając pozwolenia, jął wycałowywać, że aż piszczeć i bronić się zaczęła.

Bortnicki zaś, przeplatając słowa głośnymi pocałunkami, wyeiskanymi na rękach Krzysztofowej, recytował jednym tchem:

-- Z pierwszą wizytą do kochanej kuzynki i ze skargą na tę oto osobkę, która, zaprzysięgł-

szy przed paru dniami posłuszeństwo, już mię biednego za nos wodzić zaczyna...

— Boś pan nieznośny, nieznośny! nieznośny! — wykrzyknęła na to Julka.

— Cóż to sobie jeszcze „panujecie?” — podchwyciła Jadwinia.

— To właściwie moja pani „panuje” i to jak! — odrzekł Bortnicki i w dalszym ciągu zaczął się nibyto skarżyć na różne prześladowania, jakich w pierwszych dniach pożycia doznaje.

Wygadali się wreszcie. Przesztano żartować i Bortnicki już na seryo począł prosić Krzysiowej o zaopiekowanie się żoną przez dni parę, gdyż interesa zmuszają go do wyjazdu na walny jarmark, gdzie chciałby trochę zboża na podatki i „Towarzystwo” sprzedać.

— A to się wybornie składa! bo o to i mój pan mąż również się wybiera. Pojedziecie zatem panowie razem, tylko uprzedzam, że za powrotem będzie spowiedź... — odpowiadając Bortnickiemu, mówiła pani Jadwiga. — Weźmiemy panów na „spytki,” prawda, Julciu?

A Ożga, zwracając się do Bortnickiego, wtrącił:

— Pokutę odprawimy naprzód. Prawda?

— Obejdzcie się! — zaoponowała Julka, chowając w tył ręce.

— Ej, Julka! ej, Julka! — pogroził Bortnicki.

Pokazała mu—jak to nieraz za panieńskich czasów robiła—figę i zaczęła się chować za Jadwią się, nawołując:

— Ani się pan waż! ani się waż!

Pogonił za nią Bortnicki, ona zaś, uciekając, biegła w kółko, kryjąc się za krzesła, stół i napełniając dwór całym serdecznym śmiechem.

Wreszcie, dzięki czynnej pomocy Krzysia, dopadł i brał z ust jej pokutę, mówiąc:

— Jeszcze! jeszcze! bo grzechów będzie dużo! bardzo dużo!

Krzysztofowa ze sztuczną powagą przyglądała się tej scenie. Wreszcie udało się Julce wyrwać z rąk męża, a że drzwi do sąsiedniej sypialni były otwarte, schroniła się tam. Poszła za nią zaraz Krzysztofowa, a mężczyźni, zostawszy sami, zaczęli układać plan jutrzejszej przejażdżki.

Sprzykrzyło się im jednak niedługo bez kobiet, więc poczęli szturmować do przymkniętych drzwi, aż w końcu puszczono ich do środka, ale na to tylko, aby zaraz wyprosić, bo pani Jadwiga, jako doświadczona już mężatka, miała coś sekretnego do powiedzenia Julce i nie życzyła sobie, aby im panowie przeszkadzali.

A musiało to być coś nader ważnego, bo rozmawiały z sobą do samej nocy, a przy kolacyi Julka miała bardzo poważną minę.

V.

Zmierzch zwalczał ostatek dziennego światła. W wązkiej uliczki wciskał się już mrok, płynął nad dachami zwartych w szeregi domostw ciemną szarą, ale w miasteczku panował jeszcze ruch gorączkowy.

W rynku huczało, tętniało, brzmiał pogwar zmieszanych głosów i wykrzykników. Przed bramami zajazdów, obok rozstawionych licznie kramów i straganów, w odrzwiach sklepów stały zbite gromadki gawiedzi, gwarząc, rozpowiadając, targując się z przekupniami. Około rozstawionych w pośrodku rynku kozłów przeprowadzano jeszcze konie, przeznaczone na sprzedaż, w stajniach oprzątająca pary i czwórki służba dzieliła się doznanami wrażeniami dnia. Niekiedy zarżał co ognistszy rumak, huknął zamasyście, zakupionego na jarmarku bicza próbując, stangret, — zaturkotał po bruku zapóźniony, z popisu wracający ekwipaż.

Tu i owdzie ze sklepów, domów, szynków i przygodnych kramików zaczęło przebłyskać mgławce światło świec i lampek. Zapalono już rozstawione na czas jarmarczny w rynku i pobliskich ulicach latarnie, oświetlono płócienny namiot z karuzelą, zajaśniało całe pierwsze piętro nad restauracją Pomidorkiewicza, a w salach na dole siedząca na podniesieniu kapela zaczęła stroić instrumenta na koncert wieczorny. Sam Pomidorkiewicz z serwetą w ręku biegł tu i z powrotem po całym zakładzie, dyrygując, napędzając usługę i odganiając

zbyt natarczywie cisnących się do wnętrza żydów, którzy, stanąwszy szpalerem przy progu, raz po raz wciskali się do środka i, zajrzawszy, wybiegali z otrzymanem zleceniem lub z zachwyconą wiadomością na miasto.

Nie brakowało ich nawet w górnej sali i numerach, gdzie szlachta, zasiadłszy przy zielonych stolikach, grała w karty.

Właśnie z jednego z takich numerów wyszedł pośpiesznie Mendel Sofa i, zagiąwszy chałata, pobiegł szybkim krokiem w poboczną uliczkę ku mieszkaniu Symchy Rajzmana. Niósł widać dobrą nowinę, bo w oczach miał radość, a do spotkanych po drodze współwyznawców szwargotał wesoło.

Po chwili znalazł się w sklepionej izbie, oświetlonej ogarkiem łojowej świecy, sterczącej w mosiężnym świeczniku.

W izbie przy stole z wytartą politurą siedział Symcha Rajzman i liczył...

Obok tęgiej postaci Symchy grupował się wianek charakterystycznych twarzy, z przenikliwym oczekiwaniem wpatrujących się w szereg kreślonych cyfr.

Symcha liczył, pomrukując półgłosem: *Zwanzig! Fünf hundert dreisig... zwelf tausend.*

Wzrok jego biegł za cyframi, twarz uśmiechała się radośnie.

Wreszcie jeden z obecnych, żyd wysoki, chudy, z brodą siwiejącą, zrobił gest niecierpliwy, trzę-

sącą ręką dotknął stołu i, nie spuszcżając oka z rączunku Symchy, spytał sucho:

— Ny? co będzie?

— Co będzie? A co ma być?—odrzekł, nie podnosząc oczu, Symcha.—Co ma być?—powtórzył.

Kiedy to mówił tonem drwiącym, obrzękle powieki drgały mu nerwowo, twarz nabrała szyderskiego wyrazu.

— Ja pytam: co będzie?—uporczywie jeszcze raz spytał żyd, ręką wskazując na cyfry.—Pytam was, Symcha, co będzie?

Teraz twarz Symchy z szyderskiej stała się nieomal złowieszczą. Spojrzał na pytającego, a oczy jego mówiły:

„Jakiś ty głupi, Jojna! jakiś ty głupi!..“

Wreszcie wydawszy wargi, rzekł zwolna, cedząc słowo po słowie. W głosie jego czuć było lekceważenie i pogardę.

— Wy pytacie, Jojna: co będzie? Mnie dziwno, Jojna, że wy pytacie... Ale kiedy pytacie, to i ja z kolei spytam: „Co należy robić, jeśli drzewo spróchniałe samo obalić się nie chce? Może podpierać?“

— Trzeba...—wtrącił Jojna.

— *Still! still!*—zawołali słuchacze.

A Symcha mówił dalej:

— Trzeba tak robić, żeby się ono obaliło samo, lub brać siekiere i rąbać, póki się ono nie zwali... Trzeba...

— *A soj*—potaknęli słuchacze.

— Oźga, to spróchniałe drzewo. Jego trzeba rąbać, ale tak rąbać, żeby nikt nie wiedział, kiedy runie, żeby nie przyszedł ogrodnik-familia z podpórką, żeby on cały był w naszych rękach. A teraz on nasz! — mówił Symcha tryumfująco. — On nasz! U niego jest jeszcze kilkanaście tysięcy wiarna, ale i te tak jak nie jego...

— *A kepele!* — pochwalili słuchacze, kręcąc z zadowoleniem głowami.

— Łatwiej brać jak jest, niż jak niema — wtrącił kościsty żyd, zwany Jojną.

— Jeśli Jojna chce, to ja wasze pretensye nabędę—odrzekł na to Symcha.

— *Kikste* a spółnik! — wybuchnął Jojna. — Bez ciebie robiłem interes i bez ciebie skończę!

Zaczęli się swarzyć, głos podnosząc. Otaczający łagodzili spór.

— O co idzie?—mówił niski, przysadkowaty żydek, Lejba Wołkuń.—O co idzie? Chce Symcha czekać... Niech czeka... Wy nie chcecie... nie czekajcie, a my tymczasem będziemy patrzeć: kto ma *recht!*

— Kto ma *recht?*—odrzekł Symcha.—Jal— i uderzył się z całej siły w piersi.—Jal... Oźga nasz! A jeśli on jeszcze przyjedzie na jarmark, to się pokaże, kto miał *recht!*

Domawiał tych słów, kiedy do izby wbiegł zadyszany Mendel Sofa.

Kilka par oczu obrzuciło go badawczem wej-
rzeniem, on zaś sapał, oddychając ciężko, jak czło-
wiek bardzo spracowany.

Wreszcie Symcha, powstawszy, podszedł doń
bliżej i z widocznem zaciekawieniem spytał:

— Ny, co? jest?

— Co jest?—powtórzyli inni.

Przybyły, dla wzbudzenia większej cieka-
wosci, milczał chwilę. Nareszcie odetchnąwszy głębo-
ko, wygłosił z chwalbą:

— Przyjechał!

Spojrzał tryumfująco. Na wszystkich twa-
rzach malowała się radość. Jojna Cyc zerwał się
z siedzenia. Chwyił ze stołu czapkę i, nie pytając
o nic, ruszył ku drzwiom z pośpiechem.

Widząc to, Symcha poskoczył i zagroził mu
drogę.

— Gdzie Jojna leci? — spytał, zasłaniając
wyjście całą swą osobą.

Powstrzymany w zapędzie Jojna poczerwie-
niał z gniewu i zaczął, trzęsąc się, krzyczeć prze-
rażliwie:

— Gdzie? Po swoje pieniądze! Ja nie chcę
czekać! Ja chcę brać! chcę brać, póki jest! chcę
mieć swój kapitał!

Odpychał broniącego wyjścia Symchę, miotał
się zapalczywie, a wrzeszczał:

— Puść! puść! Co to jest? gwałt! rozbój! wię-
zieniel!

Ale Symcha, oparty silnie plecami o drzwi, nie puszczał, wyciągniętymi rękoma broniąc przystępu.

Zaczęli się naprawdę szamotać, do przymówek dołączono klątwy. Rozlegało się po izbie: *A myszygene pałke! Waryat! Szwarzjur! Ganef!*

Teraz ruszyli się inni i—nuż godzić. Doskoczył Mendel, wołając:

— Co Jojna wyprawia? Czy to kupiecka rzecz psuć dobrą kompanię? robić w spółkowym interesie kłótnię? Ja nie wiem, co wam się stało, Jojna? Wyście dla mnie całkiem inny człowiek! Jak spółka, to spółka! Ja jestem prosty faktor, a na taką niedelikatność patrzeć nie mogę!

Drudzy mitygowali Symchę, podnosząc krzyk wielki. Najgłośniej krzyczała Foglowa.

Wcisnąwszy się przebojem pomiędzy zwaśnionych, uniosła w górę zatłuszczoną torebkę i darła się z sił całych:

— I ja mam u niego ładny kawałek grosza! Co z tego? czy ja lecę naprzód z kwitami? czy nie idę ręka w rękę? czy nie chcę czekać? Poco nagłość! poco krzyk! poco hałas! Można się zgodnie podzielić, jak na kupców przystało... Ale brewerye stroić! to wstyd. Niech Symcha da spokój i wy, Jojna, dajcie spokój. On nie ptak, nie ucieknie. *Still! still!*

Jakoż niewieścia przemowa pomogła o tyle, że Symcha odstąpił od drzwi, a Jojna nie zabierał się już do wyjścia. Tylko z pokraśniałych jak bu-

rak twarzy obu przeciwników tryskała jeszcze zaciekleść i oburzenie, wywołane sprzecznością pojęć o interesie. Wreszcie ciepłe, nakłaniające do zgody słowa towarzyszków przemogły. Symcha zajął dawne miejsce przy stole, ułagodzonego Jojnę doprowadzono również, poczem całe towarzystwo w najlepszej harmonii zasiadłszy, nawiązało tok przerwanych obrad.

Najpierw zabrał głos Mendel Sofa, składając szczegółowy raport z wycieczki do Kościeszówki, uwieńczonej ostatecznie pomyślnym skutkiem. „Ciotka“ Fogłowa dorzuciła następnie słów kilka, dotknąwszy oględnie drażliwej kwestyi, która przed chwilą stała się przyczyną brzydkiej awantury. Zaczem Jojna, ochłodłszy już zupełnie, wstydząc się niejako poprzedniej gwałtowności, zwrócił się pierwszy z pytaniem do Symchy, dając tem dowód zapomnienia urazy:

— Więc powiedzcie, Symcha, jak chcecie?— odezwał się spokojnie, zwracając się do gospodarza.

Więc Symcha, aczkolwiek zrażony chwiejnością charakteru spółnika, zaczął również spokojnie przedstawiać obmyślany przez się plan działania, odwołując się niekiedy do wytrawnego sądu Fogłowej, w zupełności dzielącej jego zdanie.

— Wy, Jojna—mówił tonem perswazyi,—macie gwałtowną naturę, i to jest źle. Kto nie umie czekać, nie powinien handlować. Dać pieniądze i odebrać dług, jeśli dłużnik ma pieniądze, to nie

sztuka! nie interes! Takie operacye byle chłop potrafi. Kupiecka rzecz odebrać wtenczas właśnie, kiedy niema... W tem cały zysk, cały *profit*, w tem obrót jest. Gdybyśmy—opowiadał w dalszym ciągu, przeciągając śpiewnie sylaby,—na ten przykład, wszyscy jak jeden mogli odebrać swoje pieniądze od *pureca*, niechby było i tak! Ale tych pieniędzy zaraz po ślubie nie starczyło. Dlaczego miałyby brać jeden, a nie wszyscy? Co za gwałt? Czy nie lepiej czekać, aż pieniędzy całkiem zbraknie? Czy nie lepiej tak zrobić, żeby zamiast małego był zysk duży? żeby się drzewo bez rąbania obaliło? Czy wy, Jojna, wiecie, siła jest wart las w Kościeszówce? Ja wam powiem... W tym lesie są dwie wartości, dwa szacunki, każdy inny. Jeśli my go będziemy chcieli kupić, to las jest drogi; jak *purec* będzie chciał sprzedać, to las zaraz stanieje. Trzeba tak robić, żeby on chciał, a nie my. A kiedy on będzie chciał? Wtedy, jak mu pieniędzy zbraknie... Dlatego ja się bardzo cieszę, że jemu już zaczyna brakować, cieszę się, że on przyjechał na jarmark z ostatkiem pieniędzy, cieszę się i czekam, aż las do reszty stanieje... A wam wolno robić inaczej.

Kiedy to mówił, całe otoczenie mlaskało z zadowolenia, co moment powtarzając:

— *A soj! a soj!*

Jojna słuchał uważnie. W miarę opowiadania chmurna jego twarz rozjaśniała się coraz bardziej; gdy zaś Symcha skończył, wyciągnął doń rękę i rzekł krótko:

— Niech będzie po waszemu... Jak czekać, to czekać!

— Czekać! czekać!—potaknęli chórem inni.

I los kościeszowskiej dąbrowy, los stuletnich sosen i buków został rozstrzygnięty.

Tymczasem Oźga z Bortnickim prosto z wózka, wstąpiwszy tylko na chwilę do zamówionego numeru, gdzie ich właśnie czatujący Mendel Sofa podpatrzył, zaszli do restauracyi, owacyjnie przez całe grono znajomych i sąsiadów witani.

Ledwie się ukazali na progu, rzucono się ku nim tłumnie, z serdecznym okrzykiem:

— A toście nam z nieba spadli! Że to was żony puściły!—wołali jedni.

— Jużeśmy was opłakali!—dogadywali drudzy.

— Widać nieprawda, że kto się ożeni, ten się odmieni! skoro tu jesteście!—krzyczał podochocony Kotowicz.

— Drapnęli kobietom! Brawo! brawo!—chwalił Bolek Witrzycki, a pan Szaława, który, gotując się do pulki, siedział za zielonym stolikiem i na widok wchodzących zaczął nucić: „Wilczysko się ożeniło...“ rzucił teraz trzymaną w rękę talię kart, rozkrzyżował ramiona na całą szerokość i, podbiegłszy do Oźgi, wziął go w objęcia.

— Krzych! jak Boga kocham! Krzych we własnej osobie... Niechże ci się dobrze przypatrzę, pantoflarzu! — wykrzykiwał, gibocząc się na nogach i nie puszczając z ramion Oźgi.

Następnie wziął się do Bortnickiego i, obcałowawszy obydwóch, zaczął ciągnąć do stolika, mówiąc:

— Smutno wam może bez dam? Będą damy, i to w czterech kolorach! Co kto lubi! co kto lubi!

Nie wymawiał się bardzo Oźga, ale że właśnie nadszedł pan Barszczewski, do którego miał interes, natarczywa propozycja Szaławy nie dała się na razie uskuteczyć.

Oźga, powitawszy wuja, odciągnął go na bok.

— Cóż tam u was słyhać? Żona zdrowa?— spytał Barszczewski.

— Chwała Bogu! trzyma się nieźle. Chociaż, żeby nie interesa, wolałbym być siedzieć w domu— odpowiedział Krzyś.

Barszczewski domyślił, dlaczego.

— Jeszcześ z tem nieostrzelany—rzekł wesoło.—Matka pewnie przyjechała?

— Dziś w południe...

— No! to dadzą sobie radę bez ciebie. Dobrze zrobiłeś, przyjechawszy, bo właśnie słyszałem od kogoś, że żydzi zaczynają się niepokoić. Trzeba, Krzychu, z tem raz skończyć.

— I ja tak myślę. Dla wszystkich wprawdzie pieniędzy nie starczy, ale Symchę chciałbym spłacić koniecznie. Obstaluję go na jutro rano. Może wuj będzie łaskaw być obecny...

— Z największą chęcią.

Kiedy tak rozmawiali półgłosem, do sali przybywało coraz więcej szlachty, robiło się coraz gwarniej, coraz weselej.

Okolo stolika, przy którym na nowo zasiadł Szaława, zgrupowało się kilkanaście osób. „Książkę“ opowiadał jakąś anegdotę jarmarczną, pobudzając wszystkich do śmiechu. Był w ferworze nie-lada, śmiał się z własnych konceptów do rozpuku, gładził czuprynę, co u niego było oznaką wyśmienitego humoru.

Był w swoim żywiole, bo jarmarczne pohulanki lubił nad wyraz, a wesoła kompania dodawała mu jeszcze animuszu. Przytem i przyjazd Oźgi ucieszył go wielce. Czekał też niecierpliwie końca rozmowy z Barszczewskim.

— Nie ubliżając nikomu — mówił, ukazując ręką w stronę Oźgi, — dwóch nas jest tylko, co się jeszcze bawić umiemy... Ja i Krzych! Wprawdzie go teraz pani Jadwiga w kluby wzięła, ale, jak widzicie, wyłgał się chłopczysko, i oto go mamy!

Poczem zaczął wołać na cały głos:

— Krzychu! a chodź do nas! Panie Barszczewskil interesa *tu i tam* nie uciekną! Zresztą mamy szkapy, będziemy gonić!

Więc Oźga, naradziwszy się już dostatecznie z Barszczewskim, zbliżył się do stolika. Pan Barszczewski podążył również za nim. Zrobiono obydwom miejsca.

Szaława, któremu do gry było pilno, chciał zaraz rozpocząć, ale inni jęli oponować.

— Jeszcze za wcześniel za wcześniel! Calutką noc mamy na to! Teraz ot lepiej pogadajmy!

Szaława rad nierad ustąpić musiał.

Jakoż zaczęto gawędzić, dopytywać się wzajemnie, opowiadać o przebiegu jarmarku, przechwalać się nabytymi końmi, popijając węgryzna, obnoszonego obficie przez wyćwiczoną służbę Pomidor-kiewicza.

Ożdze było w to graj! Rozochocił się wielce, a będąc zapalonym do koni, żałował tylko w duchu, że zaraz omawianych ekwipaży, dobranych czwórek obejrzeć nie może. Słuchał z ciekawością.

Właśnie Józef Kotowicz, mający dotychczas w całej okolicy po Ożdze najlepsze konie, począł się przechwalać ze świeżo nabytych kasztanów.

— Trzymałbym gruby zakład—mówił z entuzjazmem,—że takiej drugiej czwórki ze świecą nie znajdzie! A kłusują... pil pil W kął siwki Krzycha!

— Toby się jeszcze pokazałol—wtrącił z niedowierzaniem Szaława.

— O co idzie! Spróbujmy. Słowo się rzekło... trzymam zakład!—oświadczył Kotowicz.—Trzymasz, „książę?“

— Ile?

— Co mam w kieszeni... Dziesięć tysięcy!—zdeklarował, zapalając się, Kotowicz.

Ożdze zaiskrzyły się oczy.

— Trzymasz, książę?—spytał Szaławy.

Szaława zaczął się wymawiać...

— Kiedy bo... widzisz! tego... Siwosze trochę podchlastane...

— To ja trzymam! — dokończył, widząc, że Szaława się cofa. — Ja trzymam! I to zaraz!

— Co znów? po nocy! — zaczęto perswadować. Ale Oźga, draśnięty w miłości własnej, uparł się.

— Czy w nocy, czy we dnie, wszystko jedno! Po szosie jak po stole! Zobaczymy, kto górą!

— Siwki zdrożone — szepnął mu na ucho Bortnicki.

To go jeszcze podnieciło.

— Choć zdrożone, lepsze od niejednych wystanych — wybuchnął. — Jedziemy zaraz. Każ zakładać — zwrócił się do Kotowicza.

— Chcesz koniecznie... Zgoda — odrzekł tenże, zapalając się również.

Ruszyli od stołu, a inni za nimi, próbując jeszcze wybić im z głowy niedorzeczny zakład. Ale daremnie! Oźga zaciął się, a Kotowiczowi wstyd było ustąpić.

Niebawem całe towarzystwo znalazło się w stajni i po chwili dwie czwórki, zaprzęgnięte do krakowskich wózków, kłusowały przez boczne uliczki za miasto. Panowie powozili sami. Na wózku Oźgi usadowili się zaproszeni na sędziów Bortnicki z Słotwińskim, Kotowicz wioził wybranych przez się: Bolka Witrzyckiego i Święcianowskiego, a Szaława, jako superarbiter, jechał konno z tyłu. Prócz Szaławy, wyruszył również wierzchem, wie-

Zrosłi z ziemią.

dziony ciekawością, cały orszak szlachty. Tylko pan Barszczewski, mimo usilnych zaproszeń, wymówił się od współudziału i poszedł do numeru, bardzo najnowszym wybrykiem siostrzeńca zmartwiony.

— Szalona pałka! — rozważał. — Gotów jeszcze przerznąć, a tu żydzi na karku siedzą...

I nie kładąc się spać, z niepokojem oczekiwał rezultatu.

Tymczasem kawalkada jarmarkowiczów, w otoczeniu zwabionej niezwykle po nocy widowiskiem gawiedzi, złożonej z miejskich gapiów i żydów, wśród których kręcił się Mendel Sofa, wystawszy się na trakt bity za miasto, przystanęła.

Sędziowie omówili warunki zakładu. Wyścig miał się odbyć na przestrzeni wiorst pięciu, klusem, z tem zastrzeżeniem, że czwórka, która więcej niż trzy razy „zarwie“ w galop, bezwzględnie przegrywa. Gdy obie strony zgodziły się na to, Szalawa, który, Bogiem a prawdą, wolałby był grać w karty, niż tłuc się po nocy, zrównawszy zaprzęgi, próbował jeszcze cały zakład w żart obrócić, a przynajmniej wysokość stawek obniżyć.

— Dalibyście pokój! dzieciństwo... — przedstawiał.

Bortnicki ze Święcianowskim zaczęli również perswadować, lecz tak Oźga, jak Kotowicz, słuchać nawet o tem nie chcieli.

Obaj rozgorączkowani, pewni swego, stojąc w wózkach, z lejcami krótko w dłoń ujętemi, na wszelkie przedstawienia odpowiadali tylko:

— Nie marudźcie! Konie się niecierpliwią...
Zaczynajmy!

Jakoż obie czwórki, choć powstrzymywane
wprawną ręką, kręciły się niespokojnie, strzygąc
uszami i parszcząc.

Więc Szaława, widząc, że już nic nie pomoże,
uniósł się w strzemionach, podniósł rękę do góry
i zakomenderował:

— Baczność!

A potem w odstępach liczył:

— Raz!... Dwa!... Trzy!...

Ruszyli.

Szarpnęły puszczone raptem konie, zażegota-
ły podkowy i wózki potoczyły się szybko, koło przy
kole, jakby sprężnięte.

Szaława, z kilku jeszcze jeźdźcami, cwałował
tuż, tuż, nawołując niekiedy:

— Ostrożnie! przymal nie zawadzi!...

Pierwszą wiorstę przejechano równo, prawie
łeb w łeb. Powstrzymywali obaj. Konie kładły się
na wędzidłach, wózki warczały jak wrzeciona,
wprawną ręką prząślniczki w ruch puszczone.

Ale już na drugiej wiorście ognistsze siwki
Oźgi zaczęły mijać, prąc na przód. Oźga ściągnął
silniej lejcamy, powstrzymując, ale widocznem było,
że już nie może dać rady. Siwosze, zwłaszcza
szwaszłowa klacz, z wielkim „fajerem,” brały na
kiele. Czwórka sypała z łopatki...

— Trzymaj! trzymaj! — nawoływał Bortni-
cki.—Poniosł

— Nie mogę! Niech się dzieje co chce! Byle tylko w galop nie wpały, dojedziemy! — odrzucił Oźga, oddychając ciężko.

Puścił. Siwki odsadziły się o kroków kilkanaście jak z procy!

Co widząc, Kotowicz strzepnął lejcami. Drobniejsze o wiele kasztany wyciągnęły się jak struny, idąc raczej błyskawicznym „skrocem“ niż kłusem.

Przestrzeń pomiędzy obu wózkami znów zmaleła. Ale Oźga przodował ciągle. I zdawało się, że niechybnie zwycięży.

Więc galopujący obok Szalawa zaczął mu wieszować:

— Brawo! brawo! Krzychu! A co! nie mówiłem!

Oźga obejrzał się, skinieniem głowy dziękując. A w tej chwili stała się rzecz nieprzewidziana.

Kotowicz świsnął przeraźliwie i lby kasztanów w mgnieniu oka zaczęły równać się najpierw z czwórką Oźgi, a potem wysuwać na przód.

Oźga chwycił bat, lecz go jeszcze rozwinąć nie zdołał, gdy siwosze, wypadłszy z kłusowego tempa, porwały w galop i jak szalone ruszyły cwałem!...

— Bój się Boga! Krzysztofi! — krzyknął przerażony Bortnicki, chwytając się siedzenia.

Ale Oźga nic nie słyszał w tej chwili. Pochylony w tył, ostatkiem sił starał się pohamować rozhukane rumaki. Szarpał, piłował wędzidłami,

że aż przysiadły chwilowo na zadach... Był to jednak trud daremny. Rozpalona czwórka, powstrzymana na moment, ruszała znów w skokach i lansadach.

Tymczasem kasztany Kotowicza rwały obok, spokojnie, równo kłusując.

Ożgę zdjęła desperacya. Wyteżył się, nadludzkim wysiłkiem ściągnął lejce... Siwki zwolniły. Rozległ się miarowy tętent kłusa. Ale było już za późno. Za wiele czasu stracił na szamotaniu się z rozhukaną czwórką. O kilka kroków dojrzał słup wiorstowy.

Pociemniało mu w oczach.

— Przegrałem! przegrałem! — szeptał rozpaczliwie sam do siebie.

I usiadł, a raczej upadł bezwładnie na siedzenie.

W tej chwili kasztany miały metę i rozbrzmiał radosny okrzyk Kotowicza: „Górá naszał górá!

Dojeżdżający konno Szaława, życzący w duchu Oźdze zwycięstwa, walchnął żałośnie.

— *Clapsit gloria mundi!*—mruknął, osadzając konia w miejscu.

Parę minut zeszło, zanim pohamowano rozbiegane konie.

Ożga pierwszy zeskoczył z wózka. Błady był strasznie, w brózdach na czole lśniły duże krople potu.

Podszedł do zaprzęgu Kotowicza.

— Proszę cię!—rzekł, podając paczkę wydobytych z kieszeni banknotów.

Kotowicz zawahał się.

— Co znów! — przemówił. — Jutro rewanz! Odegrasz się.

— Tak! tak! Jutro po dniu *da capo*—zaczęli wołać Bortnicki i Święcianowski.

— To się wie! to się wie!—krzyczał Szaława. Ożga zmarszczył się.

— Proszę cię! bierz!—rzekł krótko, szorstko nieomal.

I nie czekając odpowiedzi, położył paczkę banknotów na siedzeniu i zawrócił do swego zapręgu.

— Jedziemy!—zwrócił się do zaniepokojonego Bortnickiego.

Głos Ożgi brzmiał tak jakoś dziwnie, że Bortnicki bez namysłu wskoczył na wózek.

Ruszyli, nie czekając na resztę towarzystwa, cwałem.

— Oszalał!—pomyślał Szaława i, dosiadłszy wierzchowca, popędził ku miastu.

Pan Barszczewski nie spał, oczekując z niecierpliwością siostrzeńca. Nie spodziewał się wprawdzie przegranej Krzysia, ale, bądź-co-bądź, obiecywał sobie wypalić mu porządną reprimendę za tak ryzykowny zakład.

Usłyszawszy turkot, wybiegł na próg numeru.

Z twarzy Ożgi wyczytał od razu, co się stało.

Przeraził się niezmiernie.

Ożga, zsiadłszy z wózka, dygotał całym ciałem, poruszał zbielełymi wargami, słowa jednak nie wymawiając. Nogi się pod nim gięły, jakby nie po równym podwórku, lecz po grzędziem trzęsawisku stąpał.

Barszczewskiego zdjął żal. Schwycił szybko Krzysia pod ramię i, zaniechawszy ostrych wymówek, wiódł do numeru, po drodze mówiąc dobrotliwym głosem:

— Oj! ty... ty! oj! ty... ty!

Ożga, z utkwionemi w ziemię oczyma, dał się prowadzić jak dziecko. Bortnicki, niemniej zgnębiony, podtrzymywał go z drugiej strony.

Wtem przycwałował Szaława.

— Przerznięliśmy! przerznięliśmy! — zawołał w liczbie mnogiej, łącząc niejako swój los z Krzysiwym.

Pan Barszczewski machnął ręką niechętnie.

Chciał Szaława coś więcej opowiadać. Barszczewski dał mu znak, aby milczał i, nie prosząc go do siebie, wszedł z Ożgą i Bortnickim do numeru.

Posłanie było przygotowane, więc usadowiono Krzysia na łóżku, on zaś wsparł głowę o poduszki i tylko raz po raz dłonią tarł czoło, a wzdychał.

Barszczewski odciągnął na bok Bortnickiego.

— Zgryzł się strasznie. Najlepiej będzie, jak zaśnie—rzekł.

Bortnicki skinął głową.

— I my zrobmy to samo. Zgasimy światło, to go sen prędzej zmorzy—odrzekł półgłosem.

W miejsce odpowiedzi Barszczewski począł zrzucać wierzchnią odzież.

Bortnicki podszedł do Krzysia, chcąc go namówić, aby się rozebrał. Ale wydało mu się, że Oźga już śpi, więc wróciwszy na palcach, zgasił zaraz świecę i sam się w ubraniu na kanapie położył, poprzednio szeptem opowiedziawszy Barszczewskiemu ze szczegółami przebieg i wynik gonitwy.

Ale Oźga nie spał i słyszał wszystko. Był tylko tak zgnębiony, tak rozboleły, że poprostu mówić mu się nie chciało.

Bo zresztą wszystko, co mógłby w tej chwili powiedzieć, było wiadomem!... Przegrał lekkomyślnie ostatek funduszu, resztkę pieniędzy, nie własnych, bo posażnych, dla głupiej fanfaronady postawił na kartę spokój, szczęście nie swoje tylko... Teraz, może jutro zaraz, mogą się zjawić pod jego strzechą niewypłaceni wierzyciele, mogą mu przetrząść dom cały, mogą w oczy nieuczciwością zaświecić, mogą bankrutem ogłosić, z dziedzictwa ojców wypędzić... A on na to nie będzie miał żadnej rady, żadnej obrony, żadnego usprawiedliwienia przed nikim, a najmniej przed tą, której opiekę przyrzekał, miłość dozągonną zaprzysiągł, która los swój w jego zwierzyła ręce, którą kochał wreszcie, tak kochał, że za jedną łzę, wyciśniętą z jej źrenic, świat rozbiłby na pyły. A teraz ileż łez z jego przyczyny czekać ją może!

I myśl o tem czyniła Ożgę bezwładnym. Więc siedział nieruchomy, odrętwiały, niemy, z piersią pełną bólu i wstydu. To rozjątrzał się, złorzecząc w duchu Kotowiczowi, Szaławie, samemu sobie, — to kruszał, na przemian obwinał, zaprzysięgając: „Ostatni raz! ostatni raz!“ lub myślą przenosił się do stóp tej ukochanej, która go teraz właśnie nowem szczęściem obdarzyć miała, własnego sumienia pytał z rozpaczą: „Co ja jej powiem? co ja powiem, gdy się dowie?...“

I wtedy ból go przejmował jeszcze sroższy, jeszcze większy wstyd oblewał, bo nic, coby jego winę zmniejszyło, nie znajdował.

Tak pasował się Ożga z natłokiem smutnych myśli przeszło godzinę, nie ruszając się z miejsca, jakby przykuty do pościeli, na której rozpaloną spierał głowę. Wreszcie samo znużenie przyniosło mu ulgę. Przysnął i półsenny począł szukać w głowie środków ratunku. Rozwahał, kombinował, liczył, wynajdując najprzeróżniejsze źródła, z których ostatecznie mógłby zaczerpnąć. Uspokoił się znacznie, przyszedłszy w tych samych rozmyślach do przekonania, że przegrana ostatnio kwota sama przez się również niewieleby mu pomogła. I to mu taką sprawiło ulgę, że rozbudził się weselszym i, wyciągnąwszy się na łóżku, zaczął teraz zupełnie trzeźwo zastanawiać się nad tem, jak mu właściwie w jego położeniu postąpić należy.

— Juścić bez pieniędzy ani rusz! Teściowi, choćby miał, nie powiem — rozmyślał. — Wziąć od

żydów?... Ba! brać od jednych, spłacać drugim... Głupstwo! Wuj Barszczewski dałby... ale sam goły... Chybabym... las... sprzedał!

Czepił się tej myśli, pocieszył się. „Sprzedać las“ wydało mu się jedynym skutecznym środkiem, tak skutecznym, że już o wyszukaniu innych przestał myśleć. Dziwił się nawet po trosze, że sposób tak prosty nie przyszedł mu od razu do głowy, i żałował, że się tyle czasu i tak bardzo natrapił niepotrzebnie.

Jakoż, uspokojony zupełnie, obiecywał sobie zaraz wziąć się do interesu, wyszukać odpowiedniego nabywcę i za jednym zamachem skończyć wszelkie kłopoty.

Liczył tak na pewno, że nawet zaczął w przybliżeniu rozdzielać osiągniętą przypuszczalnie za las sprzedany sumę. Teraz wszystko układało mu się dobrze, starczyło na wszystko.

— Nawet się coś na czysto okroi. Podatki z góry zapłacić, a i o gościńcu dla Jadwini pomyśleć trzeba. Jeżeli tylko rzeczywiście dobra, nabędę dla niej tę wierzchówkę od Szmula—planował prawie radosny.

Po tak smutnej do niedawna twarzy przesuwał się teraz uśmiech, siadając na klejących się do snu powiekach.

Nawet przegrany zakład przestał Ożgę boleć.

— Co tam!—tłómaczył sobie.—Kotowiczowi tylko się udało. Daleko jego kasztanom do moich

siwków! daleko! Tak... pięć wiorst... to jeszcze! i to dlatego, że moje szelmy gorące... Ale na dalszą metę zobaczylibyśmy!

Zasypiał powoli, ukołysany słodko, gdy nagle na brukowanym podwórku zajazdu zatętnił odgłos kopyt końskich i rozległo się głośne wołanie.

Ocknął się Oźga. Głos był mu znajomy. Mrowie go przeszło, zerwał się na równe nogi.

A w tej chwili wpadł do numeru zadyszany stajenny z Kościeszówki.

— Antek! Bój się Boga! co się stało?! — spytał.

— Pa.. pa..ni chora—wyjknął chłopak.

Oźga schwycił się za głowę, runął we drzwi i biegł do stajni ze strasliwym krzykiem:

— Zaprzęgać! zaprzęgać!

Wybiegli za nim w te pędy rozbudzeni hałasem Bortnicki z Barszczewskim, a dowiedziawszy się, co się stało, zaczęli uspokajać...

Ale Oźga nie słyszał. Zaprzęgał na spółkę za stangretem i szeptał tylko bezładnie:

— Jadwinia! Jadwinia! Po doktora, po doktora! kto w Boga wierzy!

Więc Bortnicki, flegmatyk z natury, zimniej wszystko oceniający, rzekł:

— Jedźże, Krzychu, sam naprzód, a ja doktora przywiozę...

I wybiegł na miasto.

Po chwili czwórka siwków, niewypoczętych jeszcze po nocnej gonitwie, mknęła jak szalona ku Kościeszówce.

Od wschodu pociągał wiatr zimny, prawie mroźny. Ale Oźgę rozpacz grzała. Stał w wózku w rozpiętej algierce, całym ciałem podany na przód, smagał biczem dobywające ostatnich sił siwosze i leciał, jak ptak na obronę zagrożonego gniazda.

W kościeszowskim kościółku dzwoniło na Anioł Pański.

VI.

Nadeszły teraz dla Krzysia dni ciężkie, bardzo ciężkie, chwile rozpaczliwej trwogi pełne, wątpieniem rozzdzierające, a tak bolesne, że wobec nich wszystko, co w życiu przeszedł, przecierpiał, malało.

Nawet te straszne godziny, w których po niefortunnym zakładzie pędził lotem ptaka, nawet ten ból, który go wówczas przejmował.

Prawda, że wtedy skończyło się na strachu tylko. Kiedy ledwie żywy wpadł do domu, Jadwina po zwyczajnem omdleniu przysła już zupełnie do siebie i czuła się tak dobrze, że pani Prońska z Julką zaczęły się wstydzić przedwczesnego alarmu. Przywieziony przez Bortnickiego lekarz również nie znalazł nic niepokojącego, prócz zwykłego w takich okolicznościach osłabienia.

Ale już w ciągu tygodnia pojawiły się groźne objawy. Jadwinę ogarniała chorobliwa senność, a omdlenia przytrafiały się coraz częściej.

Przytem osłabła tak dalece, że się o własnej sile na łóżku podnieść nie mogła.

Czuwający dzień i noc przy chorej Oźga, po naradzie z miejscowym lekarzem, sprowadził zastawnymi koźmi znakomitego specjalistę z Warszawy. Przyjechała poczciwa Jangrotowa pomagać stroskanej matce w pielęgowaniu Jadwini, dojeżdżał codzien prawie radca Proński, zaglądał Barszczewski, a wszystkim łzy nie zasychały w oczach.

Sprowadzony doktor znalazł wprawdzie ogólny stan chorej dość pomyslnym, jednakże ogromne wycieńczenie i upadek sił zastraszyły go bardzo. Zaordynował odpowiednie środki wzmacniające, przepisał kąpiele o właściwej temperaturze, nade wszystko zaś zalecił unikać wszelkich wzruszeń i odjechał, przyrzekłszy stawić się na każde wezwanie.

Zrozpaczony Krzyś, nie rozbierając się, nie śpiąc, mało jedząc, ciągle na nogach, snuł się jak cień po pełnych smutnej ciszy pokojach dworku. Łamał ręce, rozmawiał sam z sobą, majacząc—i tylko przy łóżku żony, pod jej wzrokiem, tłumił bezgraniczną boleść, siłąc się na uśmiech, pokrywając sztuczną wesołością głęboki smutek.

Siadywał tak godzinami całemi przy jej nogach, zastygły w ucisku rwących uczuć, zapatrzo-

ny w przezroczywą, matowo-błądą twarz chorej, nieruchomy, nie zmieniając wyrazu oblicza, aby udanego spokoju nie zatracić.

Ona zaś niekiedy unosiła z wysiłkiem śliczną główkę i, skrobiąc rąbek kołdry wychudłemi palczętami, pytała cichym, zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Mnie lepiej... prawda? Krzychu! Lepiej... Powiedz...

Wtedy było mu najciężej. Cierpiał strasznie. Nie podnosząc oczu, aby w spojrzeniu beznadziejnej troski nie dostrzegła, kładł zbiegłe wargi na jej ręce, pragnąc niejako wyczuć słabe bicie pulsu, i odpowiadał szybko, bez namysłu: „Lepiej, Jadziuchno! lepiej! Tylko się nie męcz! nie mów! Moja ty! moja!”

Sam też nigdy nie zwracał się do niej z pytaniem: jak się czuje? Bo zdawało mu się, że z każdym otwarciem ust ulata z niej jakiś strzęp życia, a najmniejszy ruch szkodzi, boleść sprawia, śmierć przyciąga.

Czasem tylko, gdy wyczerpana zasypiała z półotwartemi oczyma, gdy zmęczone źrenice pokrywała jakaś mgława osłona niemocy, tracił panowanie nad sobą. Pochylony nad bezsilnie opadłą główką Jadwini, drżący, wpijał się wzrokiem w sine żyłki, przez przejrzystą cerę przeglądające, szepcząc:

— Płyniel... płynie... Ale jak wolno! Boże! Boże!

I chlpał głośno, na nic już nie zważając. Wtedy musiano go mitygować. Najczęściej czyniła to Jangrotowa, mająca zawsze szwagra na oku, ilekroć się do chorej zakradał. Brała go pocziwa kobiecinka pod ramię i *par force* wyciągała z pokoju, strofując:

— Kto widział.. panie Krzysztole! kto widział! Chwała Bogu, że biedaczka zasnęła... A pan...

On zaś uśmiechał się smutnie, nie bronił wcale, szedł jak trusia, dopiero za progiem odważając się na odpowiedź.

— Moja panil moja złota panil—tłómaczył się zwykle złamanym głosem—albo ja już wiem, co robię?! Albo ja wiem!...

Jakoż mówił prawdę, bo, ciągłym cierpieniem zmęczony, istotnie nie wiedział, co robi.

Niekiedy, wypędzony z tego rajy boleści, krążył z pokoju do pokoju bezmyślnie, co chwila oburącz trąc skronie; najczęściej jednak zachodził do sąsiedniego sypialni alkierzyka, gdzie pani Prońska, równie jak on, złamana, znękana, czuwając, najchętniej przepędzała długie godziny na krwawiących macierzyńskie serce rozmyślaniach lub modlitwie. Jeśli zastawał matkę klęczącą przed wizerunkiem Bożej Rodzicielki, przyklękał obok i już nie modlił się, ale bez słów żebrał zmiłowania u stóp Orędowniczki uciśnionych.

Czasami znów przysiadł obok świekry i, nie mówiąc, całował jej ręce i tak tkliwie patrzył w oczy, że pani Prońska, choć sama strawiona

smutkiem i niewywczasem, brała go za głowę, całowała w czoło i, pocieszając, prosiła, aby szedł odpocząć. Wychodził posłuszny, lecz po to tylko, aby w innym kącie przysiąść i dumać.

Próbowała go parę razy rozruszać Julka, radca Proński, przyjechawszy, kilkakrotnie pod pozorem przechadzki wyciągał z domu, Barszczewski z Bortnickim za każdą bytnością przedstawiali, aby się nie poddawał zwątpieniu, lecz wszelkie usiłowania nie odnosiły skutku. Ożga zrosł się z cierpieniem, na moment odeń odzepić się nie mógł, karmił się, żywił troską i smutkiem. O czem innym już nie umiał ani mówić, ani myśleć.

Myślał też wciąż, przechodząc od rozpaczdy do nadziei, bicząc skołatany umysł zarówno jedną, jak drugą.

Przychodziły mu obecnie do głowy różne, nieznanne przedtem myśli i pojęcia. Czasem budził się w jego duszy bunt jakiś i wtedy mówił sobie: „Jeżeli każdy związek z ukochaną po sercu istotą łączący się musi zawsze z tak wielkiem cierpieniem, lepiej nie kochać i nie boleć;“ to znów przy lada pobłysku nadziei, krzepiąc się, powtarzał: „jeśli tylko to nieszczęście wiedzie do szczęścia, to już do takiego! że cierpieć warto! warto!“

Lecz zaraz rozważał, wątpiąc:

— Czy tylko wiedzie?

Na rozmyślaniach takich upływały dnie i noce, bez zmiany, bez ulgi, bez jakiegokolwiek wypoczynku.

Zmienił się też do niepoznania. Wysechł, szerniał, osłabł i widocznem było, iż się niebawem z nóg zwali.

Zaczęto się obawiać o jego zdrowie. Radca Proński, najwięcej wogóle okazujący otuchy i najmniej z całego otoczenia upadły na duchu, zastraszony takim stanem zięcia, zasięgnął nawet pewnego razu rady lekarza.

Ten wzruszył ramionami.

— Młody jest... przetrzyma. Ale zdrowie nadszarpie—odrzekł.

I tak mijał dzień za dniem.

Wyspany bólem, wyczerpany niewczasem, Ożga zapadał w jakąś zdrętwiałą obojętność, w jakąś anemię duchową, że już poprostu nie zdawał sobie z niczego sprawy.

Wreszcie pewnego dnia Jangrotowa spostrzegła z przestachem, że Krzys mówi od rzeczy. Przez gwałt zapakowano go do łóżka. Szamotał się początkowo rozpaczliwie, bronił, bredząc, zrywał, w końcu stracił przytomność. Wywiązała się silna gorączka i ubezwładniła go zupełnie.

I może lepiej się stało, bo, jak mu to później... później z rozrzewnieniem wspominała świekra, „byłby tylko przeszkadzał...” — gdyż właśnie podczas jego choroby nadeszła stanowcza, spędzona przez otaczających na modlitwie chwila.

I przeszła nadspodziewanie szczęśliwie dla matki i tego stworzonka, co żyć nie zacząwszy, tyle już łez wycisnąć zdołało.

Zrośli z ziemią.

A i potem były jeszcze lzy rzewne, smutku dużo, dużo strachu i niepokoju, ale szczęścia już więcej.

Matka i ojciec na wyścigi przychodzili do zdrowia, a dziadkowie i ciotki rozpływali się nad różowym „skrzeczkiem!“ wnusił nową Dziuchną!— która jednak dość obojętnie przyjmowała te objawy pieśczoć i podziwu, najczęściej śpiąc smacznie, a niekiedy pierwosnkami dźwięków domagając się praw swoich.

Ożga szalał z radości.

Kiedy mu pierwszy raz obecna pani Bortnicka, która wytrzymać nie mogła, po dawnemu trzpiotowatą Julką zostawszy, udzieliła radosnej „nowiny,“ zwał się z łóżka, przyodział i, nie zważając na przedstawienia doktora, poczłapał do pokoju żony.

Tu nie wiedział, kogo ma najpierw witać. Wreszcie, zamiast czego, zaczął beczeć na cały głos. Padł na kolana przy łóżku Jadwini zaszlochany, przylgnął twarzą do pościeli i czołgał się wokół łóżka, rychnocząc. Dopiero gdy mu dziecinę prawie pod oczy podsunięto, a maleństwo piszczeć zaczęło, rzucił się najpierw ręce Jadwini całować, a potem nieśmiało dotykał drżącymi wargami różowego ciała... raz... drugi... trzeci, a coraz to szybciej, coraz to namiętniej.

A patrzył tak, jakby nie dowierzał, że to wszystko jego, naprawdę jego.

Nie przeszkadzano mu w tym pierwszym wylewie radości, więc wziął dziecinę z rąk niańki, uniósł w górę i począł mówić miękkiem, urywanym głosem: „Skarby! skarby! Córuchno! córuchno! Tatuś... tatuś...”

Kiedy zaś Jangrotowa odebrała mu wreszcie dziecko, wrócił znów do żony i, u nóg jej przysiadłszy, ze wzrokiem przepelnionym wdzięcznością i kochaniem, szeptał:

— Dwoje...^o teraz... Dwoje! Oj! oj! drodzy moi! jacy drodzy!

A potem, mając ciągle na ustach: „Jadwinia! Córuchna!” brał wszystkich w objęcia z kolei, że aż radca Proński zaczął niby studzić ten wyskok radości zięcia, mówiąc żartobliwie i drwiąco:

— Czego ty skaczesz! czego! Wielkie rzeczy! Córuchna! córuchna! *Fuszer* jesteś! ot co! Córuchna!

A tak się to staremu podobało, że odtąd zięcia stale „fuszerem” prześladował, ilekroć Krzysia na piastowaniu „skrzeczka,” bo tak maleńkie bobo przewano, napotkał.

To zaś zdarzało się dość często, gdyż teraz Ożga prawie nie wychodził z pokoiku żony, pieszcząc się z córą i mamusią.

Inni też schodzili się tam na pogawędkę. Dopuszczono nawet mężczyzn z chwilą, gdy chora mogła już siadywać w łóżku i rozmawiać bez zmęczenia.

Wtedy to najczęściej radca kompromitował zięcia wobec wszystkich, dogadując:

— Fuszer! fuszer jesteś i basta!

— Niech tam! niech tam!—odpowiadał Krzys, a Bortnicki, o ile był obecny, nadymał się, obiecująco spoglądając w stronę Julki.

A Julka kraśniała... kraśniała, ale udawała, że nic nie rozumie, i tylko czasem syknęła przez zęby:

— Brzydall

Bortnicki wybuchał wtedy śmiechem i kończyło się na tem, że pani Prońska wypychała go z pokoju, nie pozwalając wracać, aż się ustatkuje.

Spotykało to również radcę i Krzysia nawet, gdy tylko zanadto baraszkować zaczęli.

I tak stopniowo wracało szczęście.

W parę tygodni stan chorej nie budził już żadnych obaw, każda chwila przynosiła polepszenie, a z niem ożywczą pociechę, że wszystko już minęło. Chora zaczynała grymasić, upierać się, że już wstanie, a „skrzeczek“ w samej rzeczy skrzeczał tak głośno, że się po całym dworku rozlegało.

Miał też Krzys niemało jeszcze kłopotu z obojgiem.

Jadwinie bawił przestрах męża, więc w miarę, jak do sił powracała, zachciewało się jej figlów, psot różnych.

Czasami, ni stąd, ni zowąd, gdy byli tylko we dwoje, przymykała nagle oczęta i spoglądała na męża z pod rzęs, szepcząc z udaniem drzeniem i obawą:

— Krzychu! coś... mi... jest...

Ale zaraz, widząc, że blednie jak ściana, wznosiła główkę i, zanosząc się od śmiechu, pytała:

— Naprawdę? naprawdę bałeś się o mnie? Widzisz, jak to dobrze, że Bóg łaskaw...

On zaś nachylał się tuż tuż nad nią i, dysząc jeszcze ciężko, odpowiadał:

— Oj! nie strasz! oj! nie strasz! bo i tak... wierzyć się doprawdy nie chce!.. Rób zresztą, co chcesz, byleś mi zdrowa była. Moja droga! jedyna, pocziwa mamusia!

I całował bez przerwy.

W duchu zaś cieszył się z tej prostoty, będącej niejako próbą kochania.

Miewał jednak i troski nieudane. Początkowo w grozie, która go otaczała w uścisku straszniego niepokoju o zdrowie i życie żony, wszelka inna myśl nie miała i nie mogła mieć doń dostępu. Interesa, długi, wierzyciele, żydzi, świat zresztą cały nie istniał wtedy dla niego. Ale teraz, gdy ten ogrom smutku, żalu, przygnębienia minął, gdy czas pozwolił mu już ochłonąć z nawału szarpiących serce wzruszeń, zjawiała się powrotna fala smutnych rozmyślań, powróciła troska o jutro.

Pocieszał się wprawdzie, że ze sprzedaży lasu opędzi wszystko, lecz trwożył się bardzo, aby żydzi przedwcześnie, teraz zwłaszcza, atakować nie chcieli.

Na samą myśl o tem truchlał.

— Później! niech się dzieje, co chce! Ale teraz nie daj Boże! Niechby to do Jadwini doszło... We łbybym strzelał, dalibóg!—rozmyślał, unosząc się trwogą i gniewem.

Całe szczęście, że obawy były płonne.

W Kościeszówce nie pokazywał się nikt z wierzycieli.

Tymczasem zaczęto składać wizyty rekonwalescentce, która już po parę godzin siadywała w krzesle, nad kołyską Dziuchny. Dziecinę przynoszono umyślnie, prezentowano całej okolicy, a młoda matka rosła, słuchając tych pochwał, tych uniesień nad rozumem, urodą i tysiącem jeszcze zalet „skrzeczka.“

I patrzyła nieraz tak dumnie, jakby wielką batalię wygrała, zwłaszcza, że *vox populi* upatrywał w maleństwie wielkie podobieństwo do matki.

Niekiedy znów starała się nibyto obniżyć stopień przyznawanych „skrzeczkowi“ zalet, mówiąc:

— Takie sobie... milutkie...

Czyniła to jednak nie tyle przez skromność, co dla wywołania protestu i dalszej na ten temat dyskusyi.

Jakoż spotykała się zawsze z jednozgodnym protestem w formie przeczących wykrzykników: „Ależ, kochana pani!“ lub: „Co też wygadujesz, Jadwiniu! trzeba oczu nie mieć,“ poczem następował szczegółowszy jeszcze przegląd zalet ciele-

nych, a nawet duchowych małej obywatelki świata, z którego, rzecz prosta, córka zawsze wychodziła zwycięsko, z awansem, matka zaś kapitulować musiała.

Bywały też i inne sporne, wielkiej wagi „kwestye.“ Przez czas jakiś wybór imienia nie schodził z porządku dziennego, bo choć przy chrzcie z „wody“ Dziuchna nieodwołalnie została Dziuchną, jednakże na „drugie“ stanowcza decyzja jeszcze nie zapadła.

Nawet przy pomocy alfabetycznego spisu Świętych Patronek, pomieszczonego w kalendarzu Ungra, niepodobna się było zgodzić na jedno, tak rozstrzelały się zdania. Nakoniec pani Prońska, czując się w podwójnem prawie, jako babka i przyszła matka chrzestna, przechyliła ostatecznie szalę za Świętą Barbarą, ze względu, że wnuczka w dniu 4-ym grudnia akurat dwa miesiące skończyć miała.

W tymże dniu postanowiono dopełnić „ceremonii“ chrztu świętego.

W pierwszą parę mieli trzymać Dziuchnę-Baškę dziadkowie, w drugą pan Barszczewski z panią Jangrotową, a że i Julka dopraszała się czynnego udziału w uroczystości, złożono przeto trzecią parę chrzestnych, jednakże bez udziału Bortnickiego, bo Julka, na przekór mężowi, zaprosiła w kumy Frania Chojnackiego.

Oburzył się na to żartem Bortnicki i odgrażał:

— Poczekaj, Julka! poczekaj! Przyjdzie kré-ska na Matyska. Na drugi raz z Manią Święcia-nowską się pokumam, a ciebie w domu zostawię. Prawda, Krzychu?

Ale Krzych nad tą „prawdą“ nie zastanawiał się wcale, nie pożądając teraz nic więcej, jak tylko kochać, kochać to, co już miał... dwie „urody,“ dwa szczęścia, dwie Dziuchny!

Wreszcie „obozowisko,“ „rada familijna,“ otaczająca rekonwalescentkę, zaczęła się rozjeżdżać. Wyjechali Bortniccy, pan Barszczewski, wrócił do siebie radca Proński, została tylko babka z Jangrotową, szyciem wyprawki na „wyrrost“ dla chrześniaczki zajęta.

Dlatego na wyrrost, że Dziuchna, odkąd się do lepszej kuchni pod postacią Kubiny Stykowej dostała, rosła jak na drożdżach. Już jej nawet w puchowej poduszeczce za ciasno był!

Jadwinia początkowo karmiła sama. Chociaż lekarz i całe otoczenie zresztą byli przeciwni, nie było sposobu odwieść jej od tego. Dopiero gdy sam „skrzeczek“ położył stanowcze *veto*, krytykując coraz częściej głośnym krzykiem zapasy spiżarniane mamusi, zgodziła się Jadwinia na zmianę, ku wielkiej radości Krzysia i dziadków, którzy zaraz z jej „poświęcenia“ nie omieszkali skorzystać.

A że równocześnie prawie żona Kuby Styka, rozumiejąca po kobiecemu równouprawnienie dworu z chatą, powiła córkę, przeto Oźga wymógł na towarzyszu zabaw dziecinnych podarkiem ładnej

dówki, że tenże zgodził się na skup tej w swoim rodzaju służebności pastwiskowej, zrzekłszy się w imieniu własnej pociechy wszelkich praw do mlecznego serwitutu.

Okazało się, że „układ“ był dla dworu wyjątkowo korzystnym. „Skrzeczek“ mniej odtąd usprawiedliwiał nadane przezwisko, a i Jadwini podział pracy wyszedł na dobre, bo zaraz sił miała więcej i cerę zdrowszą.

Teraz więc, gdy wszelkie obawy minęły, Krzyś, czując się swobodniejszym, zaczął się potrochu zajmować gospodarstwem; chciał również przed chrczinami zabezpieczyć się od nieproszonych gości, a zwłaszcza od Symchy Rajzmana, którego obawiał się najwięcej, i w tym celu zamierzał jechać do miasta, aby nareszcie choć tymczasowo, do chwili sprzedaży lasu, interesa ułożyć.

Ale odkładał z dnia na dzień, tak mu ruszyć się z domu było niesporo. Ostatecznie dopiero po liście pana Warzyńskiego zdecydował się wyruszyć.

Pan Warzyński, jako opiekun nieletnich bratanków, których suma obciążała Kościeszówkę, sądząc, że Oźga jest teraz przy pieniądzach, w rzeczonym liście przypominał w formie nader grzecznej, że termin wypłaty już minął, nadmieniając jednak, że gwałtu niema, że chętnie poczeka, mając nadzieję, że Krzyś—o ile mu to *kwadruje*—kapitał łącznie z procentami na Nowy Rok zwrócić zechce. Co do kapitału, ten był mu koniecznym, gdyż właśnie chciałby dla Stasia Wa-

rzyńskiego, który kończył studia agronomiczne, coś kupić. Ma już nawet majątek upatrzony.

Kiedyindziej byłby się pewnie Oźga struł taką niespodzianką, lecz obecnie było mu prawie wszystko jedno. „Sprzeda las“—oczyści hypotekę.

Że jednakże sprawa sprzedaży lasu, jako wymagająca większej gotówki, musiała się przewlec czas jakiś, wybrał się więc Oźga dla „wymacania“ interesu do miasteczka. Miał również za jednym zachodem, czy to zbożem, czy w inny sposób, jak się da, uregulować należność Rajzmana, aby przynajmniej do chwili skutecznienia tranzakcyi leśnej mieć swobodną głowę.

Nie wątpił, że mu to przyjdzie z łatwością.

Tymczasem Rajzman nad podziw okazał się nieprzystępnym, niewwzględniającym. Zboża początkowo wprost kupić nie chciał, żądając wyłącznie gotówki, tej zaś Oźga nie posiadał; później zmiękł, ale zaofiarował tak śmiesznie niską cenę, że przystać na nią było niesposób. Przytem zaczął uważać się na niesłowność Oźgi, a nawet dość wyraźnie grozić, że dłużej cierpliwym być nie może.

Krzyś, z natury impetyk, uniósł się gniewem i, rzuciwszy wierzycielowi na pożegnanie: „To mię skarż, durniu!“—wrócił z niczem do domu w jak najgorszym humorze.

Tem się tylko pocieszał, że zaraz po chrzcinach Dziuchny wyjedzie do Warszawy, gdzie się niechybnie odpowiednich kupców na las znaleźć spodziewał.

— Tymczasem — myślał — nic mi nie zrobią!
A potem trzeba z tem tałałajstwem raz skończyć.

I odtąd coraz częściej spoglądał w stronę,
w której szumiał las, las zbawczy.

VII.

Chrzest Dziuchny miał się odbyć z wielką pompą. Takim było wyraźne życzenie dziadka.

Proński, chociaż jeszcze niekiedy zięcia „złamaniem herbowej tarczy Oźgów“ sekował, chociaż o „kądzielce“ wyrażał się niby z lekceważeniem, coraz częściej jednak dawał się słyszeć ze zdaniem, „że taka myrdka warta stu chłopaków,“ ostatecznie zaś, na parę dni przed uroczystością rodzinną, wręczając Krzysowi list zastawny „za wnusię,“ ucałował go serdecznie, mówiąc:

— Weź-że na kosztą... a nie żałuj! Trzeba pannę w świat wprowadzić od razu... Niech ludzie wiedzą... panie! bo to uroda! uroda! Będzie kiedyś chłopców za nos wodzić...

Jakoż Krzys nie myślał całkiem „żałować,“ lecz rozesławszy listy z zaproszeniem do wszystkich „kochanych a łaskawych“ sąsiadów, postanowił *in gratiam* tak radosnej okazji wyprawić fetę co się zowie.

Pomijając już inne względy, osobiście uśmiechało mu się to bardzo. Po tylu tygodniach, spędzonych na strapieniach i smutkach, Oźga sam dla siebie łaknął weselszej chwili i nie umiał się oprzeć

pokusie, tem bardziej, że czuł się niejako zobowiązany względem teścia.

I chociaż niekiedy przychodziło mu do głowy, że możnaby z posiadanych pieniędzy lepszy bądź-co-bądź zrobić użytek, rozgrzeszał się łatwo, tłumacząc samemu sobie, że «mniej czy więcej» już go nie zbawi, a «co się należy, to należy.»

Nadszedł wreszcie dzień wyznaczony. «Święta Barbara po wodzie» zesłała dzionek mglisty nieco, ale piękny i tak ciepły, że na dobrą sprawę można było bez obawy zaziębienia «córuchny» ceremonii dopełnić w kościele.

Chodziło jednak o matkę, której lekarz nie radził jeszcze wychodzić na powietrze, ta zaś bardzo pragnęła być obecną przy obrzędzie. Z tego zatem względu cała uroczystość miała się odbyć w domu, w przystrojonym w kwiaty salonie, zaraz po wotywie, na intencję małej chrześniaczki odprawionej, na którą też wybrali się z rana chrzestni z Oźgą.

I wszystko składało się jak najlepiej. Tylko Krzysiowa miała z sobą i z «nieznośną» Dziuchną trochę kłopotu.

Mając wystąpić pierwszy raz w nowej randze matki, chciała pani Krzysztofowa być piękną... bardzo piękną! A tu, jak na złość, wszystkie lepsze sukienki okazały się za ciasnymi. Jeszcze ze spódniczkami pół biedyl ale staniki były stanowczo nie do użytku.

Podobne nieszczęście spotkało córuchnę, z tą tylko różnicą, że, choć paradna muslinowa sukienka z haftami była zupełnie prawie, chociaż było w niej „skrzeczkowi“ bardzo do twarzy, jednakże nieprzewidziany wypadek podczas robienia toalety zmusił zmartwioną tem bardzo Jadwinię do przebrania matlukię w inną sukienkę, mniej ozdobną i bez haftów.

Sama też Jadwinia, namajstrowawszy się daremnie nad „popuszczaniem,“ z konieczności wróciła do wolnego z różowej piki szlafrocza. Tylko w lekko zwinięte w „muszlę“ płowe sploty wpięła kiść kwitnącej pelargonii...

A było jej w tem tak ładnie, tak uroczo, że gdy wrócono z kościoła, Franio Chojnacki, który Krzysztofowę po paru miesiącach niewidzenia pierwszy raz zobaczył, stanął jak wryty, patrząc przez chwilę, jak w cudowny obrazek.

Potem zaś, gdy mu „skrzeczka“ sprezentowano, a Oźga zaczął dopytywać: „A co? a co?“ wziął się za głowę i więcej na matkę niż na maleństwo spoglądając, zaczął:

— Jakie to śliczne! naprawdę śliczne! Pojęcie przechodzi... Aż tu słodko!

I na krtań pokazawszy, jął potrząsać rękoma Krzysia serdecznie.

Więc Jadwinia, zarumieniona cokolwiek, podszedłszy bliżej, rzekła:

— A widzi pan!

A potem dodała ciszej:

— Trzeba brać przykład... panie Franciszku! szczęście samo nie przychodzi... Trzeba szukać i znaleźć. A pan... powinien znaleźć z pewnością...

— Ja też szukam i... znalazłem... — odrzekł, siląc się na uśmiech. — U was... U państwa... — poprawił się. — I proszę wierzyć, że w tej chwili niczego więcej nie pragnę i nikomu nie zazdroszczę — dokończył.

A wymówił to tak jakoś dziwnie miękko, z taką zacnością, tak szczerze, że Jadwinia, która wiedziała o uczuciach Chojnackiego, bo się z niemi nigdy nie tań, uczuła teraz żywą wdzięczność i większe jeszcze poszanowanie dla tego człowieka, co tak szlachetnie, na widoku cudzego szczęścia przedstawiając, tem samem wiernej dbałości o jej szczęście i spokój składał dowody.

Więc podając mu rękę, którą on skwapliwie do ust poniósł, przemówiła:

— Pan jesteś bardzo pocziwy, panie Franciszku!... bardzo dobry... i dlatego Bóg panu wynagrodzi... A ja... oboje z Krzysiem zawsze szanować będziemy i kochać jak brata...

Chojnacki przybladł, chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale w tej chwili Krzyś, który był przed chwilą wyszedł, wpadł jak bomba, prowadząc świeżo przybyłych gości.

Ci zaś zaraz otoczyli Jadwinię kołem. Zaczęły się powinszowania, życzenia, pełne podziwu wykrzykniki nad pierworodną, która początkowo

przyjmowała te owacye dość życzliwie, ściągnając usteczka i pokazując różowe dziąsła, ale w końcu zmrużywszy chabrowe ślepki, zaczęła piszczeć w niebogłosy, że aż ją do drugiego pokoju wynieść musiano.

Wtedy Julka Bortnicka, której do nowej godności pilno było, zaczęła buntować dziadków, aby na przyspieszenie ceremonii wpłynęli.

— Nikogo już prawie nie brakuje... A małństwu spać się chce—przedstawiała.

Więc zaraz oboje Prońscy, przywoławszy zięcia, jęli naglić, żeby nie zwłóczył bez potrzeby, skoro wszystko już na pogotowiu.

— Chciałem się Szaławy doczekać. Jakoś go nie widać—odrzekł Oźga.

— Nie bój się! przyjedzie później. A zresztą obejdzie się bez niego—zapewnił Proński.

A pani Tekla, która od czasu rozmowy z Barszczewskim niebardzo przychylnie była dla „księcia“ usposobiona, potaknęła:

— Zupełnie obejdzie! Przyznam ci się, mój Krzysiu, że nawet lepiej, że go niema... Zaraz byłaby pijatyka...

— Jednakowo dziwi mię, że nie przyjechał—odpowiedział jeszcze Krzys, który radby był w tej chwili wszystkich towarzyszków „broni“ mieć przy sobie. Ale nie chcąc się sprzeciwiać rodzicom, natychmiast podszedł do rozmawiającego z Barszczewskim kanonika i za chwilę wszystkie trzy pary kumów wyrzekały się już w imieniu Dziuchny

„czarta i wszystkich spraw jego,“ nie zważając na iście pogański upór maleństwa, które, krzyżąc przeraźliwie, myrdało niespokojnie rączkami i nóżkami tak, że dziadkowi się jedno porządne (jak opowiadał) fiknięcie w samą brodę dostało.

Podczas ceremonii pani Krzysztofowa, klęcząc, modliła się gorąco o dalsze, takie samo szczęście dla siebie i... wszystkich, Krzyś zaś, pomodlwszy się również, z radosnem sercem czekał niecierpliwie końca, bo mu się już strasznie za zdrowie „córuchny“ wypić chciało. Żałował przytem, że Szaławy niema.

— Coś „księcia“ zaskoczyć musiało, skoro nie przyjechał — rozmyślał. — A może się obraził o co? Może...

Ale pan Szaława nie obraził się bynajmniej. Inne powody opóźniły jego przyjazd.

Szaława, odebrawszy zaproszenie, ucieszył się wielce, bo nie widując Ożgi od czasu owego jarmarku, już był za nim na seryo zatęsknił. Przytem węsząc bibkę, zawczasu łykał slinkę.

— Już to tam Krzych obleje ojcostwo! obleje — rozważał, szykując się w dzień uroczystości do drogi.

Frasował go jedynie prezent, bo przecie „z gołemi rękoma“ nie wypadało.

— Żeby to jeszcze chłopak — rozmyślał, łamiąc sobie głowę nad wynalezieniem czegoś odpowiedniego, — tobym mu albo kuca, albo smycz char-

tów przychował... ale dziewczyna... A bez tego ani rusz! Dziecko Krzycha przecie...

Wreszcie po długich poszukiwaniach wynalazł z lepszych czasów uratowaną szczęśliwie od zagłady szpilkę z soliterem. Podarek wydał się Szaławie dość właściwym dla pći pięknej, więc wyciściwszy starannie klejnot, owinął go we wzięty od gospodyni kawałek niebieskiej wstążki i, nie tracąc czasu, kazał zaprzęgać, sam zaś zaczął się pośpiesznie ubierać, aby się na zapowiedzianą w liście wotywę nie spóźnić.

Zanim jednak karosze zaszły, wpadła do pokoju zadyszana jedna z dziewczek z wiadomością, że „ktoś“ jedzie...

Szaława, nie dokończywszy toalety, zarzucił coprędzej szlafrok i pobiegł do okna. Na dziedzińcu wjeżdżała właśnie żółta najtyczanka, zaprzężona w parę srokatych kobył.

Szaława poznał ekwipaż.

— Stempłowicz! komornisiol! — mruknął, ale się nie przestraszył i z najlepszą miną wyszedł na powitanie.

„Księżę“ był już z takimi wizytami otrząskany, przytem wiedział z góry, że mu się nic złego stać nie może. Miał też Szaława i służbę tak wyćwiczoną, że nie czekając rozkazu, sama usuwała w takim „wypadku“ wszystko, co jakąkolwiek wartość miało. Nie było zresztą tego wiele, bo księżę „gratów“ nie lubiał, a w „fatałaszkach“ się nie bawił, całą garderobę w jednej szafie pomieszczając.

Zrośli z ziemią.

Więc też w razie *niebezpieczeństwa* nie było zbyt wielkiej *subiekcyi*.

Psiarek spuszczał psy, które na chwilę ujadaniem zatrzymywały niemilego gościa, sam zaś wbiegał co tchu od tyłu do pokojów, chwycił walizkę z rzeczami, flinty—nogi zapas i w pole. Wierna gosposia czyniła toż samo ze stołową bielizną i srebrzem, drałując do najbliższej chaty; stangret czmychał z karoszami, pastuch wypuszczał stadninę na cztery wiatry, a pan Szaława, gdy wymiarkował, że już wszystko *zalatwione*, wybiegał przed ganek i z najlepszą miną zapraszał opędzających się psom gości do środka. Potem zaś raczył czem chata bogata, bez najmniejszej obawy, pewnym będąc, że „czynność“ nie sprowadzi szkodliwych skutków.

Miał nawet pasyę drażnienia się, zwłaszcza gdy komornik przybywał w asyście wierzycieli. Z największą uprzejmością otwierał wszystkie pokoje, oprowadzał, wodził do śpichrza, stodoł, stajen, gdzie najczęściej nic już nie było, to zaś, co zastawano, jako „przywiązane do gruntu,“ zajęciu nie podlegało.

Pan Szaława bawił się wtedy wybornie, z udanem ubolewaniem pytając:

— Może panowie życzą sobie coś więcej jeszcze obejrzeć? To służę... I owszem! Mamy jeszcze dość czasu do zachodu słońca...

Wizyty kończyły się zwykle dopełnieniem jedynie *formalności*, po której „książę“ zapraszał komornika na przekąskę, podawaną przez ostrożność

na fajansowych wyszczerbionych talerzach, wierzyciela zaś wysyłał bez skrupu do wszystkich dyabłów, bo z drugiej strony o hypotekę Zabłocia nie miał strachu. W księdze wieczystej dziedzictwa Szaławy, prócz „Towarzystwa,“ figurowała tak znaczna suma dożywocia jakiegoś wuja „księcia,“ na szczęście cieszącego się dobrem zdrowiem, że o przymusowej sprzedaży mowy być nie mogło, gdyż nowonabywca musiałby był skwitować z dochodu i jeszcze z kieszeni dokładać.

Pan Szaława zaś nie czynił tego, bo nie płacił wcale, a dożywocia nie wykreślał, i siedział spokojny jak za chińskim murem, kpiąc sobie z wierzycieli i drwiąc z „czynności...“

Bywało jednak niekiedy, że komornik zjeżdżał tak znienacka, że zwykle środki ostrożności nie wystarczały, a interwencya psiarczyka Grzesia, gosposi i stangreta przychodziła za późno. Zaskoczony Szaława znajdował wtedy skuteczną pomoc w wyźlicy Pigwie.

Suka była nader „cnotliwa,“ aportowała znakomicie i prawie ludzkie myśli zgadywała. Więc „książę“ w krytycznej chwili rzucał się w objęcia komornika, ścisnął, całował, a równocześnie dawał oczyma znak Pigwie, która łasząc się, podchodziła z boku, wyciągała urzędnikowi z pod pachy skórzaną teczkę z dokumentami i w nogił..

Pan Szaława gwizdał, nawoływał, gonił, wysyłał ludzi za „niesformą bestyą,“ nim jednak sukę

schwytano, było zwykle dość czasu na usunięcie zagrożonych ruchomości.

I znów kończyło się na niczem.

W ten sposób prowadził Szaława interesa od lat kilkunastu. Płacił wtedy, gdy miał ochotę, choć z drugiej strony przyznać należy, że skoro tylko był przy pieniądzach, regulował należność terminową nawet.

Lecz komornikiem nikt jeszcze u „księcia“ nic nie wskórał. Dlatego też i teraz widokiem Stempłowicza bynajmniej się Szaława nie stropił.

Wyszedł naprzeciwko i, niby wielce uradowany, rozkrzyżował ramiona do uścisku, wołając:

— Kochanego, dawno niewidzianego komornisia dobrodzieja! Powitać... powitać!... Dokądże bogowie prowadzą?! bo z „czem,“ to się domyślam... Proszę... bardzo proszę... czem chata bogata, tem rada... Tylko proszę wybaczyć nieład... zwyczajnie jak w kawalerskim domu... Proszę... serdecznie proszę! stęskniłem się za kochanym łaskawcą, dalibóg!

I krzyczał tak, roztwierając drzwi na ściągaj i zapraszał do wnętrza. Wreszcie zaczął przybyłego serdecznie ścisnąć, obcałowywać na wszystkie boki, do pokoju ciągnąć, gdzie już stały uszykowane na stole butelki starki i przekąski.

Więc Stempłowicz, znający zresztą zwyczaje „księcia“ na wylot, ścisnąc silnie w rękę teczkę, po licznych ukłonach i podziękowaniach zaczął uprzedzająco:

— Interesik... maleńki interesik, panie dzie-
dzicu dobrodzieju! Bagatelka! drobnostka... Człęk-
by nierad! ale cóż? Służba wolność traci...

— Rozumiem! rozumiem! Ale interes intere-
sem, a starka starką—wtrącił Szaława, przypija-
jąc.—W ręce kochanego łaskawcy!

Stempłowiczowi nie śpieszyło się do „czynno-
ści.“ Z miny Szaławy poznał, że już wszystko *przy-
gotowane*. Więc biorąc napełniony kieliszek, rzekł:

— W ręce dziedzica dobrodzieja!

— Na drugą nogę!

— Niechże i tak będzie... Ale przedewszyst-
kiem obowiązek. Pozwoli dziedzic dobrodziej, że
objaśnię powód mego przyjazdu. Może się jaka rada
znajdzie...

— A może—potaknął lakonicznie Szaława.

— Otóż — opowiadał przybyły — właściwie
wstąpiłem tu tylko w przejeździe... przypadkiem...
i jadę dalej...

Pan Szaława nalał w kieliszki.

— A gdzież? — spytał obojętnie. — Ale napij-
my się. Zamróż po kościach chodzi... Nie zawadzi...
Wypili.

— Więc komornisio dobrodziej nie do mnie?—
zagadnął znów po chwili „książę.“

— I tak i nie! Bo przy okazji mam i dla
szanownego dziedzica prawomocny wyroczek od
Nuty... przy okazji! Ale właściwie jadę do Ko-
ścieszówki...

Wzmianka o Kościeszówce zaniepokoiła Szaławę nie na żarty. Wiedział, czem to pachnie.

— A to siurpryz! w sam raz na chrzciny... Dopiero się Krzych skręci przy gościach—myślał i począł Oźgi serdecznie w duchu żałować i prze-myśliwać, jakby temu, co usłyszał, zapobiedz.

W pierwszej chwili miał zamiar prosić Stemplowicza o zwłokę, wyjawiając mu prawdziwy stan rzeczy. Ale pomiarkował się w porę, że otwartem wystąpieniem w razie odmowy pogorszy jeszcze sprawę.

— Gotów naumyślnie jechać... żeby bigosu narobić. Ja go znam!—rozważał zafrasowany, spoglądając chmurnie na Stemplowicza.

Ten, biorąc malujący się na twarzy „księcia“ niepokój za troskę, wywołaną żądaniem Nuty, zmiękczony już nieco trzecim kieliszkiem starki, począł uspokajać.

— E... bo to dziedzic dobrodziej zanadto wszystko bierzesz do serca. Drobnostka... Jakiś tyś tyś tyś, nie więcej... Możeby się dało polubownie rzecz załatwić? Radziłbym...

Tymczasem Szaława ukradkiem nappełnił próżny kieliszek komornika.

— A jeśli nie — łagodził w dalszym ciągu Stemplowicz, — to bez subiekcyjki, tak w cztery oczy... zrobimy mały opisik. Pan dziedzic podyktuje sam... co łaska... Pies się nie dowie! Licytacyjkę naznaczymy za... za... dwa miesiące. Pierwsza może spełznąć... potem druga i tak dalej i do-

czekamy szczęśliwie „nowego.“ Wtedy już pół biedy... Jakże pan dziedzic uważa?

Szaława w miejsce odpowiedzi ukazał pełny kieliszek.

— Cóż to, radca gardzi? a to ładnie! Nie spodziewałem się, dalibóg! — przemówił ciągle zachmurzony, z głęboką urazą w głosie.

Stemplowicz wypił skwapliwie, przepraszając. Szaława znów napełnił kieliszki i znakomicie udając strapionego, począł żałośliwie:

— Duście szlachtę! Duście! Ostatnie cielę z obory... Ładne czasy! każdy woła: oddaj! ale skąd brać, nie pyta... Człowiekowi ledwo na łyżkę strawy starczy... Ale co was to obchodzi!? Skórę z nas ściągacie... skórę! powiadam. I to się nazywa sprawiedliwość! Doprawdy, ostatnia desperacya bierze! Ale co tu dużo gadać... Napijmy się lepiej, bo nic mądrzejszego nie wymyślę. W ręce kochanego radcy dobrodzieja!

To mówiąc, trącił się ze Stemplowiczem i niby to wypił duszkiem. W rzeczywistości jednak zaledwie usta umaczał, zawartość kieliszka dla niepoznaki dłonią przysłoniwszy. Komornik gołnął do dna, aż mu oko zbiełało.

A pan Szaława, nalewając szybko nową kolejkę, mówił bez przerwy, rozczulając się coraz bardziej:

— Kredyt zeszedł na psy... Żydzi drą procentami... Pożyczysz... opiszą cię jak węzał stra-

dują! zniszczą! choć duszę zastaw! płąć... Ładne czasy! niema co mówić!...

Westchnął głęboko.

A po chwili, niby od niechcienia stuknąwszy w kieliszek Stempłowicza, przyczem ze swego wylał połowę wódki, dodał pytająco:

— No! powiedzcież, radcuniu! czy nieprawda? Powiedzcie sami.

I z desperackim gestem podniósł kieliszek do ust.

— Zapewne! zapewne! — potwierdził zapytany, pijąc równocześnie, aby Szaławy nie drażnić.

Ten zaś, napełniwszy w gnieniu oka wypróżnione kieliszki, uzalał się w dalszym ciągu, nie przerywając:

— Naprzykład ja... — mówił. — Sami, komornisiu! wiecie najlepiej... żyję skromnie, zbytków nie lubię, a mimo to w kieszeni pustki... Ciężary zjadają wszystko! W tym roku wypadnie do Zabłocia dołożyć... jak radcę szanuj! I z czegoż tu jeszcze długi płacić??

Wypili znów.

Stempłowicza już rozbierało. Zaczął różowiej na sprawy ludzkie patrzeć, więc niby wchodząc w trudne położenie gościnnego gospodarza, jął perswazyą łagodzić nazbyt czarne poglądy Szaławy.

— Istotnie, czasy niewesołe — przedstawiał. — Ale u dziedzica dobrodzieja to jeszcze fraszki! Nie

wiem, czy będzie tysiączek łącznie z procentami i kosztami... Zaraz zobaczymy!..

Wziął teczkę, w zamiarze wyszukania odpowiedniego dokumentu.

Przeszkodził mu Szaława—machnął ręką, westchnął.

— Dajcież pokój, radcuniu! Co z tego, że niewiele... Drogi wół za grosz, jak grosza nie ma—przemówił i znów przypił, kułakiem kieliszek osłaniając.

W duchu zaś myślał, z pod oka spoglądając na urzędnika:

— Ululam go... chrapnie, a ja tymczasem przestrzegę Krzysia. Leje w czczy żołądek, to się galop zetnie...

I znów brał się za szkło.

— Będzie dość... będzie dość — zasłaniając dłonią kieliszek, dziękował Stemplowicz.

— Kpiny, czy co? Mój radcuniu!—zachęcał Szaława.—Zaraz podadzą bigos...

— Stanowczo za dużo... stanowczo za dużo...

— Przy bigosie... nigdy za wiele.

— Ale interesa!

— Nie uciekną! Albo nam to pierwszozna, radcuniu!—wołał Szaława, napełniając kieliszki.—Zatoczył się przytem.

— Cięty!—mruknął do siebie komornik, i żeby prędzej skończyć, wychylił duszkiem.

Wniesiono saleterkę bigosu. Szaława własnoręcznie nałożył wzdragającemu się Stempłowiczowi kopiasty talerz. Sam wziął również.

— Czem chata bogata... komornisium! — rzekł i przypił znów.

Stempłowicz machinalnie wyciągnął rękę po swój kieliszek. Miał już w głowie, ale nie chciał Szaławy obrażać, więc wypił.

I jadł łapczywie, mniemając, że tym sposobem uniknie dalszego ciągu. Rozmarzało go coraz to bardziej, lecz stawiał się jeszcze.

— Niech tam! — myślał. — Skończę bigos i do protokuliku, a potem jazda!

Ale Szaława nie przestał nacierać. Po kilku łyżkach znów nalał starki.

Co widząc, Stempłowicz zerwał się od stołu.

— Dziedzicu dobrodzieju! jak was szanuję! nie mo...gę... nie mogę... Obowiązek przedewszystkiem! — tłómaczył się, rozpaczliwie rozkładając rękoma.

Co widząc, Szaława powstał również i, znakomicie udawszy obrażonego, jął wykrzykiwać podniesionym głosem:

— Hm! hm! kole w ząbki skromny poczęstunek... kole! Cóż robić! Nas szlachtę nie stać na frykasy... Człowiek z pod serca dobywa, ugaszcza, a zamiast czego... afront! Pogardzają naszą gościnnością, pogardzają...

Rozrzewniał się przytem i kiwał głową smutnie, jak człowiek srogiem zmartwieniem dotknięty.

Więc pan Stemplowicz, który był już stracił równowagę myśli, znów zasiadł za stołem, tłómacząc się i przepraszając. Zaczął zaś od tego, że pierwszy nalany kieliszek wychylił, mówiąc:

— Kiedy bo... widzi dziedzic... jakże będzie z tem „zajęciem?”

— Z „zajęciem?” Radcuniu! kochasiu! Zajmuj co chcesz... choćby całe Zabłocie! Sam podyktuję... Charty, nie charty... Fajczarnię... garderobę... Sam podyktuję!—wołał udobruchany Szaława, kordyalnie obejmując urzędnika.

Stemplowicz odpłacił uściskiem za uścisk.

— Kpij sobie dziedzic! kpij!—odezwał się po chwili.—Mniejsza o to... Zresztą prawdę mówiąc... nie tyle mi idzie o Zabłocie... Wpadłem przy „okazyjce” *pro forma*, wiedząc z góry, że szanowny dziedzic nic... tego... Mniejsza o Zabłocie!—powtórzył—ale Kościeszówka! Tam niema żartów... Rajzman paniel zawzięty... gotów mię za niedbalstwo skarżyć do władzy... Rad nierad jechać muszę... Późno już!

— Co za późno? Jedenasta... Kościeszówka nie Ukraina!... Wiesz radca, co? Kiedyśmy już rozsądnie mówić zaczęli, radziłbym zrobić tak...

Tu pan Szaława zrobił bardzo poważną minę, nalał wypróżnione kieliszki i mówił dalej:

— Najpierw u mnie spiszecie dla „formy” protokółik... Potem... zjemy gospodarski obiadek... mam jeszcze butelczynę niezłego węgrzyna... a po obiedzie pojedziemy razem. Z panem Ożgą jestem

dobrze, pomogę radcy załatwić całą sprawę bez hałasu... Zawsze to nieprzyjemna rzecz!

— Dyabelnie nieprzyjemna! Ale, dziedzicu dobrodzieju! nie mogę... nie mogę! Mam ręce związane... Żydzi czekają...

— Żydzi? gdzie?

— A w karczmie pod Kościeszówką... Pojechali naprzód... Chcą asystować — wymawiał się jeszcze Stemplowicz.

Ale widocznem było, że mięknie i w końcu na propozycję gospodarza przystanie. I w samej rzeczy teraz gotów był zgodzić się na wszystko; raz, że nie widział innego sposobu wywinięcia się z rąk Szaławy, powtóre, że mu się projekt jazdy w towarzystwie „księcia“ uśmiechał.

— Będzie mi śmieiej — rozważał w duchu. — Byle się tylko „książę“ nie ściał zupełnie, bo mu już niewiele brakuje...

Jakoż opierał się jeszcze czas jakiś, ale gdy Szaława zaczął coraz silniej nastawać, tłómacząc, że żydzi poczekają, zdecydował się wreszcie, lecz pod warunkiem, że zaraz po obiedzie wyruszą.

Zaczem wypili jeszcze ostatek starki na „zgodę“, Szaława rozkazał przyspieszyć obiad, a tymczasem wydobyl z kantorka butelkę węgierskiego i, nie tracąc czasu, rozlał w kieliszki.

Stemplowiczowi, który dotąd trzymał się jeszcze jakoś, już po pierwszych łykach zakręciło się raptownie w głowie. Szaława, dolewając, zachęcał natarczywie do picia.

Stempłowicz mienił się na twarzy, ale pił. Nareszcie zaczęły mu się oczy kleić, zaczął się uśmiechać głupkowato, pomrukiwać do siebie, bełkotać: „Nie mogę! nie mogę!“ w końcu podniósł się od stołu z trudnością, chciał iść ku drzwiom, ale już nie mógł i, doszedłszy tylko do pobliskiej kanapki, na której wylegała się Pigwa, padł obok niej bez czucia i momentalnie zasnął.

— *Fertig!*—szepnął Szaława, zacierając ręce.

Sploszona Pigwa chwyciła uronioną na podłodze teczkę i chciała już drapać za drzwi. Co dostrzegłszy; Szaława krzyknął: „Waruj!“ odebrał suce dokumenta i schował do kantorka.

Poczem wrócił do śpiącego komornika, ułożył go wygodniej, następnie przysłonił okna starą burką i wyszedł, przymknąwszy drzwi do drugiego pokoju, mówiąc z zadowoleniem do siebie:

— A to mu zadałem pieprzu! Śpi jak kamień... Zasłoniłem ci okna, radcuniu, żeby cię światło nie raziło .. Śpijże! śpij! Ja tymczasem do Kościeszówki... Choćby się nawet ocknął, bez dokumentów nie pojedzie... Niech szuka... niech szuka!—powtarzał—nie głupim mu przecie oddawać. Paradnie się udało! paradnie!

Poczem, przykazawszy służbie, aby się cicho sprawowała, począł się szybko zbierać do wyjazdu.

Przed wyjazdem zajrzał jeszcze do śpiącego Stempłowicza. Ten spał smacznie, wyciągnięty jak długi, chrapiąc przeraźliwie.

— Nie obudzi się przed ranem — pomyślał Szaława i już zupełnie uspokojony siadł na wózek i wyjechał.

W drodze przyszło mu do głowy, że Stempłowicz skarżyć go może. Zafrasował się tem nieco, lecz nie na długo.

Po chwilowem zastanowieniu przyszedł do przekonania, że żadna odpowiedzialność czekać go nie może.

— Choćby i zaskarżył — rozważał. — To co? Ja częstowałem... on pił... Albo to nie wolno! A że teczka zginęła... Mógł gdzieś po drodze zgubić... Zresztą... oddam mu... oddam... ale nie prędeż, jak wtedy, gdy Ożga będzie przy pieniądzach. Powiem, że się znalazła...

Miał również w głowie, więc zaśmiał się wesoło i, przynaglając stangreta do szybszej jazdy, rad z siebie, że Oźdze przyjacielską wyświadczył przysługę, w złotym humorze dążył do Kościeśzówki.

Przejeżdżając mimo karczmy, przy trakcie między Zabłociem a dziedzictwem Oźgi położonej, dostrzegł pan Szaława żydowską furmankę. Obok bryki stała kupka żydów. I oni dojrzeli Szaławę i zaczęli rękoma wymachiwać i coś szwargotać. Jeden z żydków wybiegł nawet na drogę.

Byli to czekający na komornika z zamiarem asystowania przy zajęciu: Symcha Rajzman, Jojna Cyc i kilku jeszcze innych, znanych Szaławie z wi-

dzenia kapitalistów, a między nimi „dobry znajomy“ Nuta Glancpuder.

— Stój!—krzyknął Szaława.

Stangret zatrzymał konie.

— A dokąd to kupcy?—spytał z głupia frant.

— Tak sobie... za interesem—odrzekł, kłaniając się, Rajzman.

— Al i Nuta tu? Może masz mi co do powiedzenia, kochanku! To siadaj... Pojedziemy razem—zapraszał Szaława.

Skrzywił się Nuta, domyśliwszy się, że Szaława musiał jakiegoś figla wypłatać i nawzajem spytał:

— Czy wielmożny pan widział się z panem Stempłowiczem?

— Czym go widział? A jakże... W zeszłym tygodniu graliśmy razem u sędziego w preferansa...

Teraz Nuta był już pewny, że ze Stempłowiczem coś się stać musiało. Zaszwargotał do Rajzmana, a potem jął jeszcze dopytywać:

— A u wielmożnego pana dziś nie był?

— Jako żywol nie!—zaprzeczył Szaława.— Tylko list odebrałem, że będzie pojutrze. Ale nie wiem, czy mię w domu zastanie, bo się właśnie wybieram na polowanie do pana Barszczewskiego—opowiadał zupełnie seryo.

Żydzi spojrzeli po sobie, nie wiedząc, czy wierzyć, czy nie wierzyć słowom „księcia.“ Nawet wątpiący dotychczas Nuta przyszedł do przekonania, że komornik chyba nie był w Zabłociu.

— *Szajne Geszeft!* — mruknął do towarzyszków.

Na obliczu wszystkich odbił się niemiły zawód. Pan Szaława wydobył z flegmą cygaro i zapalił.

— No, bywajcie zdrowi! — rzekł w końcu do strapionych Hebrajczyków, w duchu zaś myślał uradowany:

— A to im zabiłem klina! Nie wiedzą: czekać, czy nie czekać... Zresztą, niech czekają choćby do sądnego dnia.

I huknąwszy na furmana: „Ruszaj!” zaśmiał się na cały głos.

Niebawem trzechkrotny strzał z bata zwiastował uczestnikom rodzinnego święta w Kościszówce o przybyciu Szaławy.

Przyjazd „księcia,” którego już spodziewać się przestano, ucieszył wszystkich. Ożga wyściskał go, wycałował z dubeltówki, Krzysiowa powitała serdecznie, radca również, nawet przejęta uroczystością dnia pani Tekla dość życzliwie. On, odwzajemniając się, obcałowywał wszystkich z kolei, jak przypadło, komplementując przytem z taką swadą, że pani Jangrotowa skarcić go musiała, widząc, że obie młode mężatki—bo i Julce Bortnickiej coś o rychłym powrocie bocianów przepowiadał—rady sobie dać nie mogą.

Chciał też Szaława iść zaraz podziwiać „nowe cudo,” ale go Julka, zagrodziwszy sobą wejście do sypialni chrześniaczki, za karę nie puściła, mówiąc:

— Trzeba się było nie spóźniać! Teraz musisz pan czekać, aż się królewna obudzi.

A na to Szaława, pogładziwszy czuprynę z fanfaronadą, odrzekł:

— Mamy czas! Poczekamy... Poczekamy, aż... urośnie!

Ktoś posłyszał tę przechwałkę. Zaczęto się śmiać, że się już konkurent do Dziuchny zjawił, co znów dało Bortnickiemu powód do złośliwej uwagi: „że za późno po śmierci wędrować.“

I tak z przybyciem Szaławy zrobiło się jeszcze weselej, po „księciu“ zaś nie było znać zupełnie, iż niewesołą przywoził nowinę. Był w złotym humorze—raz, że mu jeszcze starka nie wywietrzała zupełnie z głowy, powtóre, że, jak sądził, wyświadczył Krzysiuw rzetelną przysługę. Sypał też conceptami, jak z rękawa, wyczekując stosownej chwili, aby Oźdze na osobności o zażegnanem niebezpieczeństwie opowiedzieć.

Ale nie było to tak łatwo. Towarzystwo, nagadawszy się już z sobą do syta, wzięło teraz „księcia“ w obroty. Jeden puszczał, drugi zaczynał.

A że właśnie pan Barszczewski rozpoczął opowiadać przed chwilą księdzu kanonikowi o jednym z tysięcznych figłów, płatanych przez Szaławę wierzycielom, więc korzystając z obecności „księcia“, zaczął go przyzywać, mówiąc:

— Chodźno sąsiad! opowiedz „tu i tam“, jak to było?!

Szaławie, któremu ciągle najświeższy epizod z komornikiem tkwił w głowie, wydało się, że pan Barszczewski musi już wiedzieć o wszystkim.

Więc oczy wybałuszył i, zakławszy w duchu: „Już dyabli kogoś prze demną przynieśli!...” — stał w miejscu, nie ruszając się.

Chodziło mu istotnie bardzo o to, aby Krzysiovi dnia radosnego, w dodatku przy tylu osobach, nie zepsuć.

Ale pan Barszczewski, który wahanie się Szaławy wziął za proste roztargnienie, nie dał mu czasu do namysłu.

— Chodźno „książę!” — wypowiadaj się, jak to było?! — powtarzał.

— Co? gdzie? z czym? — pytał urywkowo Szaława.

— No, z tą pszenicą, co się to o nią aż żydzi pobili — zaśmiał się kanonik.

Szaława odetchnął.

— Tędy was wiedli — pomyślał i już spokojny, że jego przypuszczenia okazały się płonnemi, zasiadł zaraz przy nich i, nie dając się więcej prosić, opowiadał:

— Nic szczególnego... nic szczególnego. Każdemu się to trafić może. W zeszłym roku miałem dyabelny nieurodzaj na Zabłociu. Zboże nie sypało, a tu... wiadomo księdzu kanonikowi... ciężary! Trudno się było wyrachować. Koniec końców, zatrzymałem na wiosnę do lepszej ceny zapole pszenicy... Myślę... w najgorszym razie będzie *plus-*

minus trzysta korcy! Ceny się podnosiły, więc nie chciałem sprzedawać na raz, tylko tak partyjkami, po sto korcy. Ale gdzie tam! jak się szelmy żydy zwiedziały, spokoju nie miałem! Kupił Lederman sto, dalejże Boruch Wysypka z pretensjami do mnie... Machnąłem i temu drugie sto... Musiała się bestya pochwalić przed Nutą, bo ten przyjechał zaraz do mnie i nuż się napierać... Myślę sobie: „ryzyk-fyzyk,” co będę taką garstkę trzymał... myszy wyjedzą... Sprzedałem.

— I racya. Przypominam sobie, że później coś pszenica raptem przytaniała — wtrącił Barszczewski.

— A tak... Miałem nosa! Otóż sprzedałem i tak się jakoś złożyło, że wszystkim trzem machabeuszom naznaczyłem termin odbioru na jeden dzień. Młóćę... Czy się bestya karbowy przerachował, czy co?! Nie wiem... Dość, że z całego zapola wygniotłem zaledwie sto korcy...

— Dyabla dyferencya! — zauważył Barszczewski.

— Cóż dalej? cóż dalej?—pytał zaciekawiony kanonik.

— Ano nic. Punktualnie, jak zegarek, zjechali się wszyscy trzej na termin. Cóż było robić? Przecie człowiek nie Pinetti, żeby z jednego trzy robił! Więc rznę im prawdę bez ogródki, tak a tak... A oni we wrzask! Każdy woła: „ja pierwszy kupiłem! to mój!” Istna bóżnica! Zaczęli się kłócić, hałasować, handryczyć... Nawet brali się do czu-

bów... Z początku bawiło mię to, ale w końcu myśle sobie: jeszcze się jarmułkarze poranią i gotowy kłopot... Więc mówię: „Cicho, szachrajel Przystaniecie na mój sąd? to was pogodzę...“ Oni: „Zgoda!“ Jakoż ich po Salomonowemu rozszdziłem...

— Wyobrażam sobie! — napomknął ze śmiechem kanonik.—Słucham! słucham!

Szaława zaczerpnął całą piersią powietrza i z najpoważniejszą w świecie miną mówił dalej:

— Jak tylko powiedzieli: „zgoda,“ a było to o jakie dwieście kroków od śpichrza, rzeknę: „Ponieważ wszyscy kupowaliście nieomal równocześnie, z jednakim terminem odbioru, przeto trudno wyrokować o pierwszeństwie. Trzeba jednak, aby któryś był pierwszym... Stańcie-no rzędem...“ Ustawili się. A ja wtedy, ukazując na śpichrz: „Kto najpierw do śpichrza doleci, tego zbożel“ Zawahali się w pierwszej chwili, zaczęli oponować... Jak nie wsiądę na nich z góry: „A cóż to sobie myślicie! kpiny ze mnie stroić! Zdaliście się na mój sąd, to słuchajcie...“ Więc Boruch, jako najmłodszy i najszczuplejszy, powiada pierwszy: „Niech i tak będzie!“ po nim Nuta takóž... Najdłużej ociągał się Lederman, bo to żyd zapasiony, ale dałem mu *forów* dwa kroki... przystał. Podgięli chałatów... ja komenderuję...

Tu pan Szaława, już sam nie mogąc wytrzymać, parsknął śmiechem. Kanonik z Barszczewskim aż się za boki brali, a że właśnie zbliżyło się kilka osób, zwabionych rozgłosną wesołością, więc pan

Barszczewski streścił pokrótce początek opowiadania Szalawy, co jeszcze żywszą wesołość i zaciękanie wywołało.

Zaczęto przeto prosić, nagłąc:

— Mów, książę! mów! a to paradne!

„Księżciu“ było w to graj! Lubił, kiedy jego konceptów słuchano, więc teraz jeszcze z większem zacięciem, gestykulując, opowiadał:

— Ruszyli—zaczął, przebierając nogami.— Powiadam państwu! myślałem, że pękne! tak zmiatali jeden przed drugim. Im bliżej śpichrza, tem szybciej! Ale w końcu zaczęli się wzajemnie chwycić rękoma, przytrzymywać i ostatecznie przyszli... głowa w głowę!

— Cha! cha! cha! — rozśmiali się słuchacze, a Szalawa z nimi.

— Jakże sąsiad w rezultacie poradziłeś sobie?—zapytał pan Jangrot.

— Musieli powtórzyć, bo przecie po sprawiedliwości nie mogłem żadnego krzywdzić. Dałem im parę minut oddechu i znów ustawiłem pod rząd. Znów ruszyli... Ale tym razem Nuta wysforował się jakoś na przód i darł, aż się bił piętami! Co widząc Lederman z Boruchem, łap go za skrzydła chałata... Trzymają... On się wyrывa... ci zabiegają drogę... nie puszczają... A ja duszę się od śmiechu. Wyległa służba na to widowisko i dalej zachęcać: „A nie daj się! a huż go!“ Szamocą się... Wtem... Nuta jak się nie odwinie, jak nie da Ledermanowi w ucho! potem drugi raz Boruchowi na odlew! I wy-

psnął się... Ale go mimo to dopadli i nuż nawzajem okładać... Zrobiła się bijatyka nie na żarty, tak się żydy zaciekły, zaciętrzewiły... I znów spaliło na panewce.

— W takim razie nikt nie wygrał?—zaga-dnął Bortnicki.

— Rozumie się, nikt. Chciałem ich potem podzielić, bo już o trzeciej gonitwie nie było mowy, lecz gdzie tam! Tak się zażarli jeden na drugiego, że ani rusz! Więc...

— Ostatecznie pszenicę musiał któryś z nich zabrać—przerwał Barszczewski.

— Właśnie, że nie. Przecież musiałem być bezstronnym. *Pereat mundus, fiat justitia!* Psze-nicę...

Tu Szaława zatrzymał się chwilkę, dla wy-warcia większego wrażenia, a potem dopowiedział szybko:

— Pszenicę sprzedałem młynarzowi do Ko-biel!

Głośny wybuch śmiechu zawtórował tym sło-wom.

— *Vivat iudex!* bodaj-to humor!—odezwał się po chwili ksiądz kanonik.

— Kilka lat „takiego nieurodzaju,“ a wszy-sczy kupcy sąsiada dychawicy dostaną—zażartował Jangrot.

— Kosztowna zabawka!—zauważył poważnie Barszczewski. — Śmiech śmiechem, ale za takie sztuczki później dubeltowo płacić trzeba.

— „Księciu“ to tam ujdzie. Odbierze sukcesyę, to zapłaci—wtrącił półzartem Bortnicki.

— Pewno, że odbiorę... pewno, że zapłacę— potwierdził stanowczo Szaława.

— Kiedy to tam będzie!—napomknął mimochodem kanonik z umyślnie zaznaczonem powątpiewaniem, aby Szaławę wyciągnąć na słówko.

Ten zaś nastroił się zaraz poważnie i, niby urażony niedowiarstwem, odrzekł:

— Kiedy? Juściż niczyjej godziny śmierci nie wiem, a wuja-lorda za bardzo kocham, żeby mu, panie, życzyć... Niech sobie żyje zdrów sto lat! Zawsze jednak...

— Kiedy to podobno dalekie kuzynostwo!— przerwał Szaławie Bortnicki.

I przytknął usta dłonią, aby się na cały głos nie roześmiać.

Pan Szaława, który w końcu w wymyśloną przez się historję jakiegoś angielskiego spadkodawcy sam uwierzył, a przynajmniej chciał, żeby inni wierzyli, spojrział na Bortnickiego z ukosa.

— Moja babka i jego matka były cioteczno-cioteczne... Ale bliższych krewnych niema—objaśnił.

— A dawno „książę“ widziałeś kuzyna? Stary to człowiek? — dopytywał się w dalszym ciągu Bortnicki.

Więc pan Szaława, wpadłszy na ulubiony temat, zaczął się rozwódzić szeroko:

— W podeszłym wieku, ale krzepki. A myśliwy zawołany! Dwa lata temu byłem u niego. Polowaliśmy, panie, w jego majątku pod Londynem. Śliczny majątek! gleba doskonała, w kulturze, łąki, panie... trawa w pas! lasu kawał... a polowanie... narody, klękajcie! Wziąłem wujowi w prezencie sforę gończych... Dwa psy i sukę pojedynczą „Śpiewkę...” Ogromnie się ucieszył... i zaraz na drugi dzień z flintami na lisa...

— Kiedy, zdaje mi się—przerwał mu w tem miejscu Jangrot,—że „Śpiewkę“ nie tak dawno widziałem w Zabłociu...

Śluchający przygryźli wargi, aby nie parsknąć.

„Książę“ uwagą Jangrota zdetonował się nieco, ale w mig zawrócił na miejscu.

— Ta sama! „Śpiewka,“ ta sama! rzeczywiście — odrzekł Jangrotowi. — Bo też to cała historia! Wyobraźcie sobie państwo. Idziemy z wujem na polowanie—opowiadał.—Pomyka lis... psy wzięły na oko... Ciam! ciam! ciam! au! au! au!... Grają... Czekamy na stanowiskach... czekamy... a moje ogarki grają i grają... „Już go one nie popuszczą...” mówię do wuja. Czekamy... Lis wyga zaczął widać okrawkami obkładać, bo pieski czasem urywały, to ciamaly znów. W końcu ucichło wszystko. Czekamy... Nic. Myślę sobie: sforsowały go same, czy co? Czekamy... godzinę... drugą... trzecią... Zaczęło mroczyć, bo tam, panie, mgliśka stra-

szne, więc i dzień krótszy, a psów jak niema, tak niema!... Co, u dyabła? Otrąbiliśmy knieję... Piesków niema! *Perdu*, *Fruziu!* myślę sobie... i w głowę zachodzę, co się stało?! Wuj zmartwił się bardzo... Wracamy do domu. Wuj w te pędy wysyła dojeżdźaczy i strzelców szukać. Kamień w wodę! Najeździł się za tropami... napróżno!.. Jeden opowiadał, że nad brzegiem morskim były ślady... Strasznie mi było żal sfory. Posiedziałem jeszcze u wuja dni parę. Wracam do Zabłocia i... wyobraźcie sobie państwo moje zdziwienie... wszystkie trzy: „Śpiewka,” „Zagraj” i „Doskocz” leżą na ganku! Aż wylły z radości, gdy mnie ujrzały!.. Poczciwe psiska! Cóż się okazało?

— Poszły wpław przez morze? — zakpił *Bortnicki*.

— Właśnie, że nie. Wuj mi to wszystko później opisał, sprawdziwszy. Sforsowały lisa na wybrzeżu. Stał akurat okręt na kotwicy. Psiska głośnie zwęszyły kuchnię... Dalej na pokład! i tak dopłynęły do Gdańska... a stamtąd marsz do Zabłocia! Poczciwe psiska! Już się z nimi za żadne skarby nie rozstań!—dokończył z rozczuleniem.

Tak się rozgadał, że nawet nie zauważył, iż i panie nadeszły do kompanii i chichoczą do rozpułku. Dopiero kiedy *Julka* wybuchnęła na cały głos, spostrzegł, że ma tak licznych słuchaczy. Więc zaraz zaczął sypać konceptami, zwróconymi do płci pięknej.

Ale pan Barszczewski przerwał mu zaraz. Biorąc asumpt z anegdoty księcia, rzekł tonem chłodnej uwagi:

— Wszystko to pięknie. Ale, mój sąsiedzie kochany, zanim sukcesya dopisze, trzeba się żydom opędząć, a to dyabelnie ciężko i niemiło.

— Wiemy coś o tem — pomyślał Szaława, a głośno odrzekł:

— Bał ciągle się człowiek ujadać musi. Nie dalej jak dzisiaj rano...

Ugryzł się w język, zmiarkowawszy, że byłby się wynurzył niepotrzebnie, i zaczął zagadywać o czem innem. Udało mu się szczęśliwie, bo właśnie wnoszono do salonu rozbudzoną ze snu „infantkę.“ Rzucił się też natychmiast ku malutkiej Szaława i nuż przyglądać się, podziwiać a wykrzykiwać:

— Wykapana mamusia! wykapana mamusia!

A potem wpatrzywszy się lepiej, dodał z przekonaniem:

— Chociaż oczy ojca!

I spojrzął na stojącego w pobliżu Oźgę.

W tej chwili przypomniał sobie, że jeszcze Krzysiuwi nic a nic o „pasztecie“ nie wspominał. Jakoż podszedł ku niemu i szepnął półgłosem:

— Chciałbym z tobą, Krzychu, na osobności pomówić. Rzec ważna.

W pierwszej chwili wziął Oźga tajemnicze ostrzeżenie za nowy żart „księcia“, więc popatrzywszy nań z niedowierzaniem, odparł z dobrą miną:

— Strachy na Lachy! Znamy się na tem...

Szaława uraził się.

— O! o! o! — zaczął, a następnie powtórzył dobitnie:—Jak cię kocham! nie kpię! Miałbyś *mel-szpajs*... gdyby nie ja... Wyjdźmy gdzie, to ci wszystko z detalami opowiem.

Odeszli cokolwiek na bok.

— Cóż takiego?—spytał teraz zaniepokojony Oźga.

— Ostatecznie... głupstwo! od tego człowiek nie umiera!—uspokajał Szalawa.—Krótko mówiąc, był u mnie dziś rano Stemplowicz. Dlatego spóźniłem się—dokończył.

Krzyś domyślił się już reszty, przybladł i chciał pytać o szczegóły, lecz mu przeszkodził Szalawa:

— Nie tu... nie tu!—rzekł.—Chodźmy do stajen, to ci opowiem. A nie rób tak wystraszonej miny, bo się w rezultacie nic złego jeszcze nie stało.

Ostatnie słowa uspokoiły Oźgę. Idąc za radą Szalawy, przymusił się do uśmiechu, poczem zaczął mówić głośno tak, aby go wszyscy słyszeli:

— Dobrze, żeś „książę“ przyjechał. Chciałem ci między innymi sprezentować żrebaka od „Białki...“ Powiadam sąsiadowi, coś nadzwyczajnego! Związany jak rzadko! pęcina krótka... a krzyż! położyć się można...

Szaława dorozumiał się z łatwością, do czego właściwie Oźga zmierza. Mrugnął znacząco i, niby bardzo zaciekawiony, począł:

— Doprawdy! A tom bardzo ciekaw! Jeżeli to sąsiadowi nie zrobi różnicy... możebyśmy poszli obejrzeć?...

Wyszli.

Zaraz za progiem chwycił niespokojny Oźga „księcia“ za rękę:

— Mówże sąsiad, jak to było? — zagadnął niespokojnie.

Pan Szaława opowiadał z *detalami*... przy-czem odzyskawszy dobry humor, żartował jak zwykle.

— Powiadam ci — mówił z ożywieniem, — ani ręką, ani nogą. Ale i ja o mało się nie zdoilem, chociaż przy wódce *omywałem* co drugi kieliszek... Ale przy węgierskiem... powiadam ci! od razu *mortus!* Ułożyłem go wygodnie... papiery do biurka... i jażda do ciebie!

Oźga słuchał zamyślony, smutny, nie przerywając.

A Szaława rozповідаł dalej:

— Co się tyczy tych łajdaków, spotkałem ich pod twoją karczmą... Był także i mój Nuta. Czekali, ale im tak zbrzydziłem, że niechybnie zawrócili do miasta ..

— Ale Stemplowicz... ale Stemplowicz! — odezwał się wreszcie Oźga — gotów jeszcze, przetrzeźwiawszy, nadjechać i będzie jeszcze gorzej...

Szaława załamał ręce.

— Masz tobie! Za twoje myto!...—rzekł to-
nem skargi.

A po chwili dodał z wyrzutem:

— Mój Krzychu! Już ja chyba znam się na
tem. Powiadam: śpi jak suseł i nie obudzi się przed
wieczorem, a choćby się, dajmy na to, ocknął, to
z czemże przyjedzie? Z pięścią?

Ożga uśmiechnął się mimowoli.

— Żeś go księżę objechał, jak kota w kotli-
nie, to fakt! — przemówił. — Jednakowo może być
z tego kłopot...

— Za co??... O! O! Niech cię już o to głowa
nie boli! Ja już Stempłowicza biorę na siebie... Ty
tylko staraj się załatwić Rajzmana, zanim *dublika-
ty* będą, bo wtedy za nic nie ręczę!

Tak rozmawiając, doszli do stajen, gdzie
Krzyś rzeczywiście pokazał Szalawie wyjątkowo
ładnego żrebaka.

Tymczasem pozostali w saloniku goście to-
czyli na temat znanych już zresztą opowiadań i fa-
cocyi ożywioną rozmowę.

— Jednakże w tem, co księżę plecie, jest nie-
kiedy trochę prawdy. Na przykład historia z tą
pszenicą istotnie miała miejsce—zauważył kanonik.

— Ale za to o wuju-lordzie i o ogarach wy-
myśl czysty!—wtrącił Jangrot.

— Rozumie się samo przez się! — potaknął
Barszczewski.—Nawet sam Szalawa nie ma pre-

tensyi do tego, żeby mu wierzono. Można mu śmiało w oczy powiedzieć: „koloryzujesz,“ nie obrazi się.

— Zwłaszcza, że za każdym razem opowiada inaczej—dodał Bortnicki.

— *A propos* tego polowania na lisa, mnie na przykład już raz opowiadał—zaśmiał się kanonik,— że psy poszły za tropem... morze było zamarznęte... i przez Paryż... Kolonię, dotarły do Zabłocia na trzeci dzień!

Wybuchnięto śmiechem.

— Mimo to, bardzo przyjemny człowiek w towarzystwie—przemówiła za Szalawą pani Jangrotowa.

— I tańczy znakomicie!—dodała Julka Bortnicka, co usłyszawszy, Bortnicki zaczął w miejscu przytupywać, hołupce krzesać, jakby chciał dowodzić, że i on równie dobrze potrafi.

Ale Julka wzruszyła ramionami, puknęła palcem w czoło.

— Nie przerywaj! —burknęła, ukazując oczyma w stronę Frania Chojnackiego, który, zbliżając się do radcy Prońskiego, mówił:

— Ilekroć spotykam pana Szalawę, zawsze mi na myśl przychodzi, że my, z dziada pradziada na roli osiadli, jesteście jakąś ustaloną od wieków rasą, którą ten zagon od wyrodzenia się, od zraty cech pierwotnych chyba strzeże. Zmieniają się czasy... formy... okoliczności... my zostajemy w gruncie rzeczy ciż sami. Jakaś siła spójna zatrzymuje z pokolenia na pokolenie zarówno zalety, jak wady,

przenosi je z ojców na dzieci... I dalibóg!.. gdyby to było możebne... przenieść tak którego z nas wiekiem w tył, czy na przód... wszystko jedno! nie raziłby otoczenia. Taki na przykład pan Szaława... Dziś ma satysfakcję ucierania się z żydami, z każdym wierzyicielem koziółkuje, nie z wrodzonej nierzetelności bynajmniej! lecz tak sobie... z fantazyi, przed laty miałby pewnie do czynienia z „kapturami,” a i za lat pięćdziesiąt, gdyby żył wówczas, płatałby nowe jakie figle i psikusował, bo to już w naturze... Dziedziczymy... różnie bywa, dobre i złe, ale dziedziczymy...

— Pewnie! pewnie! — potaknął żywo Proński. — Choć „książę” to musiał chyba kilka naraz sched odziedziczyć.

I roześmiał się szczerze.

— A w panu co po przodkach zostało?—spytała teraz słuchająca z uwagą Chojnackiego Krzysztofowa.

— We mnie? — powtórzył, jakby sam sobie, i zastanowił się.

A po chwili odrzekł:

— Nie wiem. Łatwiej dostrzedz u drugich niż u siebie. Nie wiem, proszę pani.

— Więc ja panu powiem — przemówiła, patrząc mu w twarz prosto, dobrymi oczyma,—ja panu powiem... Została... wielka prawość... i zacne serce... bardzo zacne...

Jemu w piersiach wezbrało. Chciał odpowiedzieć, przeczyć—nie mógł. Zwrócił się tylko ku niej

całem obliczem, z którego były teraz błogość i szczęście, i skłonił w milczeniu.

Pani Krzysztofowa jeszcze raz powtórzyła:

— Tak. Wielka prawość... wielka zacność i wielki szacunek ludzki...

I również zamilkła, bo w tej chwili siedzący przy oknie Jangrot zauważył głośno:

— Wiecie państwo, że „książę“ dzisiaj jakoś nie w sztosie? Musiało mu się coś przykrego przytrafić... Uważałem... Opowiadał, ale już nie z takim humorem, jak zwykle...

— Ma widać coś na wątróbce — napomknął Bortnicki.— Nawet się ze mną nie kłócił... To zły znak.

— E!l! zdaje wam się! — zaprzeczył radca Proński. — Szaławie tam nigdy nic nie będzie...

— Jednakowo...—upierał się Jangrot.

— A to się go najlepiej spytamy, bo oto wracają—odezwał się na to Barszczewski, ukazując ku oknu. — Patrzcie, jak „książę“ rozkłada rękoma... To *gadativus!* usta mu się nie zamykają!

Jakoż w samej rzeczy Szaława z Krzysiem wracali już ze stajen do dworu. Szaława, gestykulując zawzięcie, tłumaczył z ożywieniem, jak Oźga ma sobie obecnie poczynać.

— Ja na twojem miejscu—prawił—musnąłbym jeszcze teścia w rękaw. Ale skoro nie chcesz „staremu“ mówić... mniejsza o to. Pewnieś go już przyzwoicie podskubał. W każdym razie powinieś się szybko o pieniądze postarać, zanim *dubli-*

katy wyciągną, bo po kiego dyabła mają cię na-
jeżdżać!

Oźga słuchał, nic nie mówiąc, strapiony
wielce.

— Niema się znów tak dalece czem trapić—
wykładał w dalszym ciągu Szaława. — Masz czas.
Zejdzie jaki tydzień, albo więcej... Możebyś tymcza-
sem wziął od Barszczewskiego?

Oźga potrząsł głową.

— Wiem! wiem! i u niego się nie przelewa,
ale zawsze...—proponował „książę.“

— To daremnie. Wuj Barszczewski gotów-
ki nie ma. Gdyby miał... pewnie, żeby nie odmó-
wił—odezwał się Oźga.—Zresztą nawet dokładnie
nie wiem, ile tam tego. Nie wiesz sąsiad? Stemplo-
wicz nie mówił?—spytał.

— *Stricte* nie pamiętam. Zdaje mi się, że coś
o trzydziestu tysiącach wspominał.

— Jakto?—wybuchnął Oźga.—Samemu Rajz-
manowi?

— Tak coś opowiadał.

— Nie może być! Przecież dopiero w zeszłym
roku w lecie robiłem obrachunek... Było wszyst-
kiego dziesięć tysięcy! — mówił zaniepokojony
Krzyś. — Nie może być!

Pan Szaława wzruszył ramionami.

— W rezultacie, mniej czy więcej, wszystko
jedno, skoro nie masz. Jeśli ci na tem zależy, mo-
gę się wywiedzieć i dam znać umyślnym. Bo wi-
dzisz, Krzychul przyszło mi do głowy, że najlepiej

Zrośli z ziemią.

będzie, jak ja zaraz wrócę do Zabłocia. Stempłowicza jakoś ugłaskam, uspokoję i wywiem się o wszystkim. Tylko, jeżeli chcesz, żeby inni nie wiedzieli—radził,—to nie dajże po sobie poznać. Co u licha! Wielka rzecz! Zaraz się tam gryźć!.. Dostaniesz pieniędzy... zapłacisz...

— Las sprzedam—bąknął Oźga.

— Najlepiej. Tylko się orznać nie daj. A masz już amatora?

— Pojadę do Warszawy. Z tymi szachrajami nie doszedłbym końca.

— Najlepiej—potwierdził znów Szaława.— A teraz sza! W górę uszy!—dodał, bo właśnie wchodzili do ganku.

Ale Oźga, mimo szczerej chęci, nie mógł ukryć zmartwienia. Zaraz też pierwszy Barszczewski poznał z twarzy siostrzeńca, że go coś niemiłego dotknęło. Jakoż odciągnąwszy Krzysia na bok, spytał:

— Cóż tam nowego? Gadajno!

— Ej... nic... większego. Głupstwo... „książkę“ przywiózł wiadomość, że Rajzman zamierza mię procesować—nadrobił miną, nie powiedziawszy całej prawdy.

— A to niedobrze. Trzeba coś radzić. Poco kosztą ponosić...

— Chciałem właśnie o to kochanego wuja prosić. Jutro wpadnę do Lipna, to obszerniej pogadamy. Dziś nie psujmy sobie dnia—dokończył nieco weselej.

Równocześnie Jangrot dopytywał Szaławy:

— Myśmy tu właśnie deliberowali, żeś sąsiad dzisiaj jakoś „nie-tego...” Spóźniłeś się „książę...” z Krzychem jakieś konszachty... a i mina coś rzadka.

— Każdy ma swego mola, co go gryzie—odrzekł wymijająco Szaława.

— „Książę” się tam bardzo gryźć nie pozwoli—wtrącił żartem Bortnicki.

— Musi to być okazały mol — zaśmiała się Julka.

— Zapewne! zapewne!—potaknęli inni.

Więc pan Szaława, dla prędszego przerwania dyskursu, zaczął się nibyto zwierzać.

— Bo to, widzicie... państwo! mówiąc prawdę... mam gościa... do którego mi pilno—cedził zwolna.—Biedaczysko chore... leży... Muszę nawet zaraz wracać do domu... bom niespokojny...

I począł się żegnać.

Pani Krzysztofowa wystąpiła z protestem, a radca Proński, w mniemaniu, że to nowy jakiś figiel Szaławy, jął pytać natarczywie:

— Cóż to za gość? cóż to za gość?

— Poczciwy... zacny... kochany... Stempel-sio!—wykrztusił nie mogący się już powstrzymać „książę.”

Ogólny wybuch śmiechu wtórował tym słowom.

— Jakto? Stempłowicz? komornik?

— I „książę” go samego zostawiłeś?

— To pewnie który z „wyścigowców” domaga się nagrody?—pytano teraz chórem, bezładnie.

Zarzucony pytaniami Szaława śmiał się na równi z innymi.

— On sam! on sam! — wykrzykiwał. — Zgadliście... po nagrodę dla Nuty... Ale się biedaczysko rozchorował przy obrachunku... Główka go rozboleła... A wiecie przecie, „chorego w dom przyjąć...“ Ułożyłem go wygodnie na kanapce... Jak się prześpi, będzie mu lepiej...

— Cha! cha! cha! — śmiano się do rozpuku, domyślając się słusznie, że Szaława musiał spoić wykonawcę prawa. On zaś, rzuciwszy: „Widzicie, że do chorego jechać muszę... obowiązek chrześcijański,“ jął się żegnać ze wszystkimi po raz wtóry i już niezatrzymywany wyjechał.

W parę godzin potem, kiedy się już wszyscy, prócz Prońskich, rozjechali, późnym wieczorem nadesłał Szaława umyślnym karteczkę w domowej roboty kopercie, opieczętowaną starannie.

„Poprawiliśmy ze Stemplowiczem — pisał; — łagodny jak baranek. Rajzman ma wyrok na trzydzieści... z czemś jeszcze. Jeśli sąsiad masz wódkę, to mi przyslij, bo moja wyszła, a będzie mi na dzień dobry potrzebna.“

Ożga wódkę posłał, karteczkę spalił, ale tej nocy spać nie mógł. Rankiem ocknął się wcześniej niż zwykle. Śledząca od dawna niepokój męża Jądwinia spytała:

— Krzychu! ty masz jakies zmartwienie?
Westchnął.

Objęła go oburącz za szyję, serdecznie, czule ponawiając pytanie:

— Mój drogil mój drogil co się stało?
Pocałował ją w czoło.

— Mój aniołeczku! Tylko nie wyobrażaj sobie nic strasznego... Jeden z wierzycieli...

— To trzeba zapłacić!—przerwała żywo.—
Zaraz powiem ojczulkowi.

— Nie! nie! nie! Dziuchno! Nie trzeba... Poco ojca niepotrzebnie kłopotać... Nawet przykroby mi było, gdyby się dowiedział... Nie trzeba, Dziuchno! nie trzeba...

— Możeby się, Krzychu! kogoś poradzić?—
wtrąciła jeszcze.

— I to zbyteczne, duszko! Dam sobie radę! Tylko ty się nie dręcz... bo, jak cię kocham, nie warto! Wszystko będzie dobrze. A ojcu nie należy mówić, moje złotko!—przedstawił, całując jej rękę.—
Moje złotko! Jakie to pocziwe! — pieścił się teraz.—
Myślałaś, że mię zaraz żydzi zjedzą? Nie bój się. Sprzeda się lasek... zapłaci... To najlepsza rada! Jeszcze będziemy kapitały zbijać! Zobaczysz...

Słuchała spokojniejsza już, prowadząc ręką po gorącym czole męża, ale w duchu mimo to osądziła, że lepiejby było poradzić się kogoś.

I przyszedł jej na myśl Franio Chojnacki.

VIII.

Siedział pan Barszczewski od dni kilku u siebie w Lipnie, nie ruszając się krokiem z domu, wyglądając powrotu siostrzeńca z Warszawy, bo tak się był z Oźgą umówił.

Nie zapatrując się zbyt różowo na całą sprawę, nie wątpił jednakże, że Krzysiovi uda się znaleźć amatora na las i tym sposobem nie zostanie na łasce i niełasce miejscowych kapitalistów, którzy, jak to ze wszystkiego sądzić łatwo było, już sobie na kościeszowskie wyręby parol zagięli.

Oźga, wyjechawszy na drugi dzień zaraz po chrzcinach, żadnej do tej pory wiadomości o sobie nie dawał, co Barszczewskiego utwierdzało w przekonaniu, że targu dobija.

Ale gdy prawie tydzień od wyjazdu Krzysia mijał, a Oźgi widać nie było, zaczął się pan Barszczewski niepokoić i żałować danego przyrzeczenia, że całą sprawę zatrzyma w tajemnicy. Uznawał teraz po namyśle, że słusność i sprawiedliwość nakazywała nie robić z tego sekretu przedewszystkiem przed Prońskim, który, jako teść, miał wszelkie prawo być wtajemniczonym w interesa zięcia.

Obawiał się też Barszczewski, że, bądź-co-bądź, tajony przez Oźgę stan interesów ukryć się nie da i że prędzej czy później wyjdzie szydło z worka, a wówczas Proński będzie najsłuszniej urażonym za okazany brak ufności.

Jakoż stało się to szybciej, niż przypuszczał. Ósmego coś dnia zjechał do Lipna najniespodziewaniej radca Proński.

Już z pierwszych słów, wyrzeczonych po powitaniu, poznał Barszczewski, że radca nie przyjechał ze zwykłą wizytą.

— Ja do kochanego sąsiada—zaczął Proński jeszcze w sieni z niejaką urazą w głosie—na poszukiwanie. Gdzieś się nasz zieć zapodział, a tu się o niego różne osoby dopytują... Gdzieś nam przepadł, jak kamień w wodzie... Byłbym o niczem nie wiedział, ale wczoraj miałem w Prońsku istny najazd... Cała fura żydów! Coś tam znów obaj z Szalawą zmalowali. Wstąpiłem dziś do Jadwisi, ale ona biedactwo o niczem nie wie, a może tylko nie chce mówić, bo tak coś wymiarkowałem... Więc niewiele myśląc, do sąsiada... Teść, jak teść, zawsze to przyszywany rękaw, ale przed rodzonym wujem nie powinien chyba Krzyś mieć tajemnic...

Barszczewski stropił się nieco, bo trudno było słowom radcy nie przyznać racji. Widział z nich również, że Prońskiego ktoś dokładnie o wszystkim objaśnił. Było to Barszczewskiemu po części na rękę, bo już sam nie potrzebował poruszać przykrego tematu.

Słuchał też tylko, wprowadziwszy gościa do pokoju, w milczeniu, niekiedy jedynie potakując:

— Tak, to tak! młodość... płochość!

Proński zaś, który czuł potrzebę wygadania się, nie żałował sobie i ze słusznym żalem przeciw

Krzysiuowi się wywnętrzał, rozpowiadając szeroko i długo o wszystkim.

Wiedział zaś, jak się okazało, aż nadto, począwszy od owego waryackiego wyścigu z Kotowiczem, skończywszy na niedoszłej wizycie komornika. O rozpowszechnienie tych wiadomości postarali się przedewszystkiem zawiedzeni w swych rachubach wierzyciele Oźgi, a głównie Symcha Rajzman. Symcha po owej niefortunnej wycieczce Stemplowicza wpadł w złość nielada, a szyderstwa i docinki Jojny, który teraz przy każdej sposobności w dosadny sposób wykpiwał spółnika, podjurzały go jeszcze i zmuszały do szukania odwetu. Domagali się tego i inni, idący dotychczas za radą Rajzmana wierzyciele, zwalając na barki tegoż całą odpowiedzialność.

I w samej rzeczy cała odpowiedzialność ciążyła poniekąd na Rajzmanie. On to bowiem powziął myśl wyprawienia komornika do Oźgi w dzień chrzcin, licząc, że tym sposobem dwie pieczenie u jednego upiecze różna. Raz pomści się za owego „durnia,“ usłyszanego przed paru tygodniami, powtóre za pomocą „szykany“ zmusi Oźgę do korzystnego dla siebie układu, a być może i sprzedaży lasu na warunkach zadyktowanych. Był tak pewien swego, że, jadąc asystować „czynności,“ wziął ze sobą na wszelki wypadek większą sumę pieniędzy. Tymczasem wszystko zawiodło, a zawiodło na dobitkę przez znenawidzonego przez wszystkich żydów Szaławę!

Więc wielka gorycz przepęłniła serce Rajzmana. Postanowił mścić się do upadłego, rozpoczął zaś akt zemsty, po naradzie z ciotką Fogłową i Jojną, od tego, że się wybrał w objazd po okolicy i wszędzie o swej „krzywdzie“ opowiadał.

Pierwsze kroki skierował do Prońska i tu bez ogródek, z wielkimi żałami i zawodzeniem, wszystkie „sprawki“ „pana Krzysia“ wyśpiewał, prosząc „jaśnie wielmożnego pana radcę“ o pomoc przeciw takiej niesłowności. Zaprzysięgał się również, że tylko przymuszony uciekł się na drogę sądową, że chciał zgodnie, ze stratą nawet interes załatwić, ale pan „Krzys“ kpił sobie tylko z niego, jak i z innych, którym również już cierpliwości brakuje i wobec ciężkiej „krzywdy“ bronić się muszą, choćby nie chcieli.

Wywnętrzania i żale Rajzmanowe spadły na Prońskiego jak grom z jasnego nieba. Wydając córkę za Oźgę, wiedział wprawdzie o zawikłanych przyszłego zięcia interesach, nie przypuszczał jednak, aby położenie było do tego stopnia, jak się teraz dowiadywał, rozpaczliwem. Sądził też pierwotkowo, że wiano Jadwini w znacznej części zmaże „kawalerskie grzechy“ Krzysia i dlatego mimo „reputacyi“ utracyusza, jaką się młody dziedzic z Kościeszówki cieszył, nie wahał się oddać mu ukochanego dziecka.

Zawód był dla Prońskiego jeszcze tem boleśniejszy, że w głębi duszy sam czuł się również winnym. Znającemu *anteriora* Krzysia sama roz-

tropność nakazywała z chwilą, gdy miał prawo po temu, zająć się majątkowymi sprawami lekkoducha. Nie uczynił tego, przeciwnie—niechcący dołał oliwy do ognia, wręczając mu bez żadnych ograniczeń posag i nie żądając nawet zdania sobie sprawy z tego, co z tymi pieniędzmi uczynił. Czuł też teraz Proński, że zbytnia jego delikatność stała się poniekąd bodźcem, podniecającym wrodzoną nieopatrność Oźgi. Wyrzucał też sobie, że pieniędzy posagowych nie zahypotekował, czego zresztą sam Krzyś sobie życzył.

— Trzeba było choć Warzyńskich spłacić od razu, zresztą niechby się sam borykał—rozważał po odjeździe żyda, rozżalony na siebie i zięcia.

Potem przyszła refleksya, że żale po niewczasie nic tu nie pomogą, że teraz tem bardziej z założonemi rękoma siedzieć nie wypada, że ostatecznie należy koniecznie, nie poprzestając na pogłoskach—zwłaszcza, że żydzi mogli mieć jakieś widoki w przesadnem przedstawieniu sytuacji—rozejrzeć się w interesach zięcia jasno i prędko.

Jakoż, ukrywszy przed żoną prawdziwy powód, wybrał się Proński tegoż dnia jeszcze do Kościeszówki, z mocnem postanowieniem dokonania powziętych zamiarów.

Zięcia w domu nie zastał. Od Jadwisi dowiedział się tylko, że Krzyś wyjechał na dni parę do Warszawy za interesami. Chciał pytać o więcej, lecz widząc, że zakłopotana Krzysztofowa zbywa go półsłówkami, dał pokój i, posiedziawszy kilka

godzin, wyruszył do Barszczewskiego do Lipna na dalsze zwiady, zapowiedziawszy na odjezdnem rychły swój powrót.

W drodze uspokoił się nieco, bo mu również przyszło do głowy, że sprzedaż lasu może Oźgę zupełnie jeszcze na nogi postawić, niemniej troska i niepokój nie opuściły go zupełnie, głównie zaś skrytość i brak ufności ze strony Krzysia bolały Prońskiego bardzo, bo oto, chodząc dużymi krokami po pokoju lipnowskiego dworku, tak się w dalszym ciągu przed gospodarzem użalał:

— Jadwinia, jak Jadwinia... Dobrze nawet, że woli mężowskiej okazuje posłuszeństwo. Ale po Krzysiu spodziewałem się czego innego. Przecież, bądź-co-bądź, co dwie głowy, to nie jedna, w dodatku postrzelona!

— Nie chciał radcy dobrodzieja martwić... Liczył na własne siły.

— Ba! ba! ba! Tak się to mówi, a w rzeczywistości jajko chce być mądrzejsze od kury. Ta nasza młodzież wszystka taka.

— Tegobym nie powiedział...

— Boś sąsiad optymista, a i własnych dzieci nie masz, więc cię jeszcze nie sparzyło. Ale postaw się w mojem miejscu. Dałem co mogłem, nie zwlekając, nie bawiąc się w jakieś rejentalne zapisy, interczy... pogadałem z nim, jak przyjaciel z przyjacielem, otwarcie, szczerze... bo trzeba sąsiadowi wiedzieć, że tak było... Przyznam się nawet, że mię ujął bardzo otwartością i dobremi chęciami, bo

sam proponował, abym posag Jadwini hypotekował...

— I wielka szkoda, że się stało inaczej.

— Zapewne. Sam to teraz widzę. Bo toć już nie idzie o te kilkadziesiąt tysięcy zmarnowane... ale o całą przyszłość! Kto teraz może zgadnąć, co będzie? Taki zawsze gotów co zmalować...

Barszczewski milczał, czekając, aż się Proński wygada; ten zaś, przysiadłszy przy stole, zaczął bębnić jakiegoś marsza i mówił jakby sam do siebie:

— Jeszcze przed paru tygodniami byłoby można coś poradzić. Miałem trochę grosza... sprzedałem wełnę, ale dałem wszystko Jangrotom... Teraz, dalibóg! choćbym z duszy serca pragnął, nie mogę. Wyczerpało się wszystko... Zresztą — machnął ręką z niechęcią — pan zięć znów gotów nowe wyścigi urządzać...

— Za to mogę ręczyć, żeby się coś podobnego już nie powtórzyło — odezwał się teraz w obronie siostrzeńca Barszczewski. — Ręczę za to! Uniósł się wtedy, przyjął nierozważny zakład... Ale trzeba było widzieć, co się z nim później działo! Tak źle znów nie jest, radco dobrodzieju. Szałaput, lecz serce złote... potrzebuje tylko hamulca, a teraz ma go w żonie, którą kocha szalenie.

— Nie przeczę, nie przeczę — potaknął Proński, rozczerwając się. — Istotnie, może nawet i choroba Jadwini przyczyniła się cokolwiek do tego, że zaniedbał interesa. Ale że charakter lekki, to lekki... Pocóż pojechał do Warszawy?

— Kupców na las szukać.

— Domyśliłem się. Mojem zdaniem, to w jego położeniu najlepszy środek ratunku. Ja mu pomóżdź na razie nie mogę, bo na kapitałach nie siedzę, sąsiad także. Tak razby się wszystko skończyło. Tylko wątpię, czy on tam co zrobi. Takie rzeczy najlepiej załatwiać na gruncie.

— Zapewne — potwierdził Barszczewski. — I ja wątpię, czy w Warszawie znajdzie amatora, zwłaszcza, że czasu niewiele, bo wierzyciele naciskają.

— A naciskają i nie zawsze uda się mu tak wykipić, jak to miało miejsce ostatni raz z Szaławą... Dług długiem! *redde quod debes*, szlachecka rzecz. Kiedyż wróci?

— Lada chwila. Już od kilku dni się go spodziewam.

Proński się zamyślił.

— Jakbyś sąsiad uważał?— spytał po chwili—gdybyśmy tak, nie czekając na Krzycha, wpadli do miasta i z wierzycielami rozpoczęli układy?

Barszczewski skinął głową potakująco.

— Że na tem nie straci, pewna. Żydzi go znają i będą chcieli obedrzeć. Z nami będzie im trudniej.

— Nic nie mam przeciwko temu.

— W takim razie prosiłbym kochanego sąsiada o przybycie jutro do Kościeszówki. Ja zaraz wracam, bo tam i Jadwinia niespokojna.

Ale pan Barszczewski zaoponował.

— Wszystko dobrze, radco dobrodzieju!— rzekł—ale dzisiaj od siebie nie puszcę. Przenocujecie pod moim dachem, obgadamy interesa dokładnie, a jutro, da Bóg doczekać, ruszymy razem ratować tego pędziwiatra z niewoli babilońskiej. Od tego nie odstąpię. Do pani Krzysztofowej, na upartego, można parę słów napisać. Przytem... kto wie? może Krzyś nadjechać... Siedzi już tyle czasu.

Proński nie opierał się i stało na tem, że obaj mieli w dniu jutrzejszym wprost z Lipna, nie czekając powrotu Oźgi, jechać do miasta próbować układów z wierzycielami.

Stało się jednak inaczej.

Nad ranem trąbka pocztarska rozbudziła ze snu Barszczewskiego. Odgadłszy, że to nie kto inny, lecz Oźga z powrotem z Warszawy, przyodział się naprędce i wybiegł do sieni, aby siostrzeńca o obecności teścia uprzedzić.

Był to w samej rzeczy Krzyś. Stosownie do umowy, zawadził o Lipno dla zdania sprawy z tego, co zrobił. Nie miał się jednak czem pochwalić. Kupcy na las trafiali się wprawdzie, lecz stawiali takie nieprzystępne warunki, że przystać na nie było niesposób. Wracał też z niczem, a raczej z nadzieją, że z miejscowymi handlarzami, którzy już dawno na kościeszowski las mieli chrapkę, prędej trafi do ładu. Wydało mu się to łatwiejszem teraz niż przedtem. W drodze spotkał się z Waczyńskim, który go zawiadomił, że ponieważ ukartowane kupno majątku, o czem w liście pisał, nie

przychodzi do skutku, przeto sumę na Kościeszówce na dotychczasowych warunkach może jeszcze zostawić na dłużej. Wiadomość tę przyjął Oźga z radością. Pod tym przynajmniej względem miał ręce rozwiązane i zyskiwał na czasie.

Była to jedyna dobra nowina, przywieziona z drogi.

Pan Barszczewski wysłuchał relacji siostrzeńca, nie przerywając. Wiadomość o proлонgacie należności Warzyńskich wydała się i Barszczewskiemu również bardzo pomyślną dla spraw majątkowych Krzysia okolicznością; co się zaś sprzedaży lasu tyczyło, aczkolwiek nie wątpił, że ta ostatecznie nastąpi, sądził jednak, że transakcyja nie da się załatwić tak gładko, jak Oźga sądził.

Jakoż po chwilowym namyśle zaczął:

— Wszystko to pięknie, mój chłopcze, lecz tymczasem twoi wierzyciele podnieśli *larum* i szyją ci buty na wszystkie strony. Bębnią po okolicy o długach... Rajzman był w Prońsku...

Oźga brwi zmarszczył.

— Był?— spytał z niezadowoleniem.

— Był i skarżył się przed teściem...

— Szelma!

— Ja mu się tam nie dziwię. Cóż ma robić?...

Wygadał, rozumie się, wszystko. Radca, rozżalony na ciebie bardzo, wpadł do Kościeszówki...

Krzyś schwycił się oburącz za głowę.

— Do Kościeszówki... A potem do mnie. Jest tutaj.

Ożga przybladł.

— A Jadwinia?—spytał raptem i westchnął.

— Zdrowa, chwała Bogu! ale pewnie niespokojna o ciebie...

— W Kościeszówce nie byli?

Barszczewski dorozumiał się, o kogo pyta. Potrząsł przecząco głową.

Ożga westchnął głęboko. Potarł dłonią zasępione czoło i spojrział pytająco na wuja, jakby się dalszego ciągu domagał.

A pan Barszczewski po chwilowej przerwie mówił:

— Ojciec rozżalony i słusznie. Co uszło za kawalerskich czasów, to nie teraz. Masz obowiązki, żonę, dziecko... Należy o tem pamiętać. Staremu przykro... Bo i poco, u dyabła te sekreta, skoro się wszystko prędzej czy później wydać musiało! Dobrze nawet, że prędzej, niż później...

W oczach Ożgi malował się smutek serdeczny. Barszczewskiemu żal się zrobiło siostrzeńca.

— Ha! nawarzyłeś piwa, wypić musisz! Chodźmy do radcy. Zrzuć pychę z serca, teścia przeproś, boś zawinił — radził nieco łagodniej. — Może się to jeszcze jakoś załata. Ojciec się pogniewa, ale pomocy swej nie odmówi. Wspominał mi nawet, że chce się zająć sprzedażą lasu... No! chodź, chłopcze! starego za kolana! boś mu zmartwienia napędził... Chodźmy!

Przy tych słowach pierwszy skierował się ku drzwiom.

Proński leżał jeszcze w łóżku, paląc cygaro. Na widok wchodzącego zięcia pogodna zwykle twarz radcy przybrała wyraz surowy.

— Jak się masz? — spytał sucho, od niechcienia.

Krzyś pocałował teścia w rękę.

Chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Przerwał je gospodarz, mówiąc:

— Muszę wyjść na chwilę. Zaraz wracam.

I wyszedł, bo uważał, że najlepiej będzie, jak porozmawiają bez świadka.

Po wyjściu Barszczewskiego Proński, jakby na to tylko czekał, objął Ożgę surowem wejrzeniem i zaczął szybko:

— Ładnych się tu rzeczy dowiaduję! Bój się Boga! A toć, jeśli tak dalej pójdzie, za rok całą Kościeszówkę dyabli wezmą! Człowieku, co ty wyprawiasz! Jakieś zakłady... wyścigi... a o płaceniu długów ani wspomniesz! Nie spodziewałem się tego! nie spodziewałem! W rezultacie na czym się to skończy?

Ożga słuchał w milczeniu, ze zwieszoną głową, z pierśią pełną żalu, zawstydzony, wzruszony do głębi, z niekłamana pokorą. Wszystko, co usłyszał, było prawdą, każdy zarzut słuszny. Choćby chciał, nic na swe usprawiedliwienie powiedzieć nie mógł, więc tylko teścia parę razy w rękę pocałował i milczał.

Spodobało się to staremu.

Zrosli z ziemią.

— Przynajmniej czuje, że zawinił — pomyślał, rad skrusze zięcia.

Ale burczał jeszcze czas jakiś, nie szczędząc wymówek. Wreszcie miększym już głosem, choć zawsze z marsem na czole, spytał:

— Cóż? chcesz podobno las sprzedać?

— Chciałbym—odrzekł Oźga.

— Próbowalesz w Warszawie?

— Nie dało się...

— I tu kupią... Mogą nawet lepiej zapłacić, jeśli im się z należności długi potrąci.

— Byłoby dobrze...

— Czegożes tego dawniej nie zrobił, a przynajmniej nie pozwolił, żeby inni za ciebie zrobili?...

Krzyś bąknął coś pod nosem, lzy zatrzęsły mu się w oczach, bo w tej chwili w duchu sam sobie podobne zadał pytanie.

Pronski już się wysapał zupełnie. Nie lubiał i nie umiał gniewać się długo. Skinął na Krzysia.

— Chodź-że bliżej... Siadaj tu... na łóżku.

Krzyś spełnił rozkaz. A że właśnie Barszczewski wracał, więc radca, uniósłszy się na poscieli, zwrócił się do wchodzącego i ukazując ręką na Krzysia, przemówił:

— Zmyłem mu tu głowę porządnie za te wszystkie głupstwa.

— Słusznie! słusznie!—potaknął Barszczewski, oceniwszy, że burza już przeszła.

— A teraz chciałbym, żebyśmy spokojnie o interesach pomówili. Rad, nierad! musisz i ty,

wujaszku, przyłożyć do tego rękę, bo na jedną głowę za ciężko, a na tego szalaputa nie liczyć nie można.

— Z ochotą. Jestem do dyspozycji—odpowiedział Barszczewski.

Podniósł się Krzys i pocałował wuja w ramię.

— Patrzcie go! jaka to teraz trusia! baranek!—zawołał z odcieniem żartu Proński.

A Barszczewski:

— Cicha woda! Czas jednak, żeby się uspokoiła.

— I wielki wielki mój Krzysiu!—potwierdził Proński.—Trzeba na seryo myśleć o przyszłości. Tak... z dnia na dzień... nie można. Masz zresztą o czem myśleć... Żona... córka... a podobno nie koniec na tem...—uśmiechnął się.—Czas wielki! Jużemy tu z wujem obgadywali twoje sprawy. Ostatecznie trzeba las sprzedać! niema rady! Małątek wprawdzie straci na wartości, ale lepsze to niż długi. Wiesz lepiej, co wart. Jakże sądzisz? ile mogą dać za włókę? Z dziesięć tysięcy?

— Powinni—odpowiedział Oźga.

— To słuchajże... Zdał to już na nas. Ja z sąsiadem wymacamy żydów... Głodziej pójdzie. Ciebie wezwiemy do gotowego, bo, między nami mówiąc, zadarłeś z Rajzmanem, to nie wiem, czybyś zaraz trafił do końca...

— To się wie! to się wie!—potaknął gospodarz.

— A teraz jedź do domu, bo tam Jadwinia coś przeczuwa i gryzie się niepotrzebnie — kończył teść...

Oźga zerwał się żywo.

— Prosiłbym tylko wuja o konie...—rzekł.

— To jedź moimi. Ja zabiorę się z sąsiadem do miasta. Przyślesz po mnie, lub sam przyjedziesz—zaproponował Proński.

— Niech i tak będzie—zauważył Barszczewski, powstając, aby wydać służbie stosowne polecenia.

W parę godzin potem obsypywał Oźga pocałunkami uradowaną przyjazdem męża Jadwinię. Nie chciała go o nic pytać na wstępie, tylko z niejaką trwogą rzekła:

— Był tu ojciec.

— Wiem. Widziałem się w Lipnie—odrzekł wesóło.—I wszystko dobrze! skoroś ty mi zdrowa—dokończył.

Poczem zaczął jej opowiadać wszystko, nie pomijając niczego, nic nie ukrywając. Czuł potrzebę szczerego wynętrzenia się przed ukochaną towarzyszka życia, potrzebę spowiedzi z uczynków, których się na przyszłość odrzekał, potrzebował zrzucić z piersi ciężar win i prosić o przebaczenie za nie u tej najdroższej, umiłowanej gorąco, bo mu bez tego przebaczenia strasznie ciężko było.

Więc wypowiedziałwszy wszystko, przylgnął wargami do rąk żony, pytając:

— Darujesz mi! nie gniewasz się? Wszystko będzie dobrze! Zobaczysz! Dziuchno serdeczna! nie gniewasz się?

— Nie, Krzychu! Tylko bałam się bardzo. Lepiej, żeś mi o wszystkim powiedział, a i ojciec także—odrzekła pośpiesznie. I dobre jej oczy zaszczyły łzami.

Z dziecinnego pokoju rozległ się piskliwy głosik.

Powstali obydwójce.

— Chodźmy tam! Trzeba i maleńką przeprosić—odezwał się Oźga.

Ujął żonę za rękę i poszli.

IX.

W zajazdowym podsieniu stała gromadka żydów. Gwarzyli, obliczali coś, spierali się i godzili na przemian, krzycząc głośno. Jeden drugiego przegadać pragnął, a wszyscy oczekiwali widocznie na wiadomość, bardzo ich obchodzącą. Niekiedy któryś mniej chełpliwy wysuwał się z gromadki, skradał pod okna gościnnego numeru, z którego dolatywał pogwar ożywionych głosów, nasłuchiwał chwilę, powracał na dawne stanowisko, mieszając się na nowo do przerwanej rozmowy.

Deszcz mżył, wiatr chłodny zaciągał, uderzając z poświstem o sklepienie sieni, a oni stali tak, nie zważając na słoć, chuchając w kostniejące

palce, przytupując nogami, nie ruszając się z miejsca, niby strażnik postawiony na warcie.

Wreszcie skrzypnęły drzwi numeru. W wyczekującej gromadce zawrzało. Poruszyły się głowy, szyje wyciągnęły na przód, momentalnie ucichł szwargot, a potem nagle podniósł się zgodny chór drgających ciekawością wykrzykników:

— *Mendel kimmt! Sofa kimmt! Still! Still!*

I znów zaległa cisza, tylko gromadka wyczekująca dotąd w głębi podsienia posunęła się teraz, jak jeden mąż, ku podwórkowi, otaczając kołem śpieszącego ku niej towarzysza. Kilka par przenikliwych oczu utkwiło równocześnie w twarzy przybyłego, z kilku ust naraz wyrwało się jednobrzmiące pytanie:

— *Was ist? Co jest? Co Rajzman? Co purec?*

Mendel, łokciami rozpychając natarczywych, postąpił parę kroków, nie nie odpowiadając. Dopiero, gdy się znaleźli w sieni podjazdu, wsparł się o mur, wyciągnął obie ręce przed siebie, potrząsnął nimi i rzekł krótko:

— *Geben sie Geld! Co kto ma, niech daje! Geschwind!*

Na te słowa w żrenicach współwyznawców zaświeciła radość. Jakby na znak umówiony ręce wszystkich zanurzyły się szybko w kieszeniach chałatów. Dobywano pieniądze bez pytania, w milczeniu. Poczęto liczyć, wyjmując z zatłuszczonych pugilaresów, z owiniętych w stare gazety paczek zwitki banknotów. Układano, przykucnąwszy na ko-

lanach, w kupki, co kto miał. Milczenie przerywały tylko odbijające się o mury zajazdu echa szeptanych cyfr, szelest przeliczanych bankocetli i przyspieszony, sapiący oddech rachujących.

Sofa czekał i milczał również.

Najbliżej będący Pinkus, młody, dopiero co ożeniony żydek, uwinąwszy się z rachunkiem, pierwszy oddał Mendlowi zwitek asygnat, mówiąc:

— *Zwei hundert!*

I teraz dopiero spytał:

— A na co?

— Rajzman potrzebuje—brzmiała odpowiedź.

— Czy będzie spółka?—spytał drugi.

— *Geschwind!* — burknął Mendel. — Spółka, nie spółka! ja nie wiem, co będzie... a Rajzman kazał dać, to dać, nie bałamucić!

— *A soj! a soj!*—potaknęli inni.—Nie bałamucić!

Kilka naraz rąk wyciągnęło się ku wysłańcowi,

— *Wart! wart!* — odezwał się znów Mendel.

Brał paczki po kolei, liczył powtórnie, spisując na kartce, ile kto dał, mrużąc półgłosem:

— *Pinkus zwei hundert... Manele hundert fünfzig... Weichselfisch drei hundert fünf und zwanzig... Ryfka Luftwasser siebzig...*

Otoczenie czekało spokojnie końca tej czynności, ale na twarzach znać było wzrastającą coraz ciekawość.

Wreszcie ostatnia paczka utonęła w kieszeni faktora. Teraz pytania posypały się gradem. Cierpliwi i posłuszni dotychczas kapitaliści, cisnąc się obcesowo, dopominali się szczegółów.

— Sofal mówcie, co jest! Dlaczego nie chcecie mówić! Co za tajemnica?! Czy się kto chce z wami faktorem dzielić, czy co?—nagabywał zburzający poprzednio Manele.

— Nie bądźcie uparci. Poco sekret, kiedy wszyscy dajemy nasze pieniądze! I nam się należy wiedzieć!—upominał się Weichselfisch.

— I my ciekaw! *fertig*, czy nie *fertig*!—prosiła Ryfka Luftwasser.

— Dalśmy pieniądze bez pytania—pochwalił się młody Pinkus.

Sofie rozwiązały się usta. Pilno mu było wracać, więc zaczął pośpiesznie:

— Nie róbcie gwałtu! Poco pytać? Gdzie Symcha jest, musi być interes... musi być *fertig*! Było z razu trochę kłopotu. *Der alte* Proński—opowiadał—chciał dziesięć... Symcha dawał osiem tysięcy...

— *Für wlókes?*

— *A soj!* kazałem brać półdziewięta... Skończyli... Potem szło im o zadatek. Symcha nie miał tyle pieniędzy... Wysłał mnie do was... I koniec! Teraz...

— *Und jezť?*

— Teraz Symcha chce jeszcze dla kontraktu hypoteki.

Słuchacze cmoknęli z podziwu, obrzucając się wzajem wymownem wejrzeniem.

— Oni nie przystają!—dokończył Sofa, zabierając się do odwrotu.

Zastąpili mu drogę tłumnie, chcąc pytać jeszcze.

— *Hab kein Zeit!*—fuknął opryskliwie.—Co chcecie wiedzieć jeszcze? *Warten! warten!*

I pobiegł szybkim krokiem.

W numerze kończono tranzakcyę. Po długich targach nastąpiła wreszcie zgoda. Symcha Rajzman kupował piętnaście włók lasu (jaki widział) po osiem i pół tysiąca za włókę. Szacunek płacił w trzech ratach. Z ostatniej raty potrącał należne mu od Ożgi kwoty.

Wchodzący Sofa wprawnem okiem faktora ocenił, że interesu ostatecznie dobito.

Istotnie, siedzący przy stole pan Barszczewski kończył właśnie spisywanie przedugodowych punktów umowy, która następnie miała być utwierdzona aktem rejentalnym i wpisana w księgę wieczystą.

Chodziło tylko o to, czy pan Warzyński zrobi ustępstwo z sumy nieletnich, czego się uporczywie Rajzman domagał.

— Jaśnie paniel — tłumaczył Prońskiemu — żeby to były tylko moje pieniądze, dałbym na słowo! na jaśnie pana słowo! Ale są spółniki... Niech Sofa powie...

— Jest kilku—potwierdził świadek, wręczając przytem Rajzmanowi zwitek banknotów.

— Właśnie od nich pieniądze—przedstawił w dalszym ciągu wierzyciel Oźgi.—Gałgany!—skrzywił się—oni rodzonemu ojcu nie wierzą...

— A jak pan Warzyński nie pozwoli? Jeśli nie będzie chciał czekać do raty, tylko zażąda, żeby go zaraz spłacić?—zauważył Proński.

Symcha ruszył ramionami.

— Ny? to co ja temu winien? Ale dlaczego nie ma pozwolić? czy długo będzie czekać? Najwyżej pół roku. Tymczasem z zadatku można mu procent z góry zapłacić...

— Mam nadzieję, że nie będzie robił trudności—odezwał się trzymający się na uboczu Oźga.

— Ojej!—potaknął Sofa.

Zaczem pan Barszczewski począł czytać głośno spisane w dwóch egzemplarzach punkta przedugodowe.

Wszyscy słuchali z uwagą. Gdy skończył, nikt nie miał nic do nadmienienia, tylko Sofa wtrącił jeszcze:

— Przepraszam! należy się jeszcze porękawiczne dla jaśnie pani! Taki kupiecki zwyczaj!... Co Symcha daje?.. trzeba naprzód powiedzieć—dopytywał, mrugając znacząco na Oźgę, aby tenże gorliwość faktora w bronieniu zwyczajowych praw „pani dziedziczki“ zauważył.

— Dziesięć głów cukru i kamień kawy—zaofiarował Symcha.

— I dwa kamienie świec—targował Mendel.

— Mendel chciałby człowieka ze skóry odrzeć... Zresztą niech i tak będzie!—zakończył sporną kwestyę Symcha.

A potem zaraz, podszedłszy do Prońskiego, wręczył mu paczkę banknotów, mówiąc:

— Niech jaśnie pan przerachuje. Jest dwadzieścia pięć tysięcy, jak bułka za grosz. Tak jak było mówiono. Tylko jak pan Warzyński nie będzie chciał—powtórzył jeszcze raz zastrzeżenie,— to ja tylko do jaśnie pana przyjadę po moje pieniądze.

— *Szłom! szłom!*—przerwał mu Sofa z udaną urazą.—Poco gadać jedno w kółko! Jaśnie pan rzekł słowo, *ein Wort!* i szabas!

— Bądź kupiec spokojny — rzekł Proński, chowając zadatek.

— Teraz tylko podpisać — przypomniał faktor.

Za chwilę dokument z trzema podpisami znajdował się w kieszeni Symchy.

.....
W tydzień potem w kościeszowskiej kniei rozlegał się stuk siekier, łoskot padającego drzewa, trzask łamanych przy spuszczeniu gałęzi.

Czasem piła traczów, natrafiwszy rdzeń smolny, wydała chrzęst przeciągły; czasem ginący olbrzym, zatrzymany w upadku na rozłożystych konarach stojącego jeszcze sąsiada, chwiał się czas jakiś w bratnim uścisku, skrzypiąc, nim runął z hu-

kiem, by się nie podnieść więcej; czasem niedorostek leśny pękał z trzaskiem, przygnieciony ciężarem starszego towarzysza. Nad borem płynęły echa zagłady. Spłoszone stada wron, żalosnem krakaniem napełniając powietrze, nuciły *requiem* strzelistym sosnom i świerkom. Las cięto.

Od granicy Zabłocia, gdzie był drzewostan najzwartszy, rozpoczęto pierwszy wyrąb.

Pan Szaława poszedł się przypatrzeć.

— Wziął się do *stryja* — rozmyślał, idąc ku lasowi. — Szczęśliwy człowiek! Tylko polowania szkoda! Koty się do Chojnackiego wyniosą.

X.

Zboże od lat trzech spadało w cenie, w handlu panował zastój.

.

Pan Pomidorowicz wyszedł przed traktyernię, przystanął na progu, tuż pod szyldem, na którym, oświetlone południowem słońcem, błyszczało jego nazwisko, i spojrzął w rynek.

W rynku stało kilkanaście fur włościańskich. Chłopi siedzieli na workach przywiezionego zboża, rozmawiali, kiwając głowami, wzdychając i klęcząc na przemian.

Około rozstawionych rzędem straganów kręciła się garstka ludu, przeważnie kobiet z koszykami, opalkami w ręku. Babiny oglądały perkalki, płócienna, przymierzały wzorzyste chustki,

czasem któraś zatargowała, ale zaraz, usłyszawszy cenę, brała się za głowę i odchodziła coprędzej, nic nie kupiwszy. Straganiarze wzywali do powrotu, nawoływali, zachwalając towar, zniżali cenę... Śmielsi wybiegali z kramów, chwyтали targujące się chłopki za odzież, przytrzymywali przez siłę, ciągnąc do straganów dla dokończenia kupna.

Ale handel nie szedł.

Włościanki wracały — spojrzawszy jednak smutnem okiem w stronę stojących ze zbożem furmanek, odchodziły znów z niczem, obiecując przyjść później. Kramarze zwijali porozrzucany na pokaz towar i równie, jak siedzący na furach chłopci, klęli.

W punktach narożnych, przy skrętach ulic, stały gromadki żydów, drobnych handlarzy, czekających na interes. Zwyczajnie jak na jarmarku. Z ulic dolatywał pogwar napływającej ludności, kwik pędzonej nierogaczyny, głuchy turkot wozów. Niekiedy rozległ się w ciżbie donośny okrzyk furmana: „na bok! z drogi!“ lub strzał z bata.

Żydzi ruszali się wtedy z zajmowanych placówek, otaczali hurmem wjeżdżającą furmankę, czepiając się drabin, półkoszków, spinając się na wóz nawet.

Chłop zatrzymywał konie, przystawał, rozwiązywał czuprynę worka, pokazując przywiezione na sprzedaż zboże. Żydzi rzucali się obcesowo, oglądali, biorąc po garstce ziarna. Wachali, czy nie zatęchło, gryźli w zębach, próbując, czy suche; potem pytali od niechcienia: „po czemu?“ i prawie nie

czekając odpowiedzi, wracali na dawne stanowiska. Chłop pomstował: „bodajście pomarnieli przeliwacz! pogańskie syny!” wiązał worek i zafrasowany ruszał dalej. Czasem przychodziło do starcia. Zawiedziony w nadziejach zagrodnik chwycił za biczysko. Żydzi podnosili krzyk, z obu stron sypał się grad wymyślań, klątw, złorzeczeń. Ludzie przystawali, tworzyło się zbiegowisko, tumult...

Pan Pomidorowicz stał i patrzył. Ręce włożył w kieszenie, wargi wyduł, czoło zmarszczył. Na twarzy restauratora malował się wyraz głębokiej pogardy.

— I to ma być jarmark! Walny jarmark!— pomrukiwał raz po raz, spluwając z obrzydzenia.— Przyjechało trochę chamów... popije się hałastra w szynkach... I na tem koniec!—rozważał, rozgoryczając się coraz bardziej.

Skrzywił się ironicznie.

— Lat cztery... pięć w tył jeszcze—rozpałmiętywał zasepiony—wrzało, panie! Człowiek stajennego od konia brał więcej, niż teraz za nocleg od szlachcica... Na psy wszystko zeszło! na psyl! Bo też i terazniejsza szlachta!—użalał się w duchu.—Kazali sobie inne żołądki powprawiać, czy co? Przyjechało ich kilkunastu... Cóż z tego? Siedzą, panie! od rana do wieczora w sali, kopcą cygara, aż w oczy gryziel i... *najwyżej*: „wołowa...” „piwko,” „zrazy...” „herbatka...” „flaczki” i znów „piwko...”

Machnął ręką z lekceważeniem.

Skrzygnięcie drzwi przerwało mu rozmyślenia. Z restauracyi wybiegł posługujący chłopiec.

— Proszę pana!

— Czego?!

— Panowie pro...szą o ra...chu...nek!

— Idę! — rzucił z niechęcią.

I wolnym krokiem podążył za chłopcem, szepcząc pod nosem:

— *Proszę...* Jacy grzecznili *proszę...* Dawniej, panie! jaki taki huknął: „Pomidor! zamrozić kosz *wdowy!* tylko na jednej nodzel rozumiesz...” A teraz... *proszę*—przedrzeźniał:— „Kochany panie Pomidorowicz!.. każ mi tam usmażyć befsztyczek...” *Proszę...* grzecznili! Można z głodu zdechnąć przy tych grzecznościach!

Ruszył ramionami pogardliwie i wszedł do sklepu.

— Dla kogo rachunek?—spytał.

— Dla pana Kotarskiego — brzmiała odpowiedź.

Wziął się do pisania.

Przez uchylone drzwi sklepu dolatywała ożywiona rozmowa i widać było całe wnętrze gościny sali.

Przy stolikach, nakrytych odświętnie kolorowymi serwetami, siedziało kilkunastu obywateli. U drzwi kupka żydów, kupców zbożowych, zajmowała obserwacyjne stanowisko. Szlachta gawędziła, kupcy milczeli. Mendel Sofa, faktor, biegał od stolika do stolika, podchodził do współwyznawców,

szwargotał, nawiązując nici napoczętych a niedokończonych interesów. Nie szczędził wymowy, przedstawił, mimo to szło mu widocznie oporem, bo w końcu i on przystanął pod piecem, z miną człowieka, skazanego na przymusową bezczynność.

Tylko obok stolika, przy którym siedział pan Szaława ze Słotwińskim i z Kotowiczem, kręcił się mały, chuderlawy żydek. To podszedł, to odsunął się kilka kroków, nie spuszczał oka z Szaławy. Wreszcie, upatrzawszy stosowną chwilę, zbliżył się do „księcia“ i, mnąc trzymaną w ręku czapkę, zaczął:

— Wielmożny panie! niech wielmożny pan nie żartuje! ja jestem dużo stratny...

Szaława gawędził obojętnie, ani okiem nie mrugnawszy.

Żydek powtórzył naleganie raz, drugi, trzeci, coraz to natarczywiej.

Pan Szaława milczał. W końcu zniecierpliwiony porwał się z krzesła, nasrożył.

— Słuchaj, Pinkus! nie nudź mię! O co ci właściwie idzie?— spytał ostro.

Żydek cofnął się kilka kroków.

— Wielmożny panie!— zaczął znów.

— Kupięś?— przerwał mu groźnie Szaława.

— Kupięm...

— Odebrałeś?...

— Ode...bra...łem... ale co z tego, kiedy po terminie. Miało być w grudniu, wielmożny pan oddał w końcu stycznia— żalił się Pinkus.

— Aleś odebrał?

— Co z tego? Tymczasem nałożyli cło... żyto za granicą nie idzie... Wielmożny pan wie najlepiej — tłumaczył żydek. — Ja jestem stratny! ja będę...

— Co?

— Ja będę skarżył—zagroził Pinkus, odsuwając się coraz dalej.

— To skarż, durniu! Bismarka, nie mnie!— huknął za nim Szaława, aż się po sali rozległo, i uważając dysputę za skończoną, wrócił do stolika.

Podniesiony głos Szaławy przywabił Pomidorowicza. Skończył właśnie pisanie rachunku, więc usłyszawszy wrzawę, wbiegł szybko do sali. Wprawmem okiem zbadał sytuację, a ujrzawszy wałęsającego się na środku sali Pinkusa, popchnął go z lekka ku drzwiom, poczem z niskim ukłonem podszedł do pana Kotarskiego, wręczając zapisaną cyframi ćwiartkę papieru.

Pan Kotarski sprawdził rachunek.

— Bójcie się Boga! ależ drzecie niemilosier-
nie!—zaczął.

Pomidorowicz załamał ręce.

— Słono! słono...—narzekał szlachcic.

— Panie dobrodzieju! Bóg świadkiem! po ce-
nie kosztu. Zaledwie *obstać* można...

— Przecież wszystko za bezcen.

— Ale obroty ma! Prowizya się psuje... za-
pasów robić nie można... wszystko z dnia na dzień...

to ogromnie kosztuje! panie dobrodzieju!—tłoma-
czył się restaurator.

Kotarskiemu dość było na tem. Odliczył pie-
niądze.

Ale Pomidorowicz przez punkt honoru wyja-
śniał w dalszym ciągu.

— Bo to, proszę pana dziedzica dobrodzieja!—
mówił—niby walny jarmark... a właściwie co? Jak
panowie obywatele nie dadzą człowiekowi utargo-
wać, to kto ma dać? Chłop! cham? a może ci?—tu
ukazał ręką w stronę stojących przy drzwiach ży-
dów i westchnął głęboko.

— Zapewne—potaknął Kotarski.

— A widzi pan dobrodziej!—podjął znów re-
staurator.—Jedno idzie za drugim. Oj! oj!—żalił
się—inne człowiek pamięta czasy! inne! Był ruch!
był... Teraz, z przeproszeniem, u panów obywateli
bieda... Każdy się kurczy... Upadamy, panie dobro-
dzieju! upadamy!

— Cóż robić...

— Aż żal serca ściska na samo wspomnienie!
Czy to tak dawno?... Mój Boże! parę lat zaledwie...
kiedy to na przykład pan Oźga był jeszcze kawale-
rem! Obecny tu pan Szaława może poświadczyć...

— Ba! ba! ba!—wtrącił od drugiego stolika
Szaława.—Lepiej nie wspominać!

A widząc, że się Kotarski zabiera do odjazdu,
dodał:

— Cóż to sąsiad już *fugas chrustas?*

— Niema czego dłużej siedzieć—odrzekł pytany.

W tej chwili Pomidorowicza odwołano do sklepu, Szaława zaś z Kotowiczem i Słotwińskim podeszli do Kotarskiego.

— Posiedź sąsiad jeszcze. Tyle naszego, co się nagadamy—jął przedstawiać Szaława.

— Niepotrzebny wydatek — odrzekł Kotarski,—skoro o interesach niema mowy. Na pszenicę kompletnie brak kupca.

— I wełna spadła — dorzucił Słotwiński.

— Wszystko to niemiecka sztuczka—zauważył Szaława.—Ale siadaj sąsiad, do wieczora jeszcze kawał, będziesz na czas... Pogadamy. Może jeszcze kto nadjedzie, będzie weselej...

Jakby na potwierdzenie tych słów, rozległ się turkot wózka. Szaława podbiegł do okna. Wyjrzał.

— Bortnisiol! we własnej osobie! A co? nie mówiłem!

— To pewnie z żoną?—spytał Kotowicz.

— A i pani Julia także — potwierdził Szaława.

— Krótko go trzyma niewiasta—zauważył Słotwiński.

— Podobno samego krokiem z domu nie puszczą. Wszędzie oboje razem.

— Ale im z tem dobrze—odezwał się Kotarski.—Pani wzięła wszystko w swoje ręce... Gospodyni zawołana! wieprze wypasa, na targi jeździ

i, jak słyszałem, wszystkie wydatki z tego źródła opęda. Taka żona to skarb!

— Niewątpliwie. Ale ktoby się był tego spodziewał? Panna trzpiot... naraz ekonom w spódnicy!—zaśmiał się Szaława.

— Kto się ożeni, ten się odmieni. Ale że Bortnicki dobrze trafił, to fakt. Przydałaby się niejednemu taka żona...

— Poczciwemu Oźdze na przykład—dorzucił, zbliżając się do rozmawiających, pan Warzyński.

— Za pozwoleniem!—zaoponował Szaława.— Przeciwno pani Jadwidze ani słowa. Zacności kobieta! za..cno...ści!

Warzyński schylił głowę.

— Któż przeczy? któż przeczy? Wzór kobiet! ale dla naszego Krzysia przydałaby się taka pani Julia właśnie. Wzięłaby go od razu w rzy i poprowadziła interes jak należy. Do tego się tylko mówi...

— To co innego—zgodził się Szaława.—Dajcie jednak pokój Krzychowi—dodał po chwili.—Ma i on za swoje!

— Wszystkiego narobiła ta niefortunna sprzedaż lasu—wtrącił Słotwiński.

— Zapewne. Grosza nie oglądał! Żydzi pokładli u rejenta areszta i zadrapali wszystko—objaśnił Szaława.

— A ja z sumą nieletnich zostałem—dorzucił nawiasowo Warzyński.

— Mało tego—opowiadał w dalszym ciągu „książę:”—zostało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy długu z kawalerskich czasów. Wierzycciele wpakowali się na hypotekę, a na dobitek...

— Na dobitek — uprzedził Kotarski — i sam kontrakt głupio spisany, chociaż wiadomo, że radca Proński z Barszczewskim byli przy umowie. Sprzedali las na włóki i teraz żyd utrzymuje, że kupił razem z ziemią. Wytoczył proces... dyabli wiedzą, jak jeszcze wypadnie! Serdecznie mi żal Oźgi...

— Szkoda człowieka! gospodarz dobry... sąsiad od serca... Wątpię, czy się wygrzebie — wtrącił z odcieniem żalu Kotowicz.

— W innych czasach... może, ale teraz ciężko... A na niczyją pomoc liczyć nie może. U Prońskiego kuso... Barszczewski, choć gospodarz i rachunkowyy, bokami robi, jak my wszyscy—odpowiadając na pytanie Kotowicza, odezwał się Słotwiński.

— A kto dziś dobrze stoi?—zauważyli równocześnie Szaława z Kotarskim.

Z kilku piersi wydobyło się westchnienie.

Kotarski powtórzył pytanie: „Kto dziś dobrze stoi?” i zaczął wyliczać:

— W całej okolicy jeden Chojnacki. Ale to nic dziwnego: dwie wioski czyste... sam jeden... jak palec. Trzymają się jako tako Żyłkowie... Bortnicy, dzięki wyjątkowej zabiegliwości pani Julii, no i—tu zwrócił się do Warzyńskiego—sąsiad dobro-

dziej, choć stęka i narzeka... To i wszystko! na palcach jednej ręki policzy...

Warzyński machnął ręką.

— Kpij sąsiad zdrów—zaczął,—ale i moje interesa pokrzyżowały się dyabelnie. Musiałem bratankom ze swego dopomódz, bo wiadomo wam, że z Kościeszówki nie odebrałem grosza. Wiem, że nie przypadnie, lecz tymczasem...

Nie dokończył zaczętego zdania, bo w tej chwili drzwi od sklepu otwały się z łoskotem i do sali wszedł niski otyły, nieznany nikomu mężczyzna.

Nieznajomy siadł za najbliższym stolikiem, obrzucił wzrokiem obecnych, wreszcie skinął na kręcącego się nieopodal Sofę.

— Słuchaj-no! Niema tu między wami niejakiego Rajzmana? — spytał zbliżającego się z ukłonem faktora.

— Niema. Ale może być zaraz, jak jaśnie pan każe.

— To go zawołaj. Powiesz, że przyjechał *ten pan z pod Siedlec*...

Ostatnie wyrazy, wymówione głośno, zaciekawiły wszystkich.

— To jakaś obca figura — mruknął Szaława i zaczął się przybyłemu uważnie przypatrywać. — Spasiony jak rzeźnik—zauważył półgłosem.

W końcu, nie mogąc przewyciężyć ciekawości, powstał, raz i drugi przeszedł się po sali, wreszcie podszedł do nieznajomego i spytał:

— Pan dobrodziej, widać, z daleka?

— Z Podlaskiego.

— Zaraz poznałem. Czy także na walny jarmark do nas?

— O nie! mam interes w tych stronach.

Szaławę zafrapowała ta wiadomość.

— Interes w naszych stronach? ani chybi, chce kupić majątek — pomyślał, jeszcze bardziej zaciekawiony.

Ale nie wypadało pytać o więcej, nie przedstawivszy się. Postął tedy chwilę, wreszcie zdecydowany ostatecznie na zawarcie znajomości, wyciągając rękę do nieznanomego, przemówił:

— Pozwoli pan... Szaława, właściciel ziemski z tych stron.

Nieznajomy powstał i, uściskawszy podawaną dłoń, odrzekł:

— Bardzo mi przyjemnie! Anzelm Sonkiel, do usług...

— Sąkiel? Sąkiel? — podchwycił żywo Szaława. — Znałem Sąklów! Mieli ładny majątek w okolicach Białej. Czy nie krewni?

— O, nie! — zaprzeczył towarzysz. — Nawet nie imiennicy. Tamci piszą się przez *q*, a my przez *n*. Ale ich znałem. Utracysz, przeszastali wszystko... Ale siadajmy...

Podał Szaławie krzesło. Ten przysiadł i po chwili znów rzucił pytanie:

— Więc pan dobrodziej za interesem w nasze strony? Wolno spytać o szczegóły?

— Sprzedało się habendę... Chciałbym co kupić...

— Zgadłem! — pomyślał Szaława, a głośno dodał:

— Teraz majątków nie brakuje. Chociaż u nas trzymają się jeszcze. Ziemie dobre... rodzi się jako tako, klepiemy biedę, ale siedzimy na zagonie. A ma pan już co upatrzonego?

— Niby...

— Ciekawym. Znam tu każdą piędź ziemi na wylot. Mógłbym pana poinformować... Ciekawym! — indagował w dalszym ciągu Szaława, a widząc, że żydzi, zaciekawieni również, zaczęli się zbliżać do stolika, kołując i nasłuchując, zaproponował:

— Bardzo mi przyjemnie było poznać szanownego pana, w przyszłości być może... sąsiada, ale jestem w towarzystwie. Sami znajomi... obywatele... ziemianie — uprzedził. — Może pan dobrodziej pozwoli do naszego towarzystwa? Będzie nam raźniej... Pogadamy swobodnie... Zapoznam pana z miejscowem obywatelstwem...

Sonkiel uprzejmem skinieniem głowy podziękował.

— I owszem — rzekł, powstając.

Wziął go Szaława pod ramię, i podprowadziwszy do stolików, przy których wszyscy, z wyjątkiem Kotarskiego, który już był odjechał, siedzieli, prezentował:

— Pan Anzelm Sonkiel, obywatel, Podlasiak, z tych Sonków przez *n...* kapitalista, szukający majątku...

— Bardzo nam przyjemnie! Prosimy! prosimy!—odezwano się chórem.

Wyciągnęły się dłonie na powitanie, w mig zrobiono gościowi miejsce za stołem, posypały się pytania.

— Więc szanowny pan poszukuje majątku?— zagadnął Słotwiński.

— Ma już coś upatrzonego — dorzucił Szalawa.

— W tej okolicy? — pytał równocześnie Kotowicz.

Nagabywany tak obcesowo Sonkiel przypatrywał się czas jakiś badawczo nowym znajomym, wreszcie zaczął:

— Majątek, nie majątek, bo mię na to nie stać... i nie dobra, nie folwark, bo na tem niema interesu. Ale włók kilkanaście kupię chętnie na handel...

— Na handel?—powtórzył Kotowicz, nie zrozumiawszy.

— A na handel. W moich stronach praktykuje się to z powodzeniem. Zęby na tem zjadłem. Miałem najpierw dobrą dzierżawę pod Kutnem, odstąpiłem, zarobiwszy... Trafił mi się zapuszczony folwark niedaleko Międzyrzeca. Właściciel wylaatywał... kupiłem za bezcen. W rok, panie, połątawszy budyneczki, sprzedałem... bo właśnie wystawio-

no na sprzedaż majątek duży w drodze działów... a właściwie to wierzyciele subhastowali... Było kilka hypotek... Stałem do licytacji, kupiłem jedną nomenklaturę... pustka straszna! wertepy! pastwińska i wyręby same! Ale od czegoś olej! — puknął w czoło i, zapalając się, opowiadał dalej: — Zmajstrowało się budyneczki od oka, kupiło kilkanaście szkap, zasiało... Nowiny rodne... Przez lat parę wyciągnęło się z ziemi co można i dalej między ludzi...

Sluchacze spojrzeli po sobie znacząco. Nowy towarzysz nie przypadł im do gustu.

— Ciekawe *homo!* — mruknął Słotwińskiemu na ucho Kotowicz.

— Ale po kiego dyabła przywłókl się aż tu? — zauważył półgłosem Warzyński,

— Ma coś upatrzonego, jak mówił „książę“ — odrzekł na to Słotwiński.

Sonkiel nie zauważył złego wrażenia i, rozgadawszy się, opowiadał w najlepsze:

— Ostatecznie kupiłem habendę... dwie mile od Siedlec. Ale i tę przy pomocy Bożej zepchnąłem. Nie trafiło się na razie nic odpowiedniego w tamtych stronach... osiadłem na bruku z kapitałem...

— Wszystko to bardzo pięknie, mój łaskawco — przerwał mu Warzyński oziębło, — ale w naszych stronach jeszcze o takie interesa, na szczęście, nie łatwo. Ziemią nie handlujemy, nie sprzedajemy ojcowizny po kawałku, każdy trzyma się do

ostatniego; a jeśli już kogo los dotknie, to wątpię, czyby się znalazł obywatel, coby licytować sąsiada pojechał. U nas to jeszcze nie uchodzi. Przynajmniej dotąd takiego wypadku nie było.

Sonkiel spojrzął z pod oka, zrozumiawszy przymówkę. Zaczerwienił się przytem nieco, bo mu słowa Warzyńskiego w niesmak poszły, nakoniec po chwilowej przerwie odrzekł:

— Szeroko o tem król Dawid pisał... czy tak jest w istocie, jak szanowny pan wspominał...

— Zaręczam — upewnił nie bez oburzenia Warzyński.

— To i gorzej — ciągnął Sonkiel. — Bo któż w rezultacie na licytacyach kupuje? Żydzi. Czy licytowany wychodzi na tem lepiej? Nie. Ale mniejsza o to. Każdy ma swoje przekonania. Co do mnie, przyjechałem w te strony, bo mi faktor z Międzyrzecza doniósł, że tu któryś z kupców leśnych ma kawał ziemi do sprzedania. Mam nawet list tego kupca, bo pisał do mnie. Cenę stawia niewysoką, a że, spodziewam się, gleba dobra, więc przyjechałem obejrzeć na miejscu. Da się, kupię... nie, to wrócę z niczem. Czy w tem jest co złego? — spytał, zwracając się do obecnych.

Nikt się nie odezwał, a pan Szaława, który, zrobiwszy wielkie oczy, słuchał Sonkla z uwagą, powstał raptem od stołu i zaczął się przechadzać szybkimi krokami po sali, jakby się nad czemś głębokoko namyślał.

Wreszcie wrócił do towarzystwa i, przysiadłszy obok Sonkla, zaczął:

— Znam tu, jak mówiłem, każdą piędź ziemi... a dalibóg! nie mogę sobie przypomnieć, gdzieby to być mogło. Kupiec leśny... więc chyba ziemia z pod lasu?

Trącił nogą Kotowicza, na Warzyńskiego mrugnął znacząco.

— Zaraz panu powiem—odpowiedział Sonkiel, wydobywając z kieszeni surduta notatkę.— Żyd... Symcha Rajzman... majątek Kościeszówka... Polesia włók piętnaście...—odczytał.

Nie skończył jeszcze, kiedy Szaława, porwawszy się na równe nogi, zaczął się śmiać na całe gardło, dając znaki innym, aby uczynili toż samo.

Sonkiel popatrzył nań ze zdziwieniem, zaniepokojony.

— Z czegoż się szanowny pan śmieje?—spytał wreszcie nieśmiało.

— A bo pana użyto! takiego wygę! takiego wygę!—wykrztusił Szaława.

— Jakto?

— Rzecz prosta. Przedewszystkiem grunt nie Rajzmana, lecz Krzysia Oźgi, naszego sąsiada. Wprawdzie toczy się o to proces, ale rzecz jeszcze nie rozstrzygnięta.

— Właśnie, że już rozstrzygnięta—przerwał Sonkiel.—Czytałem wyrok drugiej instancji...

Stropił się Szaława tą wiadomością, ale nie stracił fantazyi.

— Choćby i tak było... jest jeszcze trzecia. Sprawa pociągnie się jeszcze rok, a może dwa—dowodził w dalszym ciągu z entuzjazmem,—a w dodatku... co za interes? Grunt z pod sosny... piaszczysty... karczunek trudny... robotnik drogi, a co najgorsza, że chłopci uroili sobie jakieś pastwisko i także występują z pretensjami...

Słotwiński spojrział na Szaławę ze zdziwieniem, nigdy bowiem o żadnym pastwisku w Kościszówce nie słyszał, ale nic nie rzekł.

Szaława mówił dalej:

— Ja tych chamów znam. Nie łatwo z nimi trafić do końca.

— Nic mi o tem nie wspomiano — wtrącił Sonkiel.

— Ba! żydzi, chcąc sprzedać, tają... Także mieliby się z czem chwalić! Ile też Symsio żądał?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

Szaława pokręcił głową.

— Ho! ho! ho! a karczunek? bająnskie sumy! Tu wmieszał się do rozmowy Warzyński.

— Poza tem, co już sąsiad Szaława panu opowiedział—zaczął ogólnikowo, aby *koloryzacyi* „księcia“ nie potwierdzić,—na dzie tej sprawy jest jeszcze inna kwestya, którą czuję się w obowiązku szanownemu panu, jako obywatelowi i obcemu w tych stronach, wyjawić. To nieczysta historia! Rajzman po prostu podszedł pana Ożgę...

Sonkiel chrząknął, spuścił oczy, słuchał, nie przerywając.

Warzyński opowiedział szczegółowo przebieg sprzedaży lasu, pomyłkę, jaką w kontrakcie zrobiono, a którą handlarz na swą korzyść wyzyskać się starał.

— I dlatego, choćby ostatecznie pan Oźga przegrał, może Rajzman długo jeszcze czekać na kupca, bo nikt porządny do takiego interesu nie przyłoży ręki. Opinia uczciwych ludzi potępiłaby każdego, ktoby z oszustem w jakiegokolwiek wchodził konszachty—zakończył z niekłamanem oburzeniem.

— Tak! tak! — potwierdzili jednoznacznie wszyscy.

Twarz Sonkla oblała się ponsem. Słowa Warzyńskiego, skierowane wprost do jego osoby niejako, były groźbą, której się nie spodziewał, zasiadając przy stoliku, usłyszeć.

Udawać, że jej nie pojął, nie mógł, a obrażać się, skoro jeszcze interesu nie skończył, nie było właściwie za co.

Osądził też, że najstosowniej będzie z jego strony zasłonić się niewiadomością prawdy, co zresztą w istocie miało miejsce. Przytem rozmowa z Szaławą ostudziła w nim w znacznej mierze chęć do zamierzonego kupna.

Zaczął się tedy wymawiać:

— Gdybym był przedtem o tem, co z ust panów usłyszałem, wiedział, byłbym na pewno nie przyjechał. Słowo uczciwości nie wiedziałem. Jednakże, skoro tu już jestem, kupię... nie kupię... zobaczę. Może się z panem Oźgą da jakiś układzik

zrobić?—rzucił nawiasowo.—Zobaczymy... Zdaje mi się jednak, że z panami sąsiadować nie będę... czego mocno żałuję, bo mi bardzo przyjemnie było poznać...

Co rzekłszy, wysunął się z za stołu pośpiesznie i z przesadną grzecznością pożegnał każdego z kolei.

Nie starano się go zatrzymać; odszedł też zaraz w drugi koniec sali, gdzie już nań oczekiwał wysłany poprzednio do Rajzmana Mendel Sofa. Niebawem obaj wyszli z restauracyi.

Po odejściu Sonkla w gronie sąsiadów Ożgi panowało czas jakiś głucho milczenie. Wszyscy, nie wyjmując Szaławy, stracili na humorze. Zasepiły się twarze, myśli nastroiły smutnie.

Po chwili odezwał się Warzyński:

— Nowy typ obywatela. Nie daj Boże, aby się u nas zagnieździł.

— Myślę, że do tego nie przyjdzie. Nakiwałeś mu sąsiad porządnie, a i ja zbrzydziłem tem *patwiskiem*... Pewnie go ochota do kupna odeszła—uspokajał Szaława.

— I ja tak myślę — potaknął Słotwiński. — Pierwszybym mu ręki nie podał.

— Tacy o to nie dbają—wtrącił Kotowicz.— Pał go sześć zresztą! Co najsmutniejsza, że Krzyś, jak się pokazuje, proces przegrał.

— Jeśli to prawda, to... to...—zaczął Szaława, lecz nie dokończył, bo mu przerwał Warzyński.

— Niestety! prawda. Już wczoraj wiedziałem o tem, ale nie wspominałem, bo na złą wiadomość zawsze pora. Jako wierzyciel hipoteczny, dostałem i ja kopię wyroku. Żal mi Oźgi serdecznie, serdecznie żal! Bo, według mego rachunku—objaśniał,—po odpadnięciu piętnastu włók, wartość Koscieszówki zaledwie długi pokryje. Ja z moją sumą poczekam... nawet się upominać nie będę. Ale są inni... Szkoda człowieka!

— Szkoda człowieka! — powtórzył jak echo Szaława.

I na uśmiechniętej zwykle twarzy „księcia“ odmalował się głęboki smutek.

Siedzieli jeszcze czas jakiś, gawędząc, ale rozmowa już się nie kleiła. Poczęto wołać o rachunek. Zjawił się Pomidorowicz, zapraszał, odradzając wyjazd o spóźnionej porze, zachwalał „wygodne numera.“ Wymowa nie skutkowała.

I znów z ust restauratora wybiegło wspomnienie dawnych, lepszych czasów, kiedy to pan Oźga na walnych jarmarkach bywał. Daremnie jednak powołał się na świadectwo pana Szaławy. „Książę,“ nieusposobiony do gawędy, machnął ręką niecierpliwie.

— Daj mi pan święty pokój! — burknął. — Akurat mi teraz fiu-fiu w głowie!

XI.

Pan Krzysztof Oźga całą noc prawie przepędził nad rachunkami. Dopiero nad ranem rzucił się w ubraniu na sofę, lecz zasnąć nie mógł. Wstał zaraz i wyszedł do gospodarstwa. Z przyzwyczajenia zajrzał do stajen, obory, zaszedł do stodół, pochodził czas jakiś po gumnie i, nie rzekłszy słowa do nikogo, ku wielkiemu zdziwieniu karbowych, wrócił do domu na śniadanie.

Wpadł jak po ogień. Wypił duszkiem szklankę herbaty, uściśnął czule krzątającą się żonę, pogładził złotą główkę Dziuchny, małego Jasia, co już szczebiotać zaczynał, wziął z rąk niańki, pobawił się chwilę z synem i znów wyszedł pośpiesznie, odprowadzony smutnem wejrzeniem żony.

Szukał samotności, potrzebował jej. Widok żony i dzieci krwawił mu serce; uciekał z domu, gdzie wszystko uprzytomniało mu straszną rzeczywistość; z każdego kąta wiała troska i smutek, którym opędzić się nie mógł, na które nie znajdował żadnej rady.

Bo oto po trzech latach usilnych zabiegów, ciągłych kłopotów, po latach ciężkiej walki w obronie gniazda, po złudnych nadziejach, któremi się dotychczas krzepił, musiał sobie powiedzieć, że „niema rady.“

Nie starczyło szczerzej pokuty na zmazanie dawnych grzechów.

Jeszcze po sprzedaży lasu, choć cały fundusz wierzyciele zabrali, a nawet na pokrycie wszyst-

Zrosli z ziemią.

kich długów, jak się okazało, brakło, liczył, że lat parę urodzaju, cen dobrych, przy oszczędności, postawi go na nogi. Liczył na względność Warzyńskiego, który na mały procent sumę nieletnich nadał mu zostawił, liczył trochę na pomoc teścia, a najwięcej na własną pracę, której w samej rzeczy nie szczędził.

Ale i tu spotkał go zawód. Urodzaje wprawdzie dopisywały, ale zboże tak spadło w cenie, że dochód zaledwie na zaspokojenie koniecznych potrzeb i utrzymanie gospodarstwa starczył. Nawet procentów nie było z czego płacić. Zalegały. O spłacie kapitału nie było mowy.

Na pomoc teścia w tych warunkach przestał rachować.

Proński, wywianowawszy córki gotowizną— dla Jangrotowej pożyczył nawet w swoim czasie trzydzieści tysięcy,—wiązał zaledwie koniec z końcem, jak wszyscy zresztą. Przytem gospodarstwo w Prońsku nie szło już jak dawniej. Radca podupadł na zdrowiu, gryzł się złym stanem interesów zięcia, trapił, i w pierw jeszcze od Oźgi zwątpiwszy w pomyslnie zakończenie, wpadł w zwykłą u ludzi starszych apatyę, a raz zdawszy wszystko na wolę Opatrzności, zupełnie opuścił ręce.

Lecz Oźga i w tych twardych okolicznościach nie stracił jeszcze wiary w lepsze jutro. Wyteżał siły, podwajał zabiegi, cudów niemal dokazywał, byle jako tako z roku na rok przeciągnąć. Nie zawsze mu się to udawało, zalegające procenta zwiąk-

szały często sumę długu, ale do ostatniej chwili opędzał się zwątpieniu, krzepił nadzieją, że w przyjaźniejszych okolicznościach, które nadejść powinny, wyrobi się, ojcowiznę oczyści, dla dzieci utrzyma.

Wierzył w to głęboko i wiarę tę dzielił z ubóstwianą żoną, dla której od owej chwili, kiedy wróciwszy z Lipna, wyznał wszystko, nie miał zgoła tajemnic.

A od tej chwili upłynęło lat trzy, lat przepłatanych nierzadko troską, utkanych marzeniami dni lepszych, witanych łzą i uśmiechem na przemian.

Dopiero proces z Rajzmanem, wynikły z nie-dość jasno napisanego kontraktu sprzedaży lasu, proces, który groził oddaniem za darmo znacznej części majątku, piętnastu włók poręby, zachwiał energię Oźgi.

Nie ludził się już, że w razie przegranej czeka go ruina, ludził się jednak jeszcze, że przegrać nie powinien. Prawnicy od razu nie robili wielkich nadziei. Oźga nie szczędził kosztów. Proces włókł się z górą półtora roku.

I ta ostatnia nie, podtrzymująca losy mieszkańców Kościeszówki, szczęła. Oźga przegrał.

Doreczono mu wyrok drugiej instancji, Szalawa pisał, że się już kupcy na porębę do Rajzmana zgłaszają...

Oźgę ogarnęła rozpacz. Ugiął się pod tym gromem, zwątpił.

Opuściły go silna wola i ufność, pierś rozdarł beznadziejny smutek.

Całe szczęście, że wiadomość o nieszczęściu doszła Ożgę późnym wieczorem, kiedy już wszyscy spać się kładli, bo mógł przynajmniej ból i zgryzo-tę utopić w zmrokach nocy, mógł w samotności oprzytomnieć z pierwszego piorunującego wrażenia, mógł kochanej nad wszystko Jadwini kilka osta-tnich może godzin spokoju i nadziei darować.

Dla niego znikły one na zawsze. Została mu tylko rozpaczliwa odwaga spojrzenia nieszczęściu w oczy.

Jakoż widział jasno, że teraz już niema żadnej rady, że naprzeciw niego idzie ruina, że już go bezlitosną dłonią chwyta, zgnieść usiłuje i... zgniecie.

Noc spędził nad rachunkami. Chciał ściśle po-znać stan majątkowy, Nigdy dokładniej nie liczył.

I cyfry powiedziały toż samo: ruina!

Przy najpomyślniejszym zbiegu okoliczności, gdyby się udało sprzedać Kościeszówkę z wolnej ręki, mogło mu się zostać wszystkiego kilkanaście tysięcy... Ale czy się taki kupiec w tych czasach znajdzie? Czy wierzyciele dadzą mu czas go wy-szukać?

Zakotłowało mu w głowie, pierś zalała go-rycz, wszystkie tętna serca uderzyły bólem, w mó-zgu dzwoniło żalobnem echem: Straconel wszystko straconel

Nie było ratunku. Ożga czuł się bezradnym, złamanym, opanowało go przygnębienie, niechęć do wszelkiej walki z zawistnym losem, żal straconych bezowocnie wysiłków. Bierne poddanie się torowało sobie drogę do jego duszy.

Wtem wspomniął o żonie, o dzieciach... I zdjął go strach... opuściła odwaga rezygnacyi, umysł zaczął przeczyć strasznej rzeczywistości i szukać jakiej „dobrej myśli,“ któraby stracone złudzenia zastąpić mogła.

Ożdze brakło siły do wypowiedzenia żonie prawdy nagiej, prawdy bezlitosnej... Jak przedtem odrzucał, tak teraz łaknąć począł choćby okrucich nadziei, któreby rozmiar nieszczęścia zmniejszyły. Ale nadzieja, raz odbiegłszy, już więcej do jego duszy wrócić nie miała.

I oto daczego, unikając widoku swoich kochanych, swoich drogich, wybiegł z domu i szedł teraz w szczerze pola, pod niebo jasne w samotności przetapiać smutek i zgryzoty!

Lipcowe słońce dogrzewało silnie, bieląc półdojrzałe niwy. Od zachodu pociągał wiatr ciepły, biegł grzbietem pól, przesmykiem miedz przelatował, brózdami w środek zboża się wciskał... Niwy falowały, szeleszcząc ciężkim kłosem. Strząsana wiatrem rosa poranna spływała po błyszczących w słońcu żdźbłach żyta i pszenicy, chłodząc spragnioną ziemię. Z ziemi bił szmer cichy: dzwoniły koniki polne, cykały świerszcze, ptactwo odzywało się świergotem; ponad ziemią dźwięczała pieśń

skowronków, z łąnów, pól i łąk płynął pogwar ludzkich głosów. W powietrzu pełno było blasków, ciepła, woni i szeptów radosnych bogatej urodzajem ziemi..

Oźga szedł bez celu. Jarzące słońce rzucało w zasępioną twarz jego ulewę blasków, powiew wiatru wicherzył przeplecione przedwcześnie srebrem płowe włosy, a on szedł, błędząc okiem po okalających polną drogę ścianach ozimin, na nic nie zwracając uwagi, jak gdyby punktu oparcia dla wzroku nie znajdował.

Niekiedy przystawał, tarł chmurne czoło dłonią, czasem chwycił w rękę pęk kłosów, wygniałał twardejsze ziarno i, nie obejrzawszy, rzucał machinalnie w pył drożny. I znów ruszał na przód z jakimś gorączkowym pośpiechem, jakby przed czemś uciekał lub coś gonił. Minął orzące koniczysko pługi, przeszedł obok kładących rzepak żeńców, wbrew zwyczajowi nie zatrzymując nigdzie.

Tylko wzdychał głacho raz po raz, za głowę się chwycił i szeptał drżącymi wargami bezładnie: „Stracone! stracone!“

W miarę oddalania się od folwarku ogarniał go coraz większy rozstrój, coraz donośniej dzwięczało straszne pytanie: co począć?

Powtarzał je sobie po tysiąc razy, żadnej nie znajdując odpowiedzi. „Dobra myśl“ nie przychodziła.

Wreszcie ruch, wysiłek fizyczny i powietrze świeże zaczęły oddziaływać.

Ożga uczuł niejaką ulgę; chaotyczny zamęt, jaki go zewsząd otaczał, cichł, ustępując miejsca wyczerpaniu.

Kończyły się właśnie pola orne. Z drugiej strony drogi, którą szedł, rozciągała się duża, pusta przestrzeń... poręba.

Ożga postąpił kilka kroków, wszedł w środek i usiadł na pierwszym napotkanym pniaku. Siedział jakiś czas nieruchomy, z okiem utkwionem w uschlą gałązkę leżącego przy jego nogach chróstu. Nawet myśl przestała pracować. Dumał tylko.

Nagle rozległ się turkot wozu, w powietrzu przeleciała nuta piosenki. Ożga podniósł głowę, spojrział.

Drogą ku wsi toczył się wóz drabiniasty.

Chłop stał na spodniarce, postrzeliwał z bata, nucąc wesoło.

Wzdrygnął się. Coś niby zazdrość szarpnęło mu sercem. Spuścił w dół oczy.

I znów wspomnienia uderzyły falą. Nikły jedne, rozbrzmiewały drugie, a każde rodziło ból, oblewało smutkiem, każde mówiło: za późno!

W oczach Ożgi pojawiły się łzy, drżące wargi bezwiednie powtórzyły: „za późno!”

Wszystko za późno!

I trzy lata wysiłków, i praca, i ten żal nawet, który mu teraz piersi wypełniał, wszystko przychodziło za późno.

Ożga płakał...

Wreszcie wstrząsnął się całym ciałem, porwał na równe nogi, obejrzał trwożliwie na okół i... promień słońca załamał się na błyszczącym przedmiocie.

Ożga mierzył... we własne serce.

Mierzył długo, chciał trafić celnie... raz skończyć.

Wtem tuż obok niego rozległ się głos ludzki:

— Niech będzie pochwalony!

Ożga nerwowym ruchem opuścił broń, w bok uskoczył. Krew uderzyła mu do głowy... Z poza krzaka puszczającej się w porębie osiczyzny ukazała się najpierw lniana główka małej dziewczynki, a potem rumiana postać chłopki...

— Niech będzie pochwalony! — zabrzmiało znów.

— Na wieki wieków! A, to wy Stykowa! Cóż tu robicie?—zaczął teraz zdławionym głosem, ocierając zimny pot z czoła.

Stykowa schyliła się do kolan.

— Za jagodami chodzimy, wielmożny panie! Wczoraj wielmożna dziedziczka obsyłała, żeby uzbierać...

— To dobrze! to dobrze...—odezwał się, aby coś odpowiedzieć, a potem z niejakim lękiem w głosie dodał: — A ja... tak w pole wyszedłem i zaraz wracam.

Chłopka skłoniła się znów i chciała odejść.

Zatrzymał ją gestem i, ukazując na trzymającą się matczynego fartucha dziecko, spytał:

— To mleczna siostrzyczka mej Dziuchny?

— Tak, wielmożny panie!

— Ładne dziecko... a jaka duża!

— Z łaski Boga chowa się zdrowo...

— Chodźże tu do mnie... niech ci się przypatrzę... Jakże jej na imię?

— Także Jadwisia — odrzekła Stykowa, prowadzając dziecko.

— Także Jadwisia — powtórzył, gładząc matkę po głowie. — Także Jadwisia...

— A i synka dał nam Pan Bóg także Jasia... jak u wielmożnych państwa! — pochwaliła się.

Ożga westchnął.

— Wszystko jak u nas! oj, nie wszystko! Ale bywajcie zdrowi — dokończył szybko, czując, że dłużej nie zapanuje nad sobą, i prawie pędem puścił się ku domowi. Biegł..

W powietrzu robiło się coraz parniej, pod słońcem zaczęły przelatywać kłębiaste chmury, ni-by dymy kurne nad ogniskiem, górą stropem niebios szedł huk głuchy. Zanosiło się na burzę.

Nagle błyskawica rozdarła chmury, przelatując złocistym węzem ku ziemi. Zadygotało w przestworzu, zawył raptownie wicher, rozległ się trzask tępy piorunów. Potem sunął od chmur cień szary, zgasił blaski.

Ożga zwolnił kroku. Spojrzał ku górze. Z niewielkiej, zawieszanej nad jego głową chmurki ode-

rwało się żółtawe pasmo, runęło w dół, rozsypując się po horyzoncie sznurem, do bicza odpustowych paciorków podobnym.

I w bladą twarz Oźgi sypnął grad, kalecząc lodowym pociskiem do krwi.

Oźga instynktownie przystoził twarz rękoma, ale z miejsca nie ruszył.

Grad siekł. A on stał odrętwiały, na ból nie zważając, z ramieniem w górę wzniesionem, jakby do walki wyzywał niszczący żywioł. Zaciśnięte nerwowo szczęki nie puszczały żadnego dźwięku.

Tylko ze źrenic, utkwionych w łopocące w przestworzu tumany, strzelała jakaś groza i zaciętość.

Bo oto pod wrażeniem klęski, która już bez jego przychodziła winy, uczuł w duszy bunt przeciw zawistnej doli, ścigającej go z taką zaciekłością. Przetlona nieszczęściami chęć oporu odżyła na nowo, świeża rana wzbudziła czucie bólu i potrzebę, konieczność ratunku. A nadewszystko jakiś głos dobry, kojący, zaczął mu szeptać pocieszeniem, że świeże nieszczęście nie jest największem, że stokroć groźniejszego uniknął przed chwilą, że to nowe ugodziło bez jego woli, a tamto... tamto sam ścigał na swą głowę. Mówił mu jeszcze ten głos dobry, że niema niedoli, któraby dolę na zawsze wylepić mogła, bólów wieczystych, nieszczęść bez kresu, po których już szczęście nigdy nie wraca, prócz jednego... I jeszcze mówił o tych najbiedniejszych, którzy we własnych piersiach nawet żalu nad sobą

nie znajdują, o żalościach krzepiących, o prawie do takiej żalości.

Ożga słuchał tych szeptów, które mu się pociechą w piersiach rozlały. I nagle niezwykle jakieś radosne wzruszenie zajrzało mu w serce, jakaś moc słodka przebiegła w żyłach. Odczuł, że najbiedniejszym nie jest, że taką krzepiącą żalność ma w sobie, że na nią zasłużył, że mu wolno żałować samego siebie...

I teraz prawie z wdzięcznością spojrzął ku przelatującym chmurom. Burza cichła.

Z pomiędzy rozstrzępionych obłoków wyrzwał krąg słoneczny, niebo jaśniało, błękitniało coraz szerzej, coraz więcej. Tylko z oddali dolatywał jeszcze szum nawałnicy i widać było staczające się ku ziemi obłoki, olbrzymią wstęgę, która się kładła na pola pasem białym, do łanu zakwitłej tataraki podobnym. I chłód przejmujący wiał zewsząd.

Ożga patrzył spokojnie na obraz zniszczenia.

Najbliższe niwy legły przybite gradem. Z działu żyta sterczały pogieęte źdźbła, zmulone kłosa chwiały się gdzieniegdzie, spływające z brózd strugi niosły wytłuczone ziarno.

Szczęściem nawałnica szła wązką tylko smugą. Już w sąsiednim obsianem pszenicą polu grad nieznaczną wyrządził szkodę.

W Oźdze zaczęło rość serce...

— Chwała Bogu! — szepnął i szybkim krokiem ruszył na obejrzenie pól dalszych.

Jarzyny stały nietknięte.

— Chwała Bogu!—powtórzył znów.

O rzepak był już spokojny, mimo to skierował się w tę stronę.

— Trzeba będzie kazać ściąć gradowiznę i żytnisko zasiać wyką. Przynajmniej będzie pasza—rozważał.

Za chwilę wydawał z ożywieniem dozorującemu żniwa rzepaku ekonomowi odpowiednią dyspozycję. Poczciwy Pietroszewski dawno już dziedzica *takim* nie widział.

Zdziwiony wielce, że Oźga tak spokojnie o doznanej klęsce rozpowiada, ośmielił się wreszcie spytać z niejakim powątpiewaniem:

— To chyba, panie dziedzicu, całego działka żyta nie wytlukło?

— Caluteńkil i pszenicy się krzynkę dostało.

— Straszne nieszczęście! — westchnął ekonom.—Tu kropla deszczu nie padła. Myślałem, że stronami przejdzie — dodał i jeszcze raz powtórzył:—Straszne nieszczęście! a pan dziedzic jakby nigdy nie...

— Cóż chcesz, żebyśmy beczał jak dziecko? Trzeba się starać złe naprawić. Ot, co nam zostało do zrobienia, panie Pietroszewski!—odrzekł prawie wesoło Oźga.

Poklepał starego sługę po ramieniu i zamyslił się.

— Bywały większe nieszczęścia i... przechodziły — dokończył po chwili zmienionym tonem, spojrzawszy w stronę poręby.

Odwrócił się raptownie, aby ukryć wzruszenie. Poczem zaczął iść szybko ku domowi, kilkakrotnie powtarzając z wyrzutem:

— Jak ja nawet mogłem o czemś podobnem pomyśleć! jak mogłem!

Burza przeszła.

Tymczasem pod nieobecność Oźgi zaraz z rana już drugi gość zajeżdżał przed kościeszowski dworek. Pierwszy, dowiedziawszy się od służby, że pan w polu, odjechał natychmiast; powiedział zaledwie, jak się nazywa.

Nazwisko było nieznane nikomu, twarz obca.

Drugiego znali wszyscy, bo dziedzic Pękocławia częstym tu bywał gościem.

Nikogo też ranna wizyta Chojnackiego nie zdziwiła, a najmniej panią Krzysztofową, którą jeszcze przy śniadaniu z dzieciarnią zastał. Powitała go serdecznie, jak zwykle, zapraszając na herbatę. Siadł za stołem, wziął na kolana Dziuchnę, która sama do chrzestnego tatusia przybiegła, i miał już rzucić stereotypowe „co u państwa słyhać?“ — lecz, spojrzawszy w znękaną twarz Krzysztofowej, umilkł.

Jakoż pytanie było niepotrzebne. Ta twarz mówiła niepytana: troska.

Chojnacki objął jej postać smutnem wejrzeniem. Była piękną jak dawniej, tylko oczy miały teraz jakiś wyraz zmęczenia, cera straciła świeżość, czoło karbowano maleńkie, zaledwie dostrzegalne brózdki.

Serce uderzyło mu żywiej, zaczął się pieścić z Dziuchną—i dopiero po chwili, zdobywając się na sztuczny spokój, zaczął:

— Krzysia, jak widzę, niema?

— Wszedł w pole. Może posłać?

— O! nie potrzeba. Mam wprawdzie do niego interes... ale mogę załatwić innym razem. Nic pilnego. Dziś nawet nie mam zbyt wiele czasu. Skorzystam za to z dogodnej sposobności, bo pragnąłbym z panią pomówić...

— Ze mną?

— Tak. Jeżeli pani pozwoli—potwierdził głosem przyciszonym, proszącym niemal, a brzmiącym tak jakoś niezwykle, że Krzysztofowa zaczęła nań spoglądać wielkimi oczyma, zdziwiona, zakłopotana, jakby się lękała usłyszeć słów, które z ust jego wybiedz mogły.

Zawahała się, zalękała.

Nie była to trwoga, lecz raczej bojaźliwe przeczucie, że ją spotka coś niespodziewanego—pytanie lub prośba, na którą nie będzie mogła dać odpowiedzi szczerzej,—życzenie, któremu, mimo chęci, zadość uczynić nie jest w stanie.

Gorący rumieniec wystąpił na oblicze Krzysztofowej, pierś poczęła falować przyśpieszonym oddechem, jakaś myśl boląca zakłuła w serce.

Ale to trwało krótko, sekund zaledwie kilka. Bo oto po chwili zaczęła się wstydzić tej myśli, opędać się jej usilnie, żałować, że zrodzić się mogła.

Przed nią stał człowiek, dla którego miała szacunek wielki i więcej niż szacunek, bo był jej bratem po sercu,—człowiek, do którego nieraz w strapieniu biegła—myślą—o pomoc, który w jej szczęściu widział własne i poprzestawał na tem,—człowiek, któremu się dobra wiara należy.

I zdjął ją żal serdeczny, że wiary tej przed chwilą nie miała.

Więc zaraz zaczęła patrzeć inaczej, już bez krzywdzącej bojaźni, tylko z tem przenikliwym zaciekawieniem, które za przyzwolenie starczy, które, uprzedzając słowa, potakującą daje odpowiedź.

Nawet niewymuszony uśmiech przemknął teraz po ustach Krzysztofowej i utonął gdzieś w tych dołkach, które się jeszcze nieproszonego rumieńca nie pozbyły.

— Służę panu. Siadajmy!—odezwała się swobodnie, ukazując na stojącą w rogu jadalni kanapę. — Tu nam będzie wygodniej. Proszę... panie Franciszku!

Sama też, nie zwlekając, siadła, robiąc Chojnackiemu miejsce obok siebie, i jakby dla ośmieszenia dorzuciła:

— Sami jesteśmy... Straszniem ciekawa!

Teraz po Chojnackiego twarzy przesunął się niepokój, wahanie, nieśmiałość.

Kilkakrotnie otwierał usta, ale widać nasuwane pamięcią słowa nie odpowiadały myśli.

Bo istotnie to, co wypowiedzieć pragnął, trudno było ująć w słowa, jak wszystko zresztą, co

w sercu wzięwszy początek, w mózgu środków uwidocznienia szukać musi.

Czas jakiś panowało kłopotliwe milczenie. Krzysztofowa nerwowo gładziła rozsypane nad czołem włosy, Chojnacki wpatrywał się uporczywie w wiszący nad biurkiem portret paniński pani domu. Wreszcie wyraziste rysy Chojnackiego przyobiekła spokojna powaga, z siwych oczu znikło wahanie. Rozprostował się, przysunął bliżej, i spojrzawszy pogodnie w twarz Krzysztofowej, począł miękkim, prawie śpiewnym głosem:

— Pani Jadwigo!.. Czy przypomina sobie pani lat temu cztery... w sam chrzest Dziuchny wypowiedziane słowa? Rozmawialiśmy wtedy, a raczej ja sam twierdziłem, że w każdym z nas osiadłych na roli odradzają się, jak nowa trawa z każdą wiosną, zalety lub wady przodków...

Krzysztofowa słuchała z uwagą.

— Wtedy to w łaskowości swej raczyłaś pani wyrazić zdanie, że... ja... że mnie...

— Żeś pan przejął w spuściźnie wielką prawość i zacne serce! — przerwała żywo. — Ja to zawsze mam w pamięci, bo pan... zapomnieć nie pozwala — dodała wzruszona i cudne jej oczy nagle wilgotnieć zaczęły.

Chojnacki skłonił się nisko.

— Tem lepiej dla mnie! — mówił dalej — bo właśnie o to tylko chciałem panią prosić, abyś nigdy nie wątpiła, że zawsze pragnąłem i pragnę sądzić tak pochlebny usprawiedliwić i — tu głos mu się za-

łamał—chciała wierzyć, że w postępkach mych...
jedyną pobudką jest powinność prawego człowieka.
Jedyną!—powtórzył z naciskiem.

Spojrzała zdziwiona.

— Nie rozumiem pana — szepnęła. — Czyżby
pan posądzał mnie, że kiedykolwiek fałszywie...

Chojnacki ruchem zaprzeczył.

— O! pani Jadwigo! to zastrzeżenie na przy-
szłość wyłącznie—przerwał, podnosząc jej rękę do
ust.

— Na przyszłość?—powtórzyła pytająco.

I znów oczy jej spoczęły badawczo na powa-
żnej Chojnackiego twarzy.

On zaś mówił dalej, coraz szybciej, jakby się
bał zapomnieć ułożonej w słowa myśli:

— Bo, widzi pani... Czy pani nie zauważyła,
że są chwile w życiu ludzkim, jakby zsyłane lo-
sem na przypomnienie, że jesteśmy sobie bliźniami
i... jako tacy mamy mało już prawo, ale obowiązek
święty pomagać jedni drugim... że więc... nie po-
winno się nikomu zabraniać spełnienia obowiązku,
przeciwy prawu, z którego każdemu korzystać do-
zwolono...

Krzysztofowa, w miarę jak mówił, zaczęła
coraz lepiej pojmować, do czego zmierza. Na twa-
rzy jej wykwitł gorący rumieniec, na rzęsach za-
świeciła łza. Uczuła w sercu słodycz, w piersiach
jakaś moc wzruszającą, do wdzięczności podobną.
Czuła, że słów takich słuchałaby długo, bardzo
długo, bo każde z nich mówiło otuchą, niesło ufność,

Zrośli z ziemią.

pokrzepienie, tłumiło smutki. I oto zrodziła się w niej niewinna chęć przedłużenia rozmowy, oczy zaczęły nabierać figlarnego wyrazu i z półotwartych ust mimowoli wybiegło:

— Tak... o ile bliźni nie korzysta już z „praw wyjątkowych...”

Chojnackim wstrząsnęło lekkie drzenie.

— Z praw wyjątkowych?.. Czy dobrze sły-
szałem?—spytał po małej przerwie.

— Tak — odpowiedziała. — Tak, panie Fran-
ciszku!

Chojnacki przymusił się do uśmiechu, ona zaś po chwilowym namyśle rzekła jeszcze.

— Tak, panie Franciszku! A pan właśnie do
tych wyjątkowych bliźnich należy.

Teraz głos jej brzmiał poważnie, słowa z tru-
dnością przeciskały się przez drżące wargi.

— Będę otwartą. Pomówmy szczerze. Ja
pana teraz dobrze rozumiem—mówiła, rumieniąc się
coraz więcej.—Ja wiem zresztą to nawet, że pan
panu Warzyńskiemu *w sekrecie* poręczył odbiór su-
my, jaką ma u nas... Ja to odgadłam... przeczułam.
Ja wiem, że... że... pan chciałby nam pomódz... I pro-
szę mi wierzyć, że niczyjej pomocy nie przyjąłabym
wdzięczniejszem sercem. Ale, panie Franciszku!
czasem najszlachetniejsze uczucia muszą ustąpić
przed...

— Urojoną przeszkodą—przerwał żywo, z nie-
zwykłym zapalem.

— Przed wspomnieniami — dokończyła szep-
tem.

Twarz Chojnackiego powlokła się chmurą,
w siwych uczciwych oczach mignął przelotnie ból,
czoło zaczęło się brózdzić.

Westchnął. Krzysztofowa wyciągnęła doń
obie ręce. Pochwycił je skwapliwie, ucałował.

— Racz mię pani posłuchać jeszcze — przemó-
wił znów. — I ja będę otwartym, do zbytku może
otwartym.

— Słucham pana.

— Ja znam i na równi z panią uznaję wa-
żność przyczyny... Niegdyś miałem śmiałość sięgać
po szczęście dla innego przeznaczone... Rozumiem,
że Krzys do mnie o pomoc nie zwróci się nigdy! —
zawahał się. — Cierpiałaby na tem jego duma... Ja
to rozumiem i nie wolno mi lekceważyć niczyich
uczuc, ja to w Krzysiu cenię... wysoko cenię... bo to
charakter! — mówił z coraz większem przejęciem. —
Sam nawet w takim położeniu uczuwałbym może
pewien skrupuł...

Spojrzał na słuchającą w zamyśleniu Jadwigę
i urwał, bo w tej chwili wydało mu się, że on nie
miałby żadnych skrupułów, że bez rozmysłu rzucił-
by w kąt wszystkie uczucia, a zachował tylko je-
dną wielką, bezgraniczną miłość.

Ale tego nie powiedział. Tylko, nie kończąc
już przerwane go zdania, zaczął na nowo:

— Nie przeczę, że gdybym kiedykolwiek
w życiu znalazł sposobność i możność udowodnie-

nia, jak drogie dla mnie są te... wspomnienia, byłbym niewymownie, niewymownie szczęśliwym; lecz w obecnej chwili nie marzę nawet o tem. Prośba, jaką zaniósłem, pani Jadwigo! zawiera tylko bardzo egoistyczne życzenie. Użyję porównania... starej dla dzieci bajki: Jesteśmy wiązanką, pękiem kijków... Własny interes nakazuje nam strzedz pilnie, aby z tej wiązanki żadnego nie ubyło.

Znów urwał. Krzysztofowa milczała, przyciskając drżącą ręką skronie, na które wystąpiła błękitna siatka żyłek.

Jaskrawy promień wybijającego się słońca zajrzał ciekawie w niskie szyby dworku, padł między dwie pochyłone wzruszeniem głowy pasmem złotem i unoszące się z serc dwojga marzenia w rozświetl migotliwą zagarnął.

Chojnacki, jakby w obawie świetlanego świadka, powstał i kończył z pośpiechem:

— Więc, gdyby przyszłość zesłała mi kiedykolwiek sposobność pośpieszenia z pomocą, uczyniłbym to z powinności obywatelskiej, bo jestem także jednym z kijków w tej wiązce. Z powinności obywatelskiej — powtórzył z naciskiem, — a na tem chyba niczyja już duma cierpiećby nie mogła.

Odetchnął głęboko, poczem, zniżając głos, spytał:

— Wszak prawda? Niczyja? Czy pani wierzy moim słowom?

Chwilę nie było odpowiedzi, więc ponowił pytanie. Skinęła głową.

— Dziękuję. Zależało mi na tem tyle... „co na życiu,“ chciał powiedzieć, ale nie dokończył jeszcze, kiedy Krzysztofowa wybuchnęła płaczem.

Chojnackiego odbiegła powaga, ściągnięte rysy zaczęły drżeć nerwowo, wargi chlipać...

— Pani Jadwigo! pani Jadwigo! Na miłość Boską! co pani?—jąkał, ujmując jej ręce.

— Nic... nic... — odrzekła, z trudnością łyzy powstrzymując.—Zwykłe wzruszenie... A to wszystko przez pana—dodała, siląc się na żartobliwość.

Chojnacki również starał się przymusić do uśmiechu i żartem pokryć zmieszanie.

Jął więc potakiwać gorąco:

— Pewnie, że przeze mnie... pewnie, że przeze mnie... Sam nie wiem, skąd mi przyszło do głowy nudzić panią jakimiś zwierzeniami i prośbami. Tak jakby ktoś mógł *przyszłość* przewidzieć!... Niechże mi pani wybaczy... Pesymistyczny nastrój to wada każdego samotnika...—mówił, nie dając jej przyjść do słowa, a potem, ujrzawszy bawiącą się w kąciku Dziuchnę, pobiegł szybko i wziął malutką w ramiona. Huśtał, podrzucał w górę, łachotał wąsami, gził się jak dzieciak! Czynił to początkowo dla przerwania drażliwej dyskusyi, ale następnie tak się rozochocił, że pani Jadwiga, która już cołwiek ochłonęła z przebytych wzruszeń, aż mitygować musiała.

— Panie Franciszku! co pan wyprawia! Dziuchna! puść pana!

Ale Dziuchna ani myślała „puścić pana;“ przeciwnie, jeszcze silniej objęła rączkami szyję Chojnackiego i, zwieszona przez ramię, chichotała dźwięcznym, srebrnym głosikiem, unosząc merdające stopki w górę i pokrzykując: „*tocham* pana! *tocham* pana!“

A „panu“ jakoś dziwnie świeciło teraz w oczach. Przyciskał twarz do kędzierzawej główki, lgnął ustami do różowego ciała, całował raz po raz w „ślepkę, nosik, broduchnę“ i gonił koło stołu, wołając:

— Nie dam Dziuchny! nie dam!

Wreszcie „mamusia,“ widząc, że strofowanie nie skutkuje, wdała się czynnie w te figle, odbierając przemocą zanoszącą się od śmiechu córkę.

Chojnacki zadyszany rzucił się na stołek.

— A co? — przemówił, nawiązując rozmowę. — Przydałbym się na piastunkę?! Zgodzę się do państwa od Nowego Roku...

Krzysztofowa westchnęła.

— Od Nowego Roku—powtórzyła, a potem zamysłając się, szepnęła smutnie:

— Kto wie, gdzie nas Rok Nowy zastanie...

Chojnacki udawał, że nie słyszy. Zaraz też zaczął mówić obojętnym tonem o gospodarskich sprawach, o cenach zboża, o urodzajach, które w tym roku zapowiadały się dobrze.

— U państwa zboża znakomite—chwalik:— nigdzie takich nie spotkałem! Już to przyznać trzeba, że Krzyś, jako agronom, przoduje okolicy. Co

on z tej Kościeszówki zrobił! Dzieckiem pamiętam, za nieboszczyka połowy pól nie siano... odłogi... ugory... A teraz! pszenica jak las... Macie państwo przy drodze jęczmień... dalibóg! takiej rzęsy, jak żyję, nie widziałem. Da co najmniej ziarn kilkanaście! Byle tylko pogodnie sprzątnąć, powinni na słód dobrze zapłacić. Zboże cokolwiek poszło w górę—dodał.

— Mówił mąż, że i rzepak prześliczny—prze-mówiła Krzysztofowa, pocieszona nieco.

— Rzeczywiście bardzo piękny.

— Krzyś obiecuje sobie w tym roku część długu panu Warzyńskiemu spłacić. Mój Boże!—westchnęła — żeby nie ten proces! tobyśmy przy oszczędności mogli jeszcze wyjść z interesów. Pan był niedawno w Warszawie... nie słyszał pan przypadkiem, jak sprawa stoi?

— Nie. Nic nie słyszałem—skłamał bez namysłu, domyślając się, że Krzysztofowa jeszcze nie wie o przegranej.

— Może to i lepiej—pomyślał, i spojrzawszy na zegarek, zaczął się zbierać do wyjazdu, mówiąc:

— A to się zasiedziałem! Dziesiąta! Muszę śpieszyć, bo będę miał dziś kilku sąsiadów u siebie. Będzie próba pługów nowego systemu. Jeśliby Krzyś znalazł chwilkę wolną, możeby wpadł po południu...

Uścisnął Dziuchnę, złożył pocałunek na rękę Krzysztofowej i z głębokim ukłonem skierował się ku drzwiom. Z progu zawrócił jeszcze, przystanął.

— Niechże mi pani będzie *dobrej myśli*—wy-
rzekł z naciskiem,—*dobrej myśli*... Z Nowym Ro-
kiem zgodzę się za piastunkę!—zażartował, i nim
zdążyła cośkolwiek odpowiedzieć, wyszedł.

Po odjeździe gościa Krzysztofowa uczuła się
jakby znużoną, wyczerpaną. Siadła przy oknie,
i bawiąc się miękkimi kędziorkami wspartej o ko-
lana matczyne Dziuchny, zadumała się głęboko.
Ogarnęła ją rzewność i jakieś nieuchwytnie prze-
czucia zaczęły krążyć w sercu.

Nagle głuchy łoskot wstrząsnął domem. Spoj-
rzała z przestraczem w okna. Od zachodu toczył
się wał czarny, pokrywał kłębami chmur jasność
dzienną i huczał potężnie.

Krzysztofową zdjął najpierw lęk wielki, zi-
mny dreszcz przebiegł jej w żyłach; załamała ręce,
a potem, jakby niewidzialną mocą pchnięta, pobie-
gła szybko do sypialni. Po chwili wróciła z książ-
ką do modlitwy, i gorączkowo odszukawszy stronic
z Ewangeliami, postawiła w oknie otwartą, proro-
czem słowem na chmury zwróconą.

I oto wiatr zmienił kierunek, lipy i brzozy
pochylały się teraz w przeciwną stronę... Huragan
zwinął skrzydła, zwolnił biegu, cofał się bokiem.
Huk cichł... a w zamian w duszy Krzysztofowej
brzmiało coraz donośniej krzepiące: „Bądź dobrej
myśli!“

XII.

I rzeczywiście, w samym folwarku i na blizkich dworu polach burzy nie było. Ale wracający na południe z bydłem pastuch dowodził, że pod lasem „biło, aż strach! i grad młócił!“ Wystraszona Jadwinia z bolesnym niepokojem oczekiwała powrotu męża. Ten zaś wrócił dopiero na sam obiad, zmieniony bardzo, ale nie zgnębiony, i zaraz począł uspokajać:

— Niepotrzebnieś się wylękała, Jadwichno— mówił tklawie, obejmując kibić żony. — Z dużej chmury mały deszcz. Ja sam myślałem, że będzie gorzej. Skończyło się na strachu.

— Podobno pod lasem grad padał?— spytała, patrząc mu w oczy.

— Pa...pa...dał, ale szkody wielkiej nie zrobił. Nawałnica szła wążutkim pasem... Żyto trochę przetrzepało, ale pszenicy nic... No, na rzepaku... wiesz!? kropla deszczu nie powstała!

Opowiadał z ożywieniem, lekceważąc umyślnie poniesione straty, zdobywając się na wejrzenie pełne otuchy, którem rzucał raz po raz w przysłonione aksamitną rzęsą źrenice Jadwini, jakby chciał wybadać, czy jego słowa wiarę czy wątpliwość budzą. Garnął się przytem tak obcesowo do jej ust, tak częstymi pocałunkami obsypywał, że Jadwinia, świadoma wrażliwości męża na każdą klęskę, poznać go teraz nie mogła i z niejakim zadziwieniem słuchała tego, co mówił.

Krzyś, nie puszczając jej od siebie, rozpowiadał szeroko: o burzy, o rzepaku, o pszenicy, gdzie był, co widział,—tylko o Stykowej, o jagodach nie wspomniał.

A jednak pamiętać musiał, bo w końcu głos mu się załamał, oczy zawilgły i zaraz począł wołać małej Dziuchny do siebie, a potem Jasia wziął z rąk niańki i pieścił się z obojgiem czule, jak człowiek stęskniony, który po długiej nieobecności z dalekiej niebezpiecznej podróży na łono ukochanej rodziny powraca.

I—jak przedtem ekonom—tak teraz Jadwina zauważyła w duchu, że Krzysia dawno *takim* nie widziała.

Wydało jej się, że we wszystkim, co czynił, co mówił, w słowach, ruchach, pieszczocie, pocałunkach nawet, zaszła jakaś zmiana, że powoduje nim inna jeszcze, prócz woli, siła.

A równocześnie odczuła i to, że ta moc nieznaną jest dobrą mocą i to, że ją tylko wielki ból i wielki żal zrodzić mogły.

Sama też, zapatrzywszy się w twarz męża, poczuła się krzepszą na duchu i weselszą. On zaś, napięściwszy się z dziećmi, chodził dużymi krokami po pokoju, pogwizdując jakiegoś marsza i nucąc, co mu się już dawno nie zdarzało. Czasem jednak, przystanąwszy, zamyslał się głęboko.

Po chwili podszedł znów do żony, znów ją w pól objął, i jakby nurtującą mu od dawna w głowie myśl wyjawiał, rzekł:

— Mówią, że bieda biedę rodzi... a ja myślę, wiesz, Jadwiniu? że bieda biedę i kończy... Mam jakieś przeczucie, że ten grad to już ostatnie zło, jakie nas w Ko... w życiu dotyka.

Wolał powiedzieć w „życiu,” niż w „Koście—szówce.“ Wydało mu się to więcej pewnem i bardziej od jego woli zależnem.

Ona zaś odrzekła, składając ręce:

— Daj Boże! Krzychu! Daj Boże!

— Bo, widzisz, największe zło już przeszło— zaczął znów, nie mówiąc, „jakie“ to największe zło przeszło.—I jakoś trzymamy się cało. Żeby tak mógł skąd na mały procent wyrwać pieniędzy... o Warzyńskiego mi nie chodzi... a tych łapserdaków, co mię ze skóry zdzierają, pospłacać... kto wie, czybym się w lat parę z interesów zupełnie nie wygrzebał...

Jadwini zrobiło się nagle gorąco; przyszedł jej na myśl Chojnacki, jego gotowość pomocy, życzliwość szczerą. Usłyszane przed chwilą słowa męża zdawały się usuwać przeszkodę, której się obawiała. I zaczęła rozważać, czy nie lepiej będzie od razu powiedzieć, że Chojnacki z ochotą wygodzi pożyczką, gdyż sam to dawał do zrozumienia. Zawahała się jednak. I zrobiła dobrze, gdyż oto w dalszych słowach męża znalazła niebawem wskazówkę, jak wielką przykrość sprawiłoby Krzysiovi samo podsufwanie takiej myśli przez nią.

Bo właśnie mówił w dalszym ciągu:

— Ale to ciężka sprawa! Między szlachtą bieda wogóle, każdy się kurczy... do tych zaś, co mają... nie chciałbym pukać.

Znów zaczął chodzić tam i napowrót wzdłuż pokoju.

Nagle spytał:

— Jadwiniu! Bardzoby ci żal było Koście-szówki?

Pytanie to zaskoczyło ją niespodziewanie. W pierwszym momencie nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

— Bardzo. Ale, jak Bóg zrządzi, tak będzie, Krzychu!—odrzekła po chwili wymijająco.—A tobie?—spytała nawzajem.

Odpowiedział krótko:

— Żal... ale ty jesteś bardzo dobra, Jadwiniu!

I dwa odrębne na pozór pojęcia: własnego żalu i jej dobroci, zlały się mimowolnie w umyśle jego w jedną łączną całość. Nie zdając sobie sprawy, dlaczego, odczuł, że ten żal i ta dobroć mają jakąś nić wspólną, która je jednoczy, i grunt jednakowy, na którym się spotykają.

Więc zaczął, całując ręce Jadwini, z gorączkowem przejęciem powtarzać:

— Tyś bardzo dobra! bardzo dobra! ty nie wiesz nawet, jakaś dobra!

Ona zaś wiedziała w tej chwili jedno: że cokolwiekby ją przy jego boku dotykało, inną mu być nie powinna i nie będzie.

Zarzuciła też obie ręce na jego szyję, szepcząc
pieszczotliwie:

— Mój Krzychu! mój Krzychu!

A potem, jakby przypominając cudze słowa,
dodała bezwiednie, cichym, tkliwym głosem:

— Bądź dobrej myśli!

I oto chmurniejący już wzrok Ożgi począł
znów nabierać wyrazu energii i hartu, a z pół-
otwartych ust wybiegło:

— Będziemy sobie radzić jak można.

Tymczasem podano obiad.. Obecność niańki
przerwała prowadzoną dotychczas rozmowę. Mó-
wiono o rzeczach potocznych. Krzysztofowa teraz
dopiero przypomniała sobie, że o bytności tak nie-
znajomego interesanta, jak i Chojnackiego, nic do-
tąd mężowi nie mówiła, więc rzekła:

— Zapomniałam ci powiedzieć, że miałam
z samego rana dwóch gości. Przyjechał jakiś pan...
pan... Sonkiel, pytał się o ciebie.

— Sonkiel? Nie znam. Nie mówił, jaki miał
interes?

— Nie. Odjechał zaraz. Widać nic ważnego.
Był także pan Chojnacki.

— A! Franiol

— Chciał się z tobą zobaczyć, ale mu się
bardzo śpieszyło, bo dziś w Pękocławiu próba no-
wych pługów. Właśnie prosił, żeby ci o tem powie-
dzieć. Możebyś przyjechał do Pękocławia?

— Miałbym ochotę... Ale przyznam ci się, że
jestem tak zmęczony... Dziś mało spałem...

— To się lepiej prześpij po obiedzie, Krzychu!—doradziła troskliwie.

— Tak też zrobię—odrzekł.

Jakoż po obiedzie poszedł do swego gabinetu, legł na sofie, ale, mimo zmęczenia, zasnąć na dobre nie mógł. Drzemał tylko z zamkniętymi oczyma. Głowa zaczęła go boleć, a pierś przytłaczała duszność. Podniósł się też wkrótce, drzwi oszklone, wiodące do ogrodu, roztworzył, siadł na progu, i oddychając szybko świeżem powietrzem, dumiał.

Tak siedzącego zastała Jadwinia, która weszła do gabinetu przed wieczorem z doniesieniem, że Mendel Sofa z jakimś pilnym interesem przyjechał.

Ożga kazał go przywołać.

Niebawem zjawił się Sofa i, kłaniając się uniżenie, z miną tajemniczą zaczął:

— Ja do jaśnie pana przyjechałem umyślnie... Miałbym coś ważnego do powiedzenia.

Obejrzał się dokoła, dając do zrozumienia, że pragnie mówić w cztery oczy.

— Zostaw nas samych, Jadwiniu—rzekł półgłosem Ożga.

Krzysztofowa wyszła.

Ożga padł na kanapę i niecierpliwym tonem rozkazał:

— Mów!

Faktor jeszcze raz powiódł wzrokiem wokół, chrząknął kilka razy, a potem, przybliżając się do siedzącego, zniżonym głosem rozpoczął od wymy-

ślań na Rajzmana, którego za ostatniego oszusta uważał.

— Niech jaśnie pan nie myśli, że wszystkie żydki takie — mówił, mrużąc małe, przenikliwe oczy. — Są gałgany, ale są i porządni ludzie. Rajzman, zwyczajny oszust! ale i na niego znalazł się sposób... Same żydki znaleźli... Jak tylko zrobiło się wiadomo, że wielmożny pan już proces przegrał, tak zaraz wsiedli na niego, żeby z jaśnie panem zrobił zgodę, żeby odstąpił porębę... odprzedał! Musiał przystać. Ja wiem, co on odstąpi i pieniądze poczeka...

Na czoło Oźgi wystąpiły sine pręgi. Skupiał myśli, nie mogąc jeszcze dokładnie zdać sobie sprawy z usłyszanej wiadomości. Żyd uważnie śledził każdy ruch jego twarzy.

— Ciekawym, ileby żądał ten łajdak! — odezwał się po chwili Oźga.

— Onby żądał pięćdziesiąt... tyle mu nawet dawali. Ale my od jaśnie pana kazaliśmy brać tylko czterdzieści tysięcy — odpowiedział pośpiesznie faktor i, podsuwając się jeszcze bliżej, dodał:

— I na rozpłaty i na poczekanie. Trzeba tylko hypotekę dać...

— Gdybym się zgodził, to dam — odrzekł Oźga.

Teraz na twarzy faktora odmalowało się jakby zakłopotanie. Począł przestępować z nogi na nogę, kręcił głową, kościste palce w rzadką brodę

zapuszczając, przelykał głośno, nie mówiąc słowa, jakby mu w krtani zatkało.

Oźga spojrział pytająco i powtórzył:

— W razie zgody dam hypotekę.

— W tem właśnie kłopot, jaśnie paniel—pośpieszył wreszcie z odpowiedzią— że, bez urazy, hypoteki tak dobrze jak niema... Ale może być! może być! Może być i czysta hypoteka i więcej jeszcze—dopowiedział żywo, widząc, że Oźga gniewnie brew ściąga.— My o tem wszystkim pomyśleli...

— Mów!—rozkazał sucho Oźga.

— Jaśnie pan znał młodego Pałkowskiego?

Krzysztof potrząsł przecząco głową.

— Jego ojciec miał u nas przed laty aptekę. Dorobił się trochę grosza... kupił synowi o parę mil stąd majątek... Nie pamiętam, jak się nazywa...

— Mniejsza o to.

— Młody, jak młody, nie długo się zabawiał. Narobił długów i uciekł w świat! A wie jaśnie pan, jak stary Pałkowski oczyścił majątek? ja zaraz powiem...

Tu przerwał i spojrział w stronę Oźgi, jakby oczekując przyzwolenia.

— Mówże!—zabrzmiało po chwili.

Żyd zaczął znów:

— Ale poco nam stary Pałkowski?! ja jaśnie panu doradzę wprost od siebie, jak zrobić...

Oźga poruszył się niespokojnie.

— Mówże prędzej! nie nudź!

Faktor podsunął się jeszcze bliżej i prawie szeptem mówił:

— Jeszcze wszystko można uratować... Jaśnie pan ma długi na hypotecę... jest pan Warzyński, jest kilku naszych i kto inny się trafi... Może nie być nikogo!

Serce Oźgi zabiło młotem, twarz zaczęła drgać nerwowo, na czoło wystąpiły krople potu.

Sofa, jakby umyślnie dla podsycenia ciekawości, znów zamilkł.

Do pokoju wciskał się już mrok wieczorny. Z odbłaskiem zapadającego słońca mieszały się cienie zbliżającej nocy, ciemniało, zasypiało powoli wszystko, cichło. Tylko przez uchylone drzwi dołatywał z ogrodu chłód i poświst zapomnianych przez poranną burzę resztek wiatru.

Sofa, umilkłszy, rozglądał się trwożliwie po wszystkich kątach. Rzucał badawczem okiem po ścianach, spojrzął na wiodące do dalszych pokojów drzwi, na siedzącego w zamyśleniu Oźgę.

Szyderczy uśmiech przemknął przelotnie po ruchliwym obliczu fatora.

— Gadajże!—przynaglił Oźga.

Ale Sofa milczał. Wyjął z flegmą tabakierkę, zażył tabaki, dopiero ukończywszy tę czynność, jął mówić szepleniącym, przyciszonym głosem, a tak szybko, jakby się obawiał, że mu w końcu tchu braknąć może.

— Jaśnie panie! o tem wszystkim, co powiem, sekret! inaczej nicby nie było... Pan potrze-

Zrosli z ziemią.

buje zrobić układ z Rajzmanem... On przystanie... tylko jaśnie pani także podpisze. Potem trzeba wszystko, co się zbierze, wymłócić... można trochę inwentarza sprzedać... trochę na jesieni nie dosiać... I... dopiero puścić Kościeszówkę na licytację! Niech się jaśnie pan nie boi! tylko słucha... Ja wiem, że jaśnie panu byłoby bardzo żal taki majątek po ojcach puścić w obce ręce... Ja wiem...

Ożga siedział zasłuchany, bez ruchu, jakby do miejsca przykuty. Chciwie chwytałe uchem słowa miały dlań jakiś czar piekielny. Wcisnęły mu się wprost w duszę pokusą, rozbudzały nieuchwytnie pragnienia i żądze, a jednocześnie przejmowały na wskrós odrętwiającem uczuciem bezsilności i trwogi. Uczuł w głowie szum, myśli zaczęły się plątać bezładnie; ogarniały go coraz większy niepokój i żal. A żal miał teraz coś poniżającego w sobie. Nie był to już cichy, rzewny smutek, lecz bezwzględne, zimne, męczące przygnębienie—ból wstydzający.

I Ożga poczuł w sobie wstyd, który, w miarę jak żyd mówił—rosł, potężniał, krzewiąc się jak polip w całej jego duszy i zmysłach. I nie było dlań tamy, bo oto też same piekące słowa sączyły z siebie lep jakiś, który do skołatanego umysłu przywierał i wszelką chęć ubezwładniał...

Ożga słuchał, niekiedy tylko zwieszoną głowę podnosząc i rzucając z dyszącej piersi chrapliwe: „mów! mów!”

A żyd mówił:

— Ja wiem, że jaśnie panu byłoby żal... Ale niema strachu... Teraz ziemia niełakoma... Zresztą, kto mógłby kupić?... Pan Warzyński?...

— Mów!

— Jemu, jaśnie pan wie najlepiej... jemu nie wypada... na licytacji... kto słyszał! Z *naszymi* będzie układ—przedstawił.—Więc kto kupi? Pan Warzyński... nie, *nasi*... nie! Przyjdzie licytacya... stanie jaśnie pani i kupi na swoje imię za byle col za połowę szacunku! I hipoteka będzie czysta... Wtedy... wtedy...

Ożga rozprostował się całym ciałem, aż szczętko, powstał, lecz padł zaraz na kanapę, robiąc ciężko pierśią i zimnym jak stal wzrokiem objął całą postać stojącego nieopodal faktora.

Tego zdjął niepokój, zamilkł. Wydało mu się, że w oczach Ożgi widzi teraz jakby przeblysłk długo hamowanego gniewu. Odstąpił kilka kroków w tył, bojaźliwie spoglądając ku drzwiom.

Mrok coraz gęstszy rozpinał ciemną zasłonę wokół, tylko na złożonych ramach rodzinnych portretów, zawieszonych na ścianach gabinetu, błaskał się jeszcze ostatni promień zachodzącego słońca.

Przez chwilę milczeli obaj, bo i Ożga, wróciwszy do nieruchomej pozycyi, z podpartą oburącz głową, siedział jak skamieniały, bez słowa. Wreszcie z ust jego wybiegło znów krótkie, urywkowe, ale tym razem groźne:

— Mów dalej!

Więc nastraszony nieco faktor, zmieniając ton, po niejakiem wahaniu począł jękliwie:

— To jest jedyny sposób, jaśnie panie... Nie będzie żadnych długów... nikt jaśnie panu nic nie zrobi... A potem, jak będzie można, to jaśnie pan zapłaci panu Warzyńskiemu i tym innym... Będą lepsze lata, to się zapłaci... Na początek trzeba tylko jednemu Rajzmanowi dać pewność... Jaśnie pani dziedziczka musi mu dać pierwszy numer—wykładał, urywając w ustępach.—Niech mię jaśnie pan posłucha, to jedyna rada! inaczej będzie źle... Ten łajdak Rajzman... nie będzie chciał czekać inaczej... gotów subhastować... I co wtedy będzie? Jaśnie panie! kto ma dzieci...

Przerwał, bo w tej chwili dał się słyszeć jakiś szelest w pobliżu, jakby odgłos cichych kroków, a równocześnie silniejszy powiew wiatru wtargnął przez uchylone ościeże do pokoju, zaszeleścił leżącymi na biurku papierami, załopotał po obiciu ścian, poruszając ramami portretów.

Ożga machinalnie podniósł głowę, spojrzął na chwiejące się wizerunki przodków.

Szmer ustał. Sofa znów postąpił krok na przód i, nawiązując myśl przerwana, kończył:

— Kto ma dzieci, jaśnie panie! powinien myśleć, żeby im co zostawić. Czy nie mam racji, jaśnie panie? Czy nie mam racji?—powtórzył, a potem dodał jeszcze tonem delikatnej przestrogi, w której jednak tkwiła na dnie groźba i postrach:—

Niech jaśnie pan nad tem pomyśli, bo inaczej może być źle!

I umilkł, czekając odpowiedzi.

Lecz Oźga nie odpowiadał nic, bo w tej chwili odchodziła go już przytomność. W głowie, w piersiach, sercu, duszy całej miał tylko jeden wielki jęk wszystkich dobrych ludzkich uczuć. Bo oto na wspomnienie dzieci zaczęła w nim naprzód kwilić rodzicielska miłość, po pulsujących gorączkowo tętnicach poszedł ból od serca, zatargał, porząsał nerwami i całą pierś aż po krtań wypełnił.

Potem ten ból rodzicielski stał się z innym, jeszcze potężniejszym, więcej jeszcze goryczy mieszczącym bólem, który spływał na Oźgę z dalekich wyżyn, niejako z zakrain niewidzialnych, i rył się w duszę, krusząc każdą czującą tkanę.

I dwie fale uczuć, piekące żarem, siekące jak różgi, zwały się z sobą w chaotycznym uścisku, walcząc zawzięcie o ubezwładnioną rozterką wolę...

Wtem w martwych oczach Oźgi pojawił się błysk dziki, pierś wyprężyła się gwałtownie, wydając chrup bezdźwięczny, w twarz uderzyła ulewa krwi szlacheckiej, pokrywając policzki purpurą. Bo oto w tej chwili w rozbolełej jego duszy zwyciężała szlachetna duma pokoleń, które tej ziemi czystymi rękoma broniły, zwyciężała uczciwa szlachecka godność—i zwyciężyła.

Oźga, jakby podrzucony niewidzialną siłą, powstał nagle.

Wyczekujący faktor wziął to za objaw zgody i dla dotuszenia jął przedstawiać jeszcze:

— Kto ma dzieci, powinien im zostawić...

Lecz w tym momencie głos zamarł mu w gardle.

Ożga szedł ku niemu z groźnie zaciśniętymi rękoma, krwawo-siny, dygocący, straszny.

— Jaśnie panie! — jęknął, cofając się ku drzwiom.

Nie zdążył jednak, bo w tej chwili pochwyciły go żylaste dłonie...

I Ożga runął nań z przejmującym do szpiku krzykiem:

— Precz! precz! łajdaku! kusicielu! precz!

A potem pchnął z całej siły przed siebie, ale i sam zatoczył się równocześnie i stanął jak wryty.

Przez uchylone sąsiedniego pokoju drzwi padała struga światła. Na progu stała Jadwinia.

Machinalnie zasłonił twarz oburącz, nie śmiejąc postąpić kroku.

Wreszcie z kurczowo-zaciśniętych ust jego wymknęło się westchnienie i szept zdławiony.

— Słyszałaś?

Ona zaś, niby duch dobry, podeszła prędko i, nie odpowiadając nic, oplotła rękoma szyję męża.

— Słyszałaś? — jęknął znowu.

Przyłożyła lepkie wargi do jego rozpalonego czoła.

— Tak — odrzekła łagodnie.

— Ruina! ruina! Wszystko stracone! Niema ratunkul! Trzeba będzie w świat!... za chlebem! gdzie oczy poniosą! — mówił bezładnie, rozpaczliwym, nieswoim głosem—gdzie oczy poniosą!

— Byle z tobą, byle z czystym sumieniem, byle... bez krzywdy ludzkiej... Krzychu!—odpowiedziała, garnąc się do jego piersi.

Wziął ją w objęcia i zatrzymał długo.

— Moja dobra! moja dobra!—szeptał, okrywając pocałunkami—moja dobra!

Na inne słowa nie mógł się zdobyć w tej chwili.

I tak stali czas jakiś obok siebie uściskiem złączeni, niby dwa krzewy, wzajemnej podpory szukające.

Milczeli oboje—tylko serca mówiły do siebie przyśpieszonym tętnem.

Wreszcie z ust Ożgi wybiegło, jakby do niego samego zwrócone:

— Dzieci! dzieci! co im zostanie?

Jadwinia spojrzała nań pogodnym wzrokiem, a potem, podsunąwszy mu pod brodę dłoń miękką, skierowała lekko głowę męża za strugą płynącego po ścianach gabinetu światła. Popatrzył w tę stronę.

Światło biegło z portretu na portret, rozjaśniając szlachetne twarze pradziadów.

— Dobrze imię—szepnęła teraz.

On ryknął płaczem.

XIII.

Radca Proński od pewnego czasu podupadał coraz więcej na zdrowiu i gospodarstwem prawie zupełnie zajmować się przestał, wyręczając się Jan-grotem, który, mieszkając blisko, codzień do Proń-ska dojeżdżał, teścia we wszystkim zastępując.

Prócz zwykłego podeszłemu wiekowi osłabie-nia, zgnębiły pana Kwiryra interesa Oźgi, którym zaradzić nie mógł, a głównie pełne wyrzutu przy-pomnienie, że uczestnicząc w sprzedaży lasu, bez-wiednie ruinę zięcia przyspieszył.

Na tym punkcie czuł się niepoczyszonym, a nie mogąc znaleźć skutecznej rady, starał się w końcu unikać wszystkiego, coby mu w pamięci ów fakt odświeżyć mogło. Więc przedewszystkiem wyrzekł się osobistego kierunku gospodarstwem, nawet do gumien rzadko wychodził, bo tu wszystko przypominało mu mimowoli Kościeszówkę. Nie wyjeżdżał też z domu prawie nigdzie, aby ludziom smutnem obliczem nie świecić. Niekiedy wyjątkowo wpadał do Barszczewskiego, aby się czegoś nowego dowie-dzieć i uzbierany smutek z piersi w pogawędce wy-rzucić, zaglądał czasem do Kościeszówki, bo cho-ciaż miał do zięcia urazę, jednakże kochając Krzy-cha bardzo, nie chciał mu tak widocznie nieukont-entowania okazywać. Poza tem nie bywał u ni-kogo, lecz odsunąwszy się umyślnie od świata i lu-dzi, w samotności szukał ukojenia troski o przy-szłość ukochanej córki i wnucząt.

Najczęściej zamknięty w swoim pokoju stawał *ad infinitum* pasyanse, lub czytał gazety, układając polityczne horoskopy.

Były to jedyne przyjemne dla pana Kwiryna chwile. Zatopiony w czytaniu, zdawał się zapominać o wszystkim, a jeśli jeszcze gazety przynosiły mu jakąś kombinację polityczną po sercu, wpadał w złoty humor i Jangrotowi przy spotkaniu opowiadał z chwalbą:

— Widzisz! od razu mówiłem, że tak będzie!

W równej mierze gryzł się radca Kwiryn, gdy „plany“ niedopisały, co, nawiasem mówiąc, o wiele częściej się zdarzało... Zwłaszcza z Bismarkiem nie mógł sobie Proński dać rady, a cła zbożowe spotęgowały jeszcze wrodzoną nienawiść do żelaznego księcia, któremu wszystko złe, poczynsz od upadku Napoleona, przypisywał. Więc ilekroć kanclerz niemiecki poniósł porażkę w parlamencie, cieszył się radca Kwiryn tak, jakby go osobiście największe szczęście spotkało, — przeciwnie, gdy bismarkowska idea brała górę, martwił się, chmurniał, tracił apetyt i na gwałt układał nowe, wrogie dla zamiarów niemieckiego premiera powikłania.

Na takiej zabawce, która powoli przeobrażała się w manię, schodziły Prońskiemu dnie i tygodnie. Stopniowo obojętniał na wszystko, a wzwyższy się do takiego trybu życia, żył po prostu życiem sztucznym, które mu jednak najzupełniej wystarczało, nierad był też, jeśli mu cośkolwiek rzeczywistość przypomniało.

Właśnie—a było to w jaki tydzień po owym pełnym dla mieszkańców Kościeszówki wstrząśnięć dniu—siedział radca Proński na ganku, czytając *Gazetę Warszawską*, zły i skwaszony, bo oto bonapartyści, wbrew jego przewidywaniom, ponieśli przy wyborach sromotną porażkę, a Rzeczpospolita utrwałała się coraz silniej, gdy lokaj przyniósł mu list i wręczając, rzekł:

— Z Konopnicy. Posłaniec czeka na odpis.

Proński z niechęcią rozerwał kopertę, mrużąc:

— Pewnie Warzynder (radca w ostatnich czasach nazwiskom osób mniej lubianych zwykł był nadawać końcówkę niemiecką) o procencie przypomina. Już to mój pan zięć punktualnością nie grzeszy...

Lecz skoro tylko zaczął czytać, twarz mu się rozjaśniła.

Pan Warzyński nie tylko, że się o procent nie upominał, ale przeciwnie, w dopisku zawiadamiał, że tak na kapitał jak i procent może jeszcze poczekać, w samym zaś liście prosił, aby kochany radca w dzień Świętego Ignacego domek jego swą obecnością koniecznie zaszczycić raczył. Pisał przytem, że się spodziewa kilkunastu osób, a między nimi i Krzysia, i nadmieniał, że, poza przyjemnością ujrzenia drogich gości pod swoją strzechą, skłania go do tej prośby inny jeszcze powód wielkiej wagi, o którym jednak na razie musi zachować milczenie, odkładając szczegółowsze wyjaśnienie do chwili,

w której szanownego sąsiada będzie miał szczęście w Konopnicy powitać.

Radca ze zdumieniem odczytał list i przez chwilę wahał się, jaką dać odpowiedź. Nie wypadało jednak odmawiać, choćby przez wzgląd na Oźgów, którzy od grzeczności Warzyńskiego zależeli. Odpisał przeto Proński, że „będzie służył,“ choć w głowę zachodził, co Warzyńskiego do tak *ekstraordynaryjnego* zaproszenia zniewoliło.

— Coś w tem jest—rozważał.—Za lepszych czasów nigdy imienin nie wyprawiał, a teraz raptem mu się zachciało. Coś w tem jest!

A tak go ów zapowiedziany „fest“ w Konopnicy zachęcił, że dni kilka o czem innem nie rozmawiał, ustawicznie wracając do tej materyi. W końcu jemu i pani Tekli wydało się najprawdopodobniejszym, że pan Ignacy chce przy tej sposobności bratanka, Stasia Warzyńskiego, w świat wprowadzić i okolicznemu obywatelstwu zaprezentować, a że zaproszony również Jangrot skwapliwie podzielił domysł teściów, więc Proński tem bardziej i nieodwołalnie postanowił życzeniu Warzyńskiego zadość uczynić.

Niemniejsze zadziwienie, a powtóre i zakłopotanie, wzbudziły zaprosiny pana Warzyńskiego w Kościeszówce.

Krzyś początkowo miał zamiar wymówić się grzecznie nawałem zajęć gospodarskich i interesów, co zresztą było prawdą.

Lecz ostatecznie też same, co i teścia, względy doradzały mu skorzystać z uprzejmości sąsiedzkiej, tem bardziej, że na dobrych stosunkach z życzliwym wierzycielem obecnie więcej jeszcze niż poprzednio zależało.

Potrzebował czasu do wyszukania kupca na Kościeszówkę, gdyż ostatecznie, rozpatrzywszy się na chłodno w interesach, doszedł do przekonania, że sprzedaż majątku z wolnej ręki jest jedyną najpomyślniejszą dlań drogą wyjścia ze smutnego położenia. A chociaż myśl rozstania się z ojczystem gniazdem była dlań nader bolesną, znajdował nie małą ulgę, pokrzepienie i przykład pokornego poddania się woli Opatrzności w Jadwini, która od owej rozprawy z Sofą niewysłowioną słodyczą obejścia i spotęgowaną jeszcze miłością zbroiła go w męstwo i otuchę. Czuł się też Oźga mężniejszym i spokojniejszym niż przedtem, a raz pogodziwszy się z przeznaczeniem, dokładał tylko sił wszelkich, aby powzięte zamiary bez nowych przeszkód do skutku doprowadzić.

Więc przedewszystkiem, jedynie dla zwłoki, polecił swemu adwokatowi przenieść sprawę o porębę do ostatniej instancji, a sam, zakrzętnąwszy się, z „nowego“ procenta drobniejszym wierzycielom podoręczał, zaś panu Warzyńskiemu gotował się w początkach jesieni razem i bieżące i zaległe odsetki zapłacić, równocześnie prosząc o dalszą prolongatę kapitału. Obawiał się jedynie, czy wobec

zachwianego stanu majątkowego Warzyński na propozycję tę przystanie.

To też, o ile w pierwszej chwili zakłopotał się zapraszającym listem Warzyńskiego, o tyle po namyśle wizyta w Konopnicy wydała mu się bardzo dobrym pretekstem do równoczesnego ubicia interesu. Zdecydował się przeto stanowczo jechać. Teraz chodziło wyłącznie o Jadwinię, którą Warzyński najsolennie zapraszał, ona zaś nie miała wielkiej ochoty, obawiając się odjeżdżać dzieci, ile że Jasiowi zaczęły się wykluwać ząbki i malec niedomagał.

Lecz i ta przeszkoda została usunięta. W przeddzień imienin zjechała do Kościeszówki bona z dziećmi Bortnickich, wysłana przez panią Julię, która się również do Konopnicy wybierając z mężem, prosiła, aby przez ten czas dziatwa pod okiem Gęgarzewskiej pozostać mogła.

„Będę spokojniejszą, a i ty o swoje—pisała,—gdyż w ten sposób to bona, to Gęgarzewska będzie mieć nasze pociechy na oku. Tylko zapowiedz, żeby Adasiowi nie dawać owoców i żeby nie pił zimnej wody... Chciałam dzieci sama do was odwiedzić i przy tej sposobności uścisnąć cię, moja droga! i nagadać się z tobą, a mam wiele do pomówienia, ale krowa złamała nogę, odprawiłam pastucha i robię bulion, więc się ruszyć nie mogę, aż skończę. Do widzenia zatem, kochana Ja-

„dziu, w Konopnicy! Przyjedź koniecznie! zobaczysz, że ci coś dobrego powiem.“

Jakoż po otrzymaniu „żywej przesyłki,“ Jaddwinia nie opierała się więcej i w dzień Świętego Ignacego obydwójce Krzysztofostwo wyruszyli do Konopnicy.

Tu oczekiwano ich przyjazdu niecierpliwie. Uradowany gospodarz wybiegł przed ganek, i podziękowawszy za złożone na wstępie życzenia, wrócił do salonu coprędzej, mówiąc:

— Tylko nam państwa brakowało jeszcze, bo już wielu łaskawych na starego zrzędę przyjechało. Państwo Jangrotowie są... państwo Bortniccy są... Kotarscy są... Jest pan Szaława... Chojnacki, a nadewszystko kochany, zacny radca nie odmówił i na równi ze mną kochanych państwa z niecierpliwością wygląda.

Zgromadzeni w salonie goście powitali przybyłych wesołymi wykrzyknikami. Proński, niezwykle rozpromieniony, wziął w objęcia naprzód córkę, a później Krzysia w czoło kilkakrotnie pocałował, a miał taką minę, jakby mu coś nadzwyczajnego powiedzieć pragnął, bo już usta otwierał szeroko, lecz stojący obok gospodarz powstrzymał go znaczącym gestem, więc tenże, zamiast czego, począł tylko chrząkać, pomrukując:

— Jak się masz! jak się masz! cóż tam słyhać?

Poczem zawiązała się ożywiona rozmowa o tem i o owem. Rej wodził, jak zwykle i wszędzie, pan Szaława, a że mu właśnie pani Bortnicka do-

piero co opowiedziała o smutnym losie dorzniętej krowy, więc pokpiwając sobie, zaczął z udaniem ubolewaniem dopytywać się o szczegóły, dotyczące nieboszczki, o wiek, o rasę, przymioty, o znaki szczególne, o przyczyny nieszczęsnego wypadku.

— Pewnie holenderka?—pytał.

— A jakżeł czystej krwi. Niech mąż... niech Adaś powie!

— A młoda?

— Czteroletnia. Niech Adaś powie.

— No i jakże się to stało?—ciągnął za język rozgadaną kobiecinę, kiwając głową i uśmiechając się ukradkiem, Szaława.

A pani Julia, zawsze powołując się na świadectwo rozmawiającego w tej chwili z panem Kotarskim męża, opowiadała w dalszym ciągu z coraz większym zapałem:

— Wstałam rano do doju... jak zwykle, niech Adaś powie, bo i jego budzę. Wydojono przy mnie, kazałam wody naciągnąć pełne koryta, bo właśnie dałam krowom soli...

— Niech mąż powie! — mruknął półgłosem Szaława, podrzeźniając.

— I wyobraźcie sobie moi państwo! spuszcza ją bydło z łańcuchów, a ten *doniczego* Filip, zamiast roztworzyć wrota na ścieżaj, uchylił tylko połowę wrótni. Ja na niego! niech Adaś powie... a tu akurat patrzę, biedna *boczula* uderzyła się o futrynę i kuleje... Patrzę... nogą powłóczy... Dalej ja do krowy... Noga złamana. Niewiele myśląc, da-

łam Filipowi w kark i wypędziłam na cztery wiatry! Niech Adaś powie!

Szaława, z trudnością powstrzymujący się od śmiechu, wybuchnął teraz w głos:

— A to szybki wymiar sprawiedliwości! Już się zasłużyć zasłużył ten Filip *doniczego*.

— Alem go z powrotem przyjęła, bo mi się żal zrobiło—wtrąciła Bortnicka, nie sobie z ogólnej wesołości, jaką opowiadanie wzbudziło, nie robiąc.

— To jeszcze piękniej—podchwycił, nastrajając się poważnie, Szaława,—jeszcze piękniej, pani dobrodziejko! Dziwi mię tylko jedna rzecz... a mia-
nowicie...

— Co takiego? co takiego?—spytała, poruszając się, mimo okazałej tuszy, z żywością na krzesłku.

— Że pani osobiście dogląda udoju... dobrze, że krówkiem soli daje... wybornie, że Filip „doniczego...” zgoda, że to wszystko prawda... wierzę, skoro (tu ukazał ręką na Bortnickiego) jest świadek pod ręką. Ale... dlaczego pani dobrodziejka, mając Adasia w pobliżu, nie wyręczyła się mężem w wymiarze sprawiedliwości?... to przechodzi moje pojęcie! Nawet skutek byłby lepszy...

— O! nie wiem!—odcięła żywo, ukazując utuczoną piąstkę. Ale zarumieniała się przytem po same uszka, bo poczęto się śmiać okrutnie.

Co zauważywszy, „książę,” rad z konceptu, począł zaraz przyzywać Bortnickiego, wołając:

— Chodźno tu, „świadku!“ Pokaż swoją prawicę!

Lecz ten, znając Szaławę na wylot i domyśliwszy się z zasłyszanej rozmowy, o czem rzecz idzie, nie ruszył się z miejsca, tylko spojrzawszy z ukosa na „księcia,“ rzekł:

— Sąsiada zawsze się żarty trzymają. Ktoby się domyślił, że to już szósty krzyżyk za pasem!

Szaława, który zawsze przy spotkaniu miał z Bortnickim utarczki, a na wszelkie przycinki o wieku był nader drażliwy, zmarszczył brew i już miał ostro odpalić, ale w tej chwili zaturkotało, dał się słyszeć przeciągły świst i czwórka kasztanków mignęła pod gankiem.

— Kotowicz! — zauważył głośno Szaława, podbiegając ku oknu. — Śwista na konie, jak na psy—mruknął i skrzywił się, przypomniawszy sobie o owym wyścigu z Oźgą.

Gospodarz wyszedł szybko do sieni na spotkanie gościa, niebawem też wrócił z panem Kotowiczem razem. Ten, powitawszy obecnych, skinął na Chojnackiego i, odprowadziwszy go na bok, rzekł:

— Siedziałem do tej chwili u rejenta. Wszystko gotowe. I ustępstwo i cesya...—I podał mu plik papierów, które Chojnacki pośpiesznie schował w kieszeń.

Poczem wrócił do towarzystwa, a Kotowicz znów gospodarza odciągnął na bok i coś mu z żywieniem rozповідаł. Ten zaś przywołał z kolei

Bortnickiego i Kotarskiego, podeszła do nich również pani Julia i wszyscy razem rozmawiali przez chwilę po cichu, niekiedy z ukradka w stronę siedzącego obok Jangrotowej Ożgi spoglądając.

Układano widocznie jakąś niespodziankę, czy też chciano coś w tajemnicy przed Ożgami zachować. Tak się przynajmniej wydawało Jadwini, która już od dawna coś niezwykłego w zachowaniu się obecnych dostrzegłszy, z niejakim niepokojem patrzyła teraz na rozmawiających na uboczu. Również i Krzyś, choć miał innemi myślami zajętą głowę i mniej zwracał uwagi na to, co się wkoło niego działo, czuł się jednak jakby odosobnionym. Spojrzał pytająco na żonę. Jadwinia odpowiedziała wejrzeniem.

A potem wzrok obojga padł w stronę Chojnackiego, jakby w jego twarzy szukali rozwiązania zagadki. Lecz Chojnacki rozmawiał najswobodniej z panem Prońskim, poważny, jak zwykle, spokojny, pogodny. Niekiedy tylko kąty ust zadrgały mu nerwowo i w jasnych źrenicach przebiegło mgłą zamyslenie.

Tymczasem podano obiad. Zrobił się rum i ruszono do stołu parami.

Chojnacki znalazł się przy Krzysztofowej, pojął jej ramię i powiódł w milczeniu. W niej serce zabiło żywiej, bo oto wydało się jej, że drżał cały i tylko wzruszenie odbierało mu mowę. A nie czuła teraz, idąc przy Chojnackiego boku, żadnej bojaźni, nie lękała się słów, które każdej chwili z ust

jego wybiedz mogły, owszem pragnęła je usłyszeć i w miarę, jak się posuwali zwolna za drugimi, ogarniała ją coraz większa ciekawość i chęć dowiedzenia się, jaka myśl tę pocziwą głowę zaprzęta. Albowiem wierzyła, że ta myśl może być tylko dobrą, podniosłą, więcej niż zacząć nawet, bo szlachetną, a jednocześnie rodziła się w jej duszy dziwna pewność niedalekiej, wielkiej radości, czegoś, co prawdziwego szczęścia bardzo blizkie, tylko jeszcze cenniejsze, bo je serdeczną wdzięcznością, jak wszystko stracone a odzyskane powrotnie, okupić trzeba.

I takim przecuciem wiedziona, zaczęła naprzód patrzeć w twarz Chojnackiego przenikliwie, a potem, gdy doszedłszy do miejsc, przeznaczonych u stołu, puścił jej ramię, spytała nagle miękkim, pełnym słodyczy głosem:

— O czem pan myślał w tej chwili, panie Franciszku?

On zaś, podsuwając krzesło, odrzekł z uśmiechem:

— Ach! jaka pani ciekawa!...

I odszedł szybko na drugi koniec stołu, gdzie obok radcy Prońskiego zajął miejsce.

Krzysztofowa, z trudnością panując nad wzruszeniem, zaczęła pośpiesznie jeść zupę, łykając łyzy rozrzewnienia, cisnące się gwałtem do oczów, nie patrząc na nikogo, nie odrywając utkwionego w porcelanową zastawę wzroku.

Po chwili dopiero, uśmierzywszy rozczulenie, odważyła się spojrzeć przed siebie. Wejrzenie jej padło najpierw na siedzącego przy Jangrotowej męża. Na twarzy Krzysia znać było przymus i zakłopotanie, nie licujące z chwilą. Na pytania Jangrotowej odpowiadał urywkowo, często skinieniem głowy tylko, jakby mu wszelka rozmowa ciążyła.

Ale i na twarzach innych osób dostrzegła Krzysztofowa podobny jak w mężowskim obliczu wyraz, tylko więcej do wstrzemięźliwie hamowanego zaciekawienia zbliżony. Uderzył ją przytem nastrój poważny, jakaś nienaturalna oględność w prowadzonych półgłosem rozmowach i jakby brak szczerości we wszystkim, na co jej źrenice patrzyły. Natomiast wydało się Jadwini zupełnie pewnem, że stan taki jest tymczasowym, że lada chwila przeminie, a po nim nastąpi to właśnie, na co wszyscy zdawali się z niecierpliwością oczekiwać, to, czego pragną, a strzegą się wyjawić przedwcześnie.

Jakoż istotnie większość biesiadników nie zdradzała zwykłej ochoty do pogawędki.

Krzykliwa zazwyczaj Julka Bortnicka teraz półszepcem zwierzała się pani Kotarskiej ze swych kłopotów gospodarskich i macierzyńskich, opowiadając szczegółowo przebieg subiekcyjonalnej słabości najstarszej pociechy, dwuletniego Adasia. Przytaczała z ubolewaniem stosowane w kuracyi dyetyczne środki, jak „niejedzenie surowych owoców i niepicie zimnej wody,“ co jednakże nie przeszkadza-

dzało jej samej ćwiczyć z apetytem i dobierać raz po raz z obnoszonych przez służbę półmisków. Siedzący nieopodal Bortnicki robił toż samo, niekiedy z pod oka spoglądając na żonę, w obawie, czy mu tego za złe nie weźmie. Kotarski z Kotowiczem rozpowiadali od niechcienia o rezultatach tegorocznego sprzętu, a nawet lubujący się w głośnym gwarze a nie znoszący milczenia Szaława zaniemówił jakoś i, jakby mu czegoś brakowało, siedział chmurny i zasępioony.

Jeden tylko radca Proński używał co się zowie. Zyskawszy w Chojnickim powolnego słuchacza, roztrząsał przed nim wszelkie najświeższe zagadnienia polityki, przy każdym wyrażając swoje *pro* i *contra*. Jak zwykle, Bismark był w robocie. Prawo wyjątkowe, a zwłaszcza ostatnie antipolskie dzieło żelaznego księcia, bank kolonizacyjny ze stumilionowym funduszem, przeznaczonym na wykupienie ziemi z rąk tubylczych i zalanie drogą pseudolegalną dzielnic nad Wartą germańskim żywiołem, dostarczały panu Kwirynowi obfitego materiału do przeróżnych wniosków i uwag.

Właśnie po „pasztecikach,” ująwszy Chojnickiego za klapę tużurka, mówił na ten temat z przejęciem:

— Zadziwiająca istotnie rzecz, jak się losy spiknęły na to, aby nas od tej ziemi oderwać. Wszystko zdaje się dążyć do tego, aby nas zagona zepchnąć, podstępem lub siłą wyrugować. Nic

też dziwnego, że w takich warunkach zniechęca się wielu i ustępuje.

— A jednakże ci, którzy wytrwają, przetrwają—zauważył z przekonaniem Chojnacki.

— Zapewne. Chociaż z każdym rokiem ktoś z szeregów ubywa. Ten sprzedał, inni sprzedali, ów wyniósł się z resztkami do miasta... szukać na innym polu spokojniejszego kawałka chleba... Bolesnie to powiedzieć... ale ubywa... po jednym ubywa... Upadamy!

Tu Proński westchnął głęboko, a Chojnacki, który słuchał uważnie, wtrącił teraz:

— A najboleśniej, że upadamy na duchu, że słabiejemy, zamiast mężnieć, że rozluźniamy łączne ogniwa i pojedynkiem borykamy się z przeciwnościami, zamiast w zwartym kole, jak to już powiedziałem, przetrwać i na lepszą dolę zarobić.

— Kiedy... bo widzisz, kochany panie Franciszku—zaczął znów radca, ale mu przerwał Koltarski, który, przysłuchując się od pewnego czasu rozmowie, rzekł:

— Złote słowa pana Chojnackiego. Zgadzam się najzupełniej. Idziemy pojedynkiem, bez spójni, bez łączności i to nas głównie osłabia. Póki dobrze, to dobrze, ale w razie klęski, czy nieszczęścia, człowiek nawet śmiałości nie ma zwrócić się do sąsiada o pomoc... Szamota się czas jakiś, broni... walczy... a potem...—machnął ręką.—Dawniej nie tyle może były lepsze czasy, co lepiej żyć umiano. Teraz najbliższa rodzina nie żyje między sobą tak, jak przed

laty całe okolice. Zobojętnieliśmy względem samych siebie, a przytem z drugiej strony wyrodził się w pojęciach jakiś wstyd fałszywy, co się nam nieraz do tego, co boli, przyznać nie pozwala... I oto dlaczego z każdym rokiem, jak to poprzednio zauważył radca dobrodziej, odpada ktoś, niby zeschnięta gałąź od tego pnia szlacheckiego...

— A jednak ten pień ma w sobie dość jeszcze soków zdrowych, aby każdą gałązkę odżywić—odezwał się na to Chojnacki.

A potem z niezwykłym w jego ustach entuzjazmem dodał jeszcze:

— A tak głęboko zapuścił korzenie w tę oto ziemię, że choć gałęzie padać będą, on oprze się trzebiącym falom i ostoi... Ja przynajmniej nie wątpię o tem.

Co rzekłszy, spojrział roziskrzonem okiem na Kotarskiego, ten zaś jął pośpiesznie potakiwać:

— Ani ja! ani ja! Tylko więcej tego, co się to braterstwem nazywa... jak bywało w dawne lata, kiedy to nas ziemian wielkiem bractwem nazywano.

— Wielkie bractwo! wielkie bractwo! — powtórzył Proński i zamyślił się.

Kotarski mówił w dalszym ciągu:

— Ja sam nawet temu bractwu wszystko, co mam, zawdzięczam. Pamiętam jak dziś, choć temu bez mała lat czterdzieści. Młokos... zaczynałem gospodarzkę z niewielkim kapitałem na dzierżawie. A dzierżawiłem właśnie od ś. p. dziada tu obecnego pana Krzysztofa folwark od Kościeszówki. Aku-

rat, jakby o tej porze, przy końcu pszennych żniw, palą mi się stodoły z całą krescencyą! Asekurować się nie było jeszcze w modzie... zostałem więc na czysto. Chodziło mi najwięcej o tenutę dzierzawną, bo nieboszczyk pan Jan Oźga był pod tym względem wielki rygorzysta i terminu *stricte* pilnował. Przeto na drugi dzień po pożarze wybieram się do Kościeszówki prosić o prolongatę... Tymczasem, nim konie zaszły, patrzę... zajeżdża pan Jan, a z nim kilku jeszcze sąsiadów. Niewiele myśląc, korzystam ze sposobności i jeszcze w ganku dalej z pokorną prośbą... A stary jak nie fuknie! Myślałem, że mię obijel! „Za kogóż ty mię masz, młoko-siel! żebyś o takie rzeczy prosił! Z czegoż będziesz płacił? Z kupy popiołu?!“ Wyobraźcie sobie, że przez trzy lata następne jeszcze nie chciał wziąć grosza; zaledwie w czwartym, kiedy już dobrze stanąłem na nogi, przyjął... Takie to wtedy były stosunki...

Miał jeszcze coś więcej do powiedzenia, ale w tej chwili siedzący na *vis-à-vis* Szaława przechylił się do połowy stołu i zaczął mrugać znacząco, ukazując oczyma to na gospodarza, to na napełnione kieliszki, wreszcie zwracając się do Prońskiego, szepnął:

— Trzebaby gospodarskie... solenizanta! Cienkusz... ale pić można...

Radca skinął potakująco, zaraz też powstał i, zadzwoniwszy trzonkiem noża o kieliszek, wniósł toast:

— Zdrowie kochanego pana Ignacego, dzisiejszego solenizanta!

I wypił duszkiem. Inni również, powstawszy, wypili, a uradowany gospodarz biegał koło stołu z „bocianką“ w rękę, dziękując i dolewając.

Poczem sam przypił na „podziękowanie.“

Teraz zrobiło się nieco gwarniej, posypały się z kolei inne „zdrowia,“ czego pilnował skrupulatnie Szaława, który, czując się w swoim żywiole, stopniowo odzyskiwał dobry humor i werwę.

Wstawano już od stołu, kiedy przybył gość nowy. Był nim Barszczewski. Nieprzewidziany interes nie pozwolił mu zdążyć wcześniej, tłómaczył się na cały głos, składając Warzyńskiemu życzenia, a po cichu spytał:

— No? jakże tam?

— Wszystko gotowe. Czekaliśmy tylko na sąsiada—odrzekł również po cichu Warzyński.

Barszczewski zatarł ręce, poczem sam zaczął domagać się wina, bo chciał za zdrowie solenizanta także wychylić.

Niebawem też podano kilka butelek „cienkusa,“ jak mówił Szaława, do salonu, gdzie się całe towarzystwo z jadalnej sali przeniosło. Barszczewski wypił, gospodarza kordyalnie wyczałował, a potem zaczął krążyć od jednych do drugich, zagadując o tem i owem.

Z przybyciem Barszczewskiego zrobiło się zaraz weselej, przytem wino rozwiązało języki. Mężczyźni poczęli się skupiać w gromadki, gawędząc

i popijając; nawet Oźga rozchmurzył się na dobre i dowcipkował z Julką Bortnicką, która go na krok nie odstępowała.

Jadwini wydało się, że Julkę ktoś umyślnie, jakby na straży, przy Krzysiu postawił. Niemniej zauważyła, że rozprawiający z Kotarskim i Chojnackim gospodarz ciągle Krzysia ma na oku, a wuj Barszczewski, jakiś papier odczytawszy, uśmiecha się pod wąsem, ilekroć spojrzy w jej stronę, ojciec zaś ma taką minę, jakby się czegoś radosnego już dowiedział, tylko że mu o tem jeszcze mówić nie wolno.

I znów serce zabiło w niej żywiej.

Wtem w gronie rozmawiających wszczął się ruch. Wszyscy, jak na komendę, sunęli na środek salonu, gdzie stał stolik z winem. Co widząc, Julka Bortnicka pociągnęła raptownie Oźgę w tę stronę.

Gospodarz rozlał wino. Wtedy pan Kotarski, podnosząc w górę kieliszek, ni stąd, ni zowąd, rzekł z naciskiem:

— Za zdrowie... kapitalistów! W ręce pańskie, panie Krzysztofie!

— Kapitalistów! — powtórzono chórem.

Oźga zdumiał. Machinalnie przyjął podany kieliszek i stał jak wryty, wodząc zmieszonym wzrokiem wokół, nie wiedząc, co począć, nie rozumując, co ten niezwykły toast oznacza.

Teraz zbliżył się doń Barszczewski, i ujmując pod ramię, przemówił:

— Pijże, Krzychu! Nad czem myślisz! Przecie to zdrowie pana Warzyńskiego... państwa Bortnickich... kochanego Frania!

A radca Proński, któremu już łzy ciurkiem po twarzy spływały, nie mogąc się dłużej powstrzymać, wykrztusił napół z płaczem:

— Twoich zacnych wierzycieli!

Poczem rzucił się w objęcia stojącego przy nim gospodarza i już więcej szlochając niż mówiąc, jął wołać:

— Jadziu! chodź-no i... ty... tutaj!

Wezwanie było zbyteczne. Krzysztofowa, w pierwszym zaraz momencie domyśliwszy się wszystkiego, bez namysłu zerwała się z kanapy i lotem ptaka znalazła się przy boku męża. W dodatku Julka Bortnicka zaczęła jej szeptać na ucho:

— Widzisz! Jadwichno! widzisz! właśnie miałam ci mówić, że...—opowiadała z żywością, przytkając w palce, pociągając zadartym noskiem i zagładając w mokre oczy Krzysztofowej.

Ta zaś, położwszy dłoń drżącą na szyi męża, stała z zatrzymanym oddechem, z błagalnym wyrazem w źrenicach, ze strugą łez pod powieką, jak nawiedzona, co własne uczucia w pierś drugą przełać pragnie, a uczuć tych świadomością sama uchwycić nie w stanie, bo płyną szybko, przelewają się w duszy wrzątkiem, kołyszą wirem, są, lecz dalej poza serce wybiedz jeszcze nie mogą.

Dopiero rozrzewniony głos ojca wrócił jej poczucie jawy, rozbudził z bezwładzy. Odruchem na-

głym wychyliła się z za ramion Krzysia, ukazując twarz rozczuleniem napojoną, dziękczynienia pełną.

— Jestem—wyrzekła z cicha.

A potem zaczęła spojierać to na ojca, to na Chojnackiego, to na innych kolejno, aż wreszcie wzrok jej zatrzymał się znów na mężowskim obliczu i spoczął na niem niemą, łagodną prośbą.

Tymczasem nachylony nad siostrzeńcem Barszczewski kładł mu w dalszym ciągu w uszy historię pomocy sąsiedzkiej. Że pan Warzyński prolongował sumę na lat dziesięć, że Bortniccy, spłaciwszy drobnych wierzycieli, weszli w ich prawa, nade wszystko zaś, że Chojnacki nabył od Rajzmana pretensye do poręby na bardzo dogodnych warunkach i, rzecz prosta, zrzeka się takowych na rzecz Oźgi za zwrotem wypłaconej żydowi sumy...

— Proces samo przez się upada—przedstawił nalegająco,—a interes jest tak dobry, że się w lat parę ratami wypłacisz... Nie róbże przeto pocziwym ludziom przykrości jakimś dzikim uporem...

To mówiąc, pocałował Krzysia w czoło.

Ten zaś stał z ustami półotwartemi, z szyją wydłużoną, całym ciałem podany na przód, niejako zastygły w ruchu. Tylko w skurczowo ściągniętych rysach miał coraz to inną rzeźbę tłoczących się pod czaszką myśli, a piersią robił tak szybko i ciągle, jakby mu tchu brakowało. Bo oto w duszy Oźgi odbywał się teraz ferment w jeden chaotyczny kłęb splątanych uczuć, grały w nim wszystkie to-

ny, wszystkie akordy wzruszeń szły przez serce. Więc stracił świadomość samego siebie i chwiał się duchem od bieguna do bieguna, od zadraśniętej dumy do serdecznej wdzięczności.

Barszczewski kończył szeptem:

— Żeś sobie przyjaźń ludzką zaskarbił, to chyba nie wstyd!

Teraz i inni jęli podchodzić ze słowami przyjacielskiej zachęty.

— Nie zmniejszajże własnej zasługi, panie Krzysztofie! — odezwał się Kotarski, bezwiednie utrafiając w tęż samą, co i Barszczewski, myśl — zarobiłeś na przyjaźń ludzką, więc choćby dlatego pomoc ci się należy. Nie myśl przytem, że to komuś uszczerbek przyniesie... Zresztą nie wolno ci odmawiać! Tak, nie wolno! — powtórzył z naciskiem. — Masz obowiązki, obowiązki święte, przyrodzone... Nie mówię już o rodzinie... bo tu nie tylko o *majątek* idzie, lecz o *dziedzictwo!* o posterunek, któregoś bronić winien! Niema tak szlachetnych pobudek, któreby cię zwolniły z tej placówki, jeśli się na niej ostać możesz i następcom swoim przekazać, jak ją i tobie przekazano. Tak, panie Krzysztofiel tu nie tylko o ratunek ziemi idzie...

— Lecz i o ten szmat nieba nad nią, o to, co przez nią przeszedł! O grusze polne! o krzyże cmentarne! o pracę całych pokoleń, które na niej wzrosły i pomarły! — podchwycił gorąco milczący dotychczas Chojnacki, zbliżając się do stojącego w nieruchomej postawie Ożgi.

A równocześnie Julka Bortnicka zaczęła pisać:

— Kuzynku! kuzynku!

Zaś radca Proński burknął:

— Czego się ty boczysz!? hml

I wymachując rękami, posunął się w stronę zięcia, jakby go siłą popchnąć zamierzał.

Nie było jednak potrzeby, gdyż w tej chwili Oźga zatrząsł się na nogach, ręce rozkrzyżował i rzucił się w objęcia Chojnackiego z drgającym głębią uczucia okrzykiem:

— Franek!

Zapanowało głuche milczenie, którego nikt przerwać nie śmiał.

A Oźga ścisnął bez końca, powtarzając urywanym, dyszącym głosem:

— Franek! Franek!

Wreszcie lzy mu się puściły, zapłakał..

Chojnacki z lekka wysunął się z jego ramion, ukazując wilgotnemi również oczyma na Warzyńskiego i Bortnickich. Oźga rzucił się ku nim. Rozczulenie zabrało mu słowa. Więc tylko szeptał:

— Bóg zapłać! Bóg zapłać!

I padał wszystkim z kolei w objęcia i szlochał. Potem wrócił jeszcze raz do Chojnackiego, jeszcze raz zawisł na jego szyi i, zapanowawszy nieco nad wzruszeniem, rzekł:

— Nie mam słów! nie mam! Przyjmuję... z wdzięcznością przyjmuję... Ale...

— Niema żadnego „ale!“—zaczęto protestować.

— Ale pod warunkiem, że ustanowicie administracyę. Dopóki grosz długu zostanie... Kościuszówka nie moja! Od tego nie odstąpię—dokończył stanowczo.

— Niechże i tak będzie—odrzekł na to Warzyński—lecz nawzajem warunek. Administratorem... będziesz ty, panie Krzysztofie!

— Nikt lepiej gospodarstwa nie poprowadził—wtrącił Kotarski.

— To się wie! to się wie!—potaknięto.

Ozga zatarł czoło, chciał jeszcze oponować, ale go po prostu zakrzyczano. Więc tylko spojrział pytająco na teścia i zamilkł. Ten zaś z twarzą rozpromienioną, wzięwszy pod ramię Warzyńskiego, zaczął:

— Krzys ma słuszość! trzeba ustanowić administracyę! i ja jestem za tem.

— Więc pan Krzysztof będzie tylko administratorem do czasu, jeśli o to chodzi—odparł Warzyński.

— Z wyznaczoną pensją... a resztę...

— Właśnie toż samo miałem mówić—potaknęła szybko Ozga.

— A ile? ile?—zaśmiał się Warzyński, sądząc, że to żart.

Ale Proński zupełnie seryo rzekł:

— Myślę, że przy mieszkaniu, opale... paręset rubli wystarczyć powinno...

— Wystarczy — potwierdził Krzyś. — Wystarczy...

— My więcej nie wydajemy — wtrąciła, aby coś powiedzieć, Bortnicka, ale połapała się zaraz, że jej odezwanie było nie w porę, więc zarumieniła się po same uszy, zwłaszcza, że stojący nieopodal Szaława mruknął lekceważąco:

— Wierzę! cały rok wieprzowiną żyją, a w piątki kartofle w mundurach!

„Książę“ dotychczas trzymał się na uboczu, nie mieszając się do rozmowy. Był rozczulony i zły zarazem. Wszystko, na co patrzył, stało się bez jego udziału. Nawet nie wiedział, że się coś podobnego przygotowuje, bo zachowano przed nim tajemnicę, aby się przedwcześnie nie wygadał. To go gniewało. Jakoż stracił na humorze i, choć go „brało“, powstrzymywał się umyślnie, milczeniem dając poznać niejako, że go takie pominięcie zabolalo. Dopiero nietrafne „wyrwanie się“ Bortnickiej, z którą lubił się przekomarzać, wróciło Szaławie rezon i rozwiązało usta.

Natychmiast też podszedł do rozmawiającego z Kotarskim Krzysia, ze zwykłą sobie rubasnością wołając:

— Dajże gęby! administratorzel Niechajże i ja będę na tych godach!

Poczem zaczął Ożgę obcałowywać, sapiąc, chrząkając i pokrzykując raz po raz:

— Ja zawsze mówiłem, że się to wszystko dobrze skończy! I na mojem stanęło!

— Proroctwo łatwe—zauważył, uśmiechając się pod wąsem, Kotarski,—skoroś „książę“ pierwszy na to dzwonił...

Na twarzy Szalawy odmalowało się nieudane zdziwienie.

— Bo trzeba ci wiedzieć, panie Krzysztofie—opowiadał w dalszym ciągu Kotarski,—że, gdyby nie „książę“, mogło się na dobrych chęciach skończyć.

— Jakto?—rzucił Szalawa, nie wierząc własnym uszom.

— A tak. Nastraszyłeś sąsiad tego *Sonkiela*, czy *Sonkla*, inaczej byłby niechybnie porębę kupił.

Tu począł rozpowiadać szczegółowo o całym zdarzeniu, podnosząc znalezienie się Szalawy.

Ten zaś słuchał i rósł—bo wydało mu się teraz, że w słowach Kotarskiego niema istotnie żadnej przesady. Przeciwnie, stopniowo przychodził do przekonania, że gdyby nie on, najszlachetniejsze zamiary Chojnackiego byłyby musztardą po obiedzie. Mimo to osądził, że należy być skromnym i nie wysuwać się zbyt na przód; rzekł przeto od niechcienia:

— Wolne żarty! Zgadało się... więc zbrzydziłem Podlasiakowi interes...

Ale w duchu myślał inaczej. Zaraz też powiódł dumnym okiem wokół, pokręcił szpakowatego wąsa i, odzyskując dobry humor, zaczął przyzy-

wać gospodarza, dając mu gestami do zrozumienia, że *in gratiam* takiej chwili wypić warto.

Więc pan Warzyński, pośpiesznie napełniwszy kieliszki, skinął na „księcia,” a ten, nie zwlekając, huknął z całej piersi:

— Staropolskie! Kochajmy się!

I wychyliwszy do dna, rozbił szkło o ziemię, bo mu już zwykła fantazyja wracała.

— Kochajmy się!—zawtórowano z entuzjazmem.

Rozległ się brzęk kieliszków, pogwar krzyżujących się wykrzykników; zaczęto się wzajemnie brać w objęcia, pierś do piersi przyciskać, dłońmi kordyalnie potrząsać.

Wśród zgiełku i gwaru zapomniano o Krzysztofowej. Tę zaś oniemiało wzruszenie, spłoszyła wielka radość.

Korzystając z zamieszania, odbiegła na bok i zaszyła się w sam kącik salonu. Tylko dobre jej oczy bieły stamtąd z twarzy na twarz, z osoby na osobę, zdając się mówić: Kochani! Dobrzy! Serdeczni!

A za oczyma poszła i jej dusza, jej serce, jej wszystkie, do ostatniej, myśli.

I stała w tym zachwycie czas jakiś, niemocą bezmiernego szczęścia objęta.

Wreszcie wzrok jej padł na pogodną twarz Chojnackiego. I oto w jednej chwili, bez woli jasnej, bez jakiegokolwiek rozmysłu, znalazła się tuż przy nim.

Wyciągnęła doń dłoń i ledwie dosłyszalnym głosem zaczęła:

— Dzię...ku...ję... za...

Nie dał jej skończyć. Chwycił gorączkowo obie jej ręce, do ust poniósł. W siwych oczach mignął mu jakiś błysk, jakiś żar skier, ale zgasł natychmiast, niejako stłumiony głuchem, ciężkiem westchnieniem, co mu z rozkołysanej piersi wybiegło...

Przed Krzysztofową stał znów dawny, spokojny, poważny, o twarzy smutnej, choć uśmiechniętej życzliwie, człowiek i mówił z zakłopotaniem:

— Powinność obywatelska... Powinność obywatelska!

Równocześnie z drugiego końca salonu dał się słyszeć głos politykującego z Barszczewskim radcy Kwiryna, który, ukazując na Chojnackiego, mówił:

— Ot! przydaliby się tacy Chojnacy w Poznaniu! Zjadłby Bismarck sto par dyabłów, nimby ich do Monako wyprawił.

A Barszczewski odrzekł:

— Prawda.

E P I L O G.

Mijał rok za rokiem. Kościeszowskie polesie już od lat dwóch rodziło bujnie chleb powszedni.

.....
W dzień Ś-go Jana siedziała pani Krzysztofowa na ganku, przyglądając się zabawnym skokom Jasia, który, dosiadłszy kija, cwałował po dziedziń-

cu, podcinając prowizorycznego rumaka prętem i wykrzykując wesoło:

— Wio! wio!

Obok matki stała Dziuchna z książką w ręku. Skończono właśnie przedpołudniową lekcję.

Wtem rozległ się głos gospodarskiego dzwonka. Dzwoniono na południe. Na ścieżce, wiodącej ze stodół, ukazał się Oźga.

— Tatuś! tatuś! — zawołał Jaś, ujrawszy ojca i, porzucając wierzchowca, pobiegł naprzeciwko.

Oźga również przyśpieszył kroku i po chwili, prowadząc malca za rękę, znalazł się przy żonie.

Był zakurzony od stóp do głów, zmęczony, zgrzany, ile że od świtu dozorował wynajętej do młocki lokomobili. Zaraz też siadł na ławce i, gładząc głowę syna, rzekł:

— Matusiu! Każ mi tam dać co przekąsić. Z obiadem pewnie poczekamy na rodziców. Powinni niedługo nadjechać. Może i Chojnacki przyjedzie. Prosiłem, żeby rachunki sprawdził.

Na te słowa Dziuchna zakręciła się jak fruczka i pobiegła wyręczyć matkę.

— Masz już wyrękę, Jadwiniu! — zauważył.

Uśmiechnęła się, siadając obok niego. Poczem, ukazując na Jasia, rzekła:

— I ty...

— Bał bał — odezwał się żartobliwie. — Dla mnie to mało... mało...

Pokręcił węża, spojrział filuternie i niby od niechcienia zaczął oczyma wodzić po wierzchołkach lip rozłożystych.

Na jednej było gniazdo bocianie. Właśnie para „wojtków,“ zaklekotawszy głośno, wzbiła się w powietrze, przelatując tuż ponad dworem.

— A co? Nie mam racyi? Mało!—zaśmiał się, zacierając ręce.

Jadwinia udała, że nie słyszy. Ale zaczął dogadywać coraz więcej, coraz wyraźniej wspominać o potrzebie większej ilości „pomocników,“ więc dała mu klapsa i, wzięwszy Jasia na kolana, przemówiła:

— Mój jedynaku! mój jedynaku!

Krzyś nasrożył się nibyto, burknął odgrózką:

— Zobaczymy!

Ale że właśnie wracała Dziuchna, więc dalszą sprzeczkę przerwano, zwłaszcza, że jednocześnie rozległ się z pobliskiej drogi turkot szybko toczącego się pojazdu.

Niebawem nadjechali Prońscy z Julką Bortnicką, która się z radcostwem zabrała, ponieważ mąż, umówiwszy się poprzednio z Chojnackim i Warzyńskim, miał razem z nimi dopiero po południu przyjechać.

Jakoż w parę godzin potem ściągnęli wszyscy trzej. Zaraz też Ożga poprosił ich do kancelaryi dla przejrzenia rachunków i zamknięcia całorocznego bilansu.

Zajęło im to niewiele czasu, tak, że wkrótce wrócili do towarzystwa, zwiększonego nadejściem Szaławy, który, usłyszawszy z Zabłocia świst lokomobili, *per pedes* puścił się do Kościeszówki, aby Krzychowi, jak mówił, natrzeć uszu za tak nieprawidłową gospodarzę.

Na wstępie też zaczął od wymówek:

— Bój się Boga, Krzychu! Ś-ty Jan, a ty mówisz! To wbrew tradycji! wbrew, panie... tego... wszelkim kombinacyom! Psujesz po prostu handel—perorował z udaniem oburzeniem.

Ozdze pochlebił koncept „księcia,” odrzekł przeto wesoło:

— Nie moja wina, lecz tych oto panów, którzy nakazali mi sprzeniewierzać się starym zwyczajom.

I ukazał ręką na Warzyńskiego i Chojnackiego.

A Chojnacki wtrącił:

— Niedługo już naszego panowania. Bo oto trzeba pani wiedzieć—zwrócił się do Krzysztofowej,—jeszcze jeden rok taki, jak obecny...

— A będzie kwita—przerwał Warzyński.

— No! no! kochany sąsiedzie! — zaprzeczył Proński.—A poręba?

— Poręba sama się s płaca—podchwycił żywo Chojnacki.—Taki mam układ, od którego nie odstąpię. Co rok dwieście korcy jęczmienia.

— Aż do skutku—dodał Szaława, a że go już poważna rozmowa zaczynała nudzić, więc przy-

siadłszy się do Bortnickiej, jął dowcipkować, strasząc „zakazem wywozu trzody chlewnej“ i „zarazą na drób,“ która jakoby pojawiła się w okolicy.

Bortnicka odcinała się jak mogła, lecz w końcu, nie mogąc się opędzić, wyszła z Dziuchną do ogrodu pod pretekstem obejrzenia świeżo założonej szparagarni i nie wróciła aż na podwieczorek.

Po podwieczorku uradzono wyjść w pole, zwłaszcza, że Oźga musiał na chwilę opuścić gości, gdyż przyrzekł kosiarzom odmierzyć przed wieczorem pokoszony łąn konieczyny.

Wyszedł tedy pierwszy, a za nim całe towarzystwo.

Dzień miał się ku schyłkowi. Słońce opadało coraz niżej, wchodziło w ziemię niby złożony lemiusz, ciągnąc za sobą skibę purpurowych blasków.

Kościeszowscy goście szli, rozmawiając wesoło, gościńcem, wysadzonym lipami, w stronę plebanii. Tu spotkali kanonika, który, wyszedłszy na spacer, odmawiał wieczorne modlitwy. Ksiądz Tomasz przyłączył się do towarzystwa, ale że jeszcze zaczętych pacierzy nie skończył, więc pozostał nieco w tyle.

Zato Jaś, którego również na przechadzkę zabrano, przodował, brykając jak żrebak, właśnie bowiem znalazł odpowiedniego wierzchowca w porzuconej przy drodze tyczce.

W powietrzu wiał już chłód, więc Jadwinia, w obawie zaziębienia, zaczęła przyzywać malca do siebie.

— Jasiu! Jasiu! nie męcz się! Powoli! bo będziesz kaszlał! Zobaczysz!

Ale mały zbereźnik nie posłuchał, tylko jeszcze szybciej popędził, wyskakując i chichocząc.

— Uparty, jak ojciec—odezwała się do idącego przy niej Chojnackiego Jadwinia.

Ten zaś, odrzekłszy: „tak,“ puścił się w pogoń za malcem i po chwili miał go już w ramionach i niósł trzepocącego się do matki. Dziecko zachmurzyło się, nadąsało, co widząc, Chojnacki zaczął żał malca łagodząc obietnicą prawdziwego kuca, na co Jaś odpowiedział wesołym wykrzyknikiem i głośnym pocałunkiem w same usta „wuja,“ bo tak obydwój z Dziuchną Chojnackiego nazywali.

A „wuj,“ nie puszczając przygodnego siostrzeńca z ręki, opowiadał pieszczotliwie o owym kucu: jakiej maści, jakiego wzrostu. Wreszcie spytał:

— A nie będziesz się bał jeździć?

— Nie!—odrzekł malec śmiało.

— A gdzie będziesz jeździł?

— W pole, do *gospodarstwa* — brzmiała odpowiedź dziecka.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Szaława. — Patrzcie państwow! takie bobo już o gospodarstwie myśli. Jest coś we krwi! jest!

— Nie ulega kwestyi — zauważył Warzyński.—Czytałem... nie pamiętam, w którym już piśmie, o typach zawodowych... A mnie się zdaje, że są i uczucia zawodowe, z którymi się na świat przychodzi.

Szaława kiwnął potakująco głową.

A Warzyński mówił dalej:

— Ot, na przykład, niedaleko szukając, trzech moich bratanków. Pokończyli uniwersytety... kształcili się nibyto na doktorów... prawników... a ostatecznie rzucili w kął wszystko dla pługą...

— „...Bo nad wszystkie ziem branki milsze Laszki kochanki“—zacytował Bortnicki.

— Milszel! milszel!—podjął Warzyński—choć, na rozum biorąc...

— Et! „na rozum!“ „na rozum!“—przerwał Warzyńskiemu Szaława. — Nie wszystko daje się brać „na rozum.“ Ja, na przykład, podczas oblężenia Paryża ćwiczyłem koninę, aż mi się uszy trzęsły, a teraz przez gardłoby mi nie przeszedł choć... „na rozum“ biorąc, cóż lepszego wół od konia?

Na te słowa wszyscy parsknęli śmiechem, bo „książę“, jako żywo, w Paryżu nie był; Bortnicki zaś, korzystając z okazji zakpienia sobie z Szaławą, zagadnął:

— „Książę“ pewnie wprost z Paryża do Cieclocinka pojechał, gdyż przypominam sobie, żeśmy się tam akurat w dzień kapitulacji spotkali.

Szaława na wzmiankę o Cieclocinku spojrzął na Bortnickiego z ukosa i, nie odpowiadając wprost, rzekł do Warzyńskiego:

— Paradny jest ten Adaś! Z najpoważniejszej rzeczy kpi. Bo przyznasz sąsiad, że...

— Ależ przyznaję! przyznaję!—potwierdził, uśmiechając się, Warzyński.—Porównanie zupełnie

trafne. Jak sąsiad do koniny, tak my wszyscy wogóle do zajęć poza rolą bierzemy się tylko z konieczności!

— Czego ja za złe nie uważam—odezwał się radca Proński,—bo ta ziemia potrzebuje rąk i serca.

Tu spojrział na Chojnackiego. Ten zaś powiódł wzrokiem wokół i rzekł z mocą:

— Tu nas przeszłość zasiała, tu przyszłość zastać powinna.

— Zawsze to mówiłem—mruknął do siebie Szaława.

A Warzyński dodał:

— Tylko idźmy ławą, tylko trzymajmy się razem.

A że właśnie ujrzał w oddaleniu stojącego w pośrodku gromady włóścian Ożgę, więc wyciągnął rękę, w tę stronę ukazując, i, jakby dla nawiązania przerwanej myśli, powtórzył:

— Tylko trzymajmy się razem!

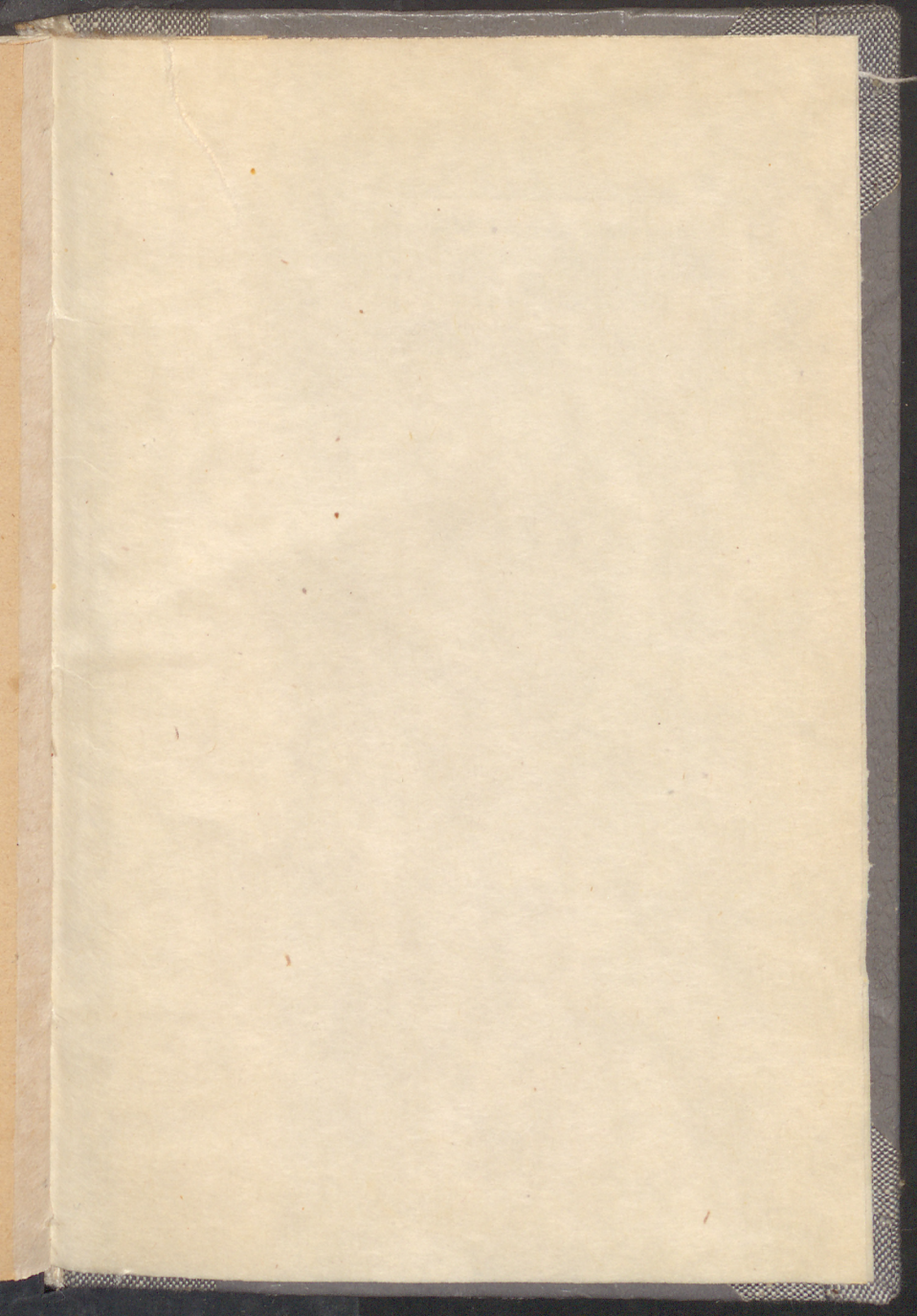
— Amen!—wyrzekł kanonik, składając brewiarz.

Na przydrożnych lipach brzęczał rój pszczół, nucąc pieśń o pracy.

K O N I E C.

Warszawa, dnia 4 grudnia 1896 r.





Biblioteka Główna UMK



300020501447